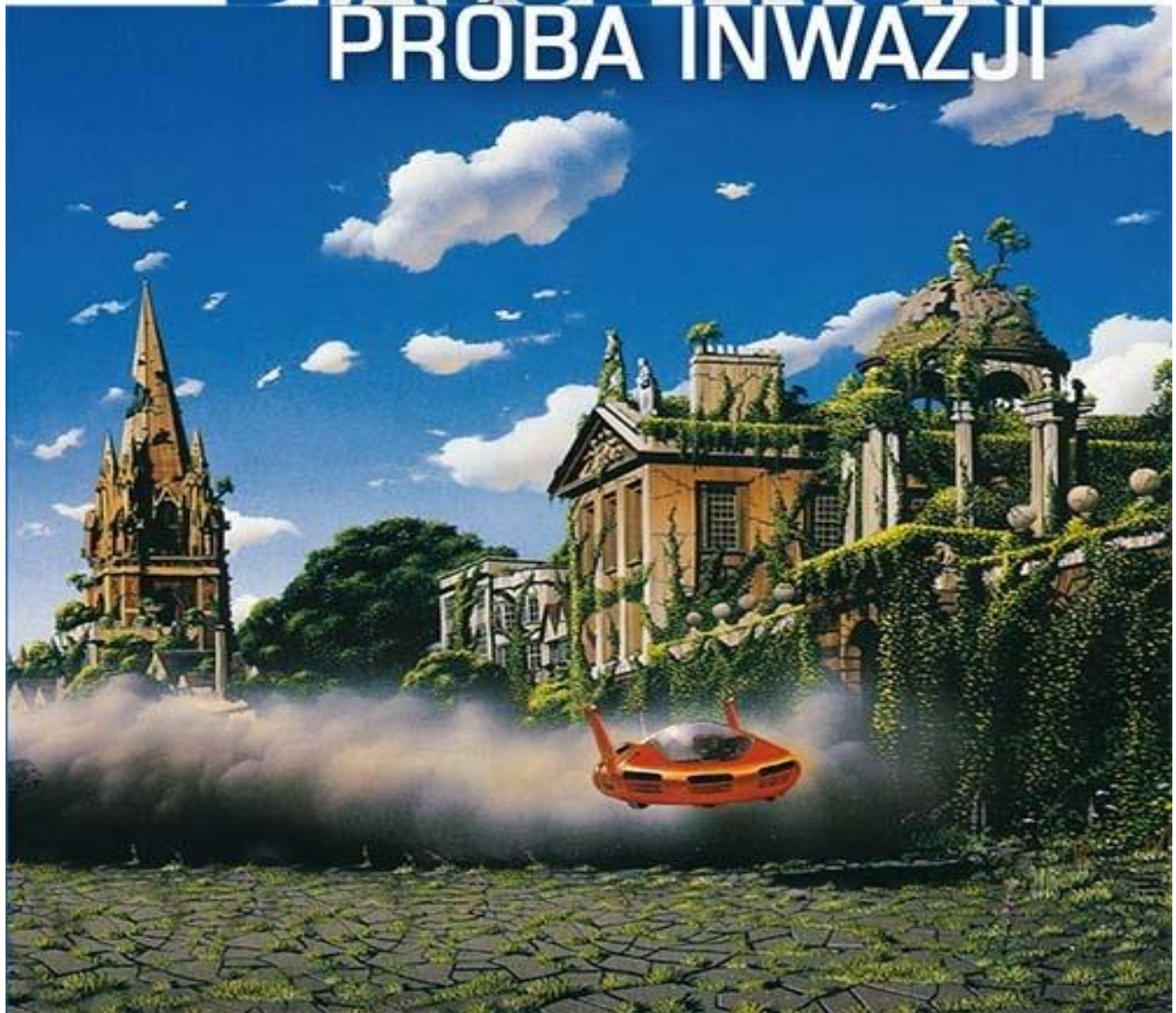


ARCHIWUM POLSKIEJ FANTASTYKI

Czesław

BIĄŁCZYŃSKI PRÓBA INWAZJI



CZESŁAW BIAŁCZYŃSKI

PRÓBA INWAZJI

Książka, którą oddajemy dziś w ręce naszych czytelników, jest jeszcze jedną próbą wyjaśnienia pewnych zagadek związanych z pamiętnymi wydarzeniami roku 3016, które zainicjowały tzw. Trzecią Rewolucję. Rzecz jasna, jest w tym utworze bardzo wiele fikcji i jeszcze więcej spekulacji. Autor nie pokusił się tu o dokładne odtworzenie owych wypadków, nie starał się nam również ukazać skomplikowanej sytuacji ani prawdziwego w każdym szczególe obrazu tamtych, odległych przecież czasów. Historia, jaką przedstawia dotyczy losów ludzi wplątanych mimowolnie w owe wydarzenia, jednostek posuwających się z ich nurtem niejako wbrew swej woli, a częściowo (do pewnego momentu) także i wbrew swoim przekonaniom. Dotychczas wydano wiele prac traktujących o Trzeciej Rewolucji i okolicznościach, jakie doprowadziły do jej wybuchu. Wśród tych - bardziej lub mniej udanych pozycji były ściśle, niemalże naukowe opracowania, ale trafiały się i całkowite fantazje, sprzeczne nawet z podstawowymi faktami znanymi nam z nielicznych zachowanych dokumentów czy filmów.

Wielu wypadków do dziś nie wyświetlono, a jeszcze większa część zdarzeń - otoczonych w owym. czasie ścisłą tajemnicą i tworzonymi celowo pogłoskami o sprzecznej nieraz treści - W ogóle nie jest znana. Tak więc wszystkie opracowania, jakie do tej pory powstały, opierały się głównie na wyobraźni ich twórców, skłonnych do różnych spekulacji i interpretacji.

Wydawnictwo, wychodząc z założenia, że przy takiej mnogości hipotez nie już nie jest w stanie zaciemnić obrazu minionych zdarzeń, postanowiło dopuścić jeszcze jedną ich wersję w nadziei, że być może właśnie ona zbliży nas wszystkich najbardziej do prawdy. I jakkolwiek hipoteza przedstawiona w tej książce sprawia wrażenie jeszcze mniej prawdopodobnej niż wszystkie dotychczasowe, nie powinno to jej dyskredytować. Wręcz odwrotnie. Nowe spojrzenie i odwaga koncepcji mogą czasami pomóc w odkryciu czegoś, co w innych okolicznościach pozostałoby nie zauważone.

„Próba inwazji” nie jest wszakże całkowitą fikcją. Zawiera wiele faktów znanych nam i połączonych w logiczny ciąg, któremu nie można odmówić siły przekonywania. Wyjaśnienie, czemu tak nierównomiernie pod względem technologicznym rozwijała się nasza planeta, jak doszło do niespodziewanej katastrofy kosmolotu, a także całej serii tajemniczych zgonów, jakie miały miejsce w związku z aferą InL-u i Tajnej Rady, zadziwia logiką mimo niesamowitości hipotezy, której wsparciu służy.

Przy tym wszystkim mamy do czynienia z powieścią, a więc utworem fabularnym - co pozwala mocniej niż w wypadku suchych dokumentalnych zapisków, rozbudzić uczucia, bardziej emocjonalnie podejść do tematu - po prostu silniej go przeżyć.

Na pewno pozycja przedstawiana przez nas dzisiaj nie jest fajerwerkiem ani też nie stanie się bestsellerem, ale do żadnej z tych ról nie pretenduje. Chropawość warsztatu w znacznym stopniu rekompensuje w tej powieści nawarstwienie emocjonujących sytuacji i wydarzeń, które pozwalają zapomnieć o drobnych nieścisłościach czy słabościach twórcy naszej publikacji. Z punktu widzenia edytora największą zaletą tej pracy jest jej odkrywczność. Nie chcąc już dłużej zanudzać czytelników swymi wywodami kończę, życząc w imieniu dyrekcji wydawnictwa i swoim własnym wielu miłych wrażeń; Geander Mora recenzent Aycanes-Altal Teryt Republiki Boyd

Trawy falowały we wszystkich kierunkach. Całe łany kłoniły się, przychylane lekkim wiatrem, to w jedną, to w drugą stronę. Korony drzew trwały zupełnie nieporuszone. Mały Kwert leżał zaczajony w trawie, przypatrując się z odległości kilku kroków wielkiemu motylowi. Motyl o skrzydłach większych niż talerz wirował nad kwiatem, nie mogąc się zdecydować czy opaść. Kwiat przechylał się na wietrze i wzbudzał niepokój motyla. Kwert czekał cierpliwie, ściskając w dłoni drążek od skonstruowanej własnoręcznie siatki. Kwert był zawsze cierpliwy. Niektórzy koledzy zazdrościli mu tej cechy, inni się z niego naśmiewali, ale on i tak wiedział swoje. Wiedział, że bez tego nie złapałby nigdy żadnego motyla. Motyle są nadzwyczaj płochliwe, a Kwert może się poszczycić w swoim domowym, motylarium najpiękniejszymi okazami. Ten był wyjątkowy i dlatego malec starał się być szczególnie ostrożny.

Motyl opadł wreszcie na kwiat, który zgiął się pod jego ciężarem. Owad rozpostarł szeroko skrzydła, łapiąc równowagę. Oczom chłopca ukazał się w całej okazałości przepiękny rysunek. Pomarańczowobrazowe plamy przechodziły w czerwone i potem w fioletowe, odcięte na skraju skrzydeł jasnoniebieskim obrzeżem. Kwert odczekał jeszcze chwilę i, starając się nie potrącić żadnej trawy, gwałtownie zarzucił siatkę. Zdobycz szamotała się w jej wnętrzu. Polowanie zostało uwieńczone sukcesem. Chłopiec na czworakach zbliżył się do trzepoczącego owada. Od wewnątrz, przez siatkę wziął go w palce; delikatnie, żeby nie uszkodzić kruchej stworzenia. Musiał przecież fruwać w jego motylarium. Uniósł się z klęczek i spojrzał na niebo. Raptownie wypuścił motyla z dłoni, a jego oczy rozszerzyły się w przerażeniu. Owad odtruwał szczęśliwy z darowanej mu przypadkiem wolności. Ale chłopiec nie zwracał na niego uwagi. Na niebie, wprost nad nim, wisiała nieruchoma, większa może z dziesięć razy od tarczy słońca seledynowa, opalizująca kula. Nogi odmówiły Kwertowi posłuszeństwa, ale gdy

kula zaczęła opadać, nie czekał już dłużej. Z krzykiem, wielkimi susami pędził przez łąkę. Biegł do mamy.

Noc była pogodna i ciepła. Niebo pokryte jasnymi punktami miało kolor ciemnozielony.

O tej porze Instytut Lotów, pogrążony jak zwykle w ciemności, rysował się czarną bryłą na tle przyćmionej zieleni otaczającego go parku. Strażnik wyszedł z budki, przyklepionej do frontowego budynku, na wprost kratowanej furty, nacisnął klawisz automatu i usiadł na ławce, rozkoszując się ciepłem wieczoru i zapachem świeżych, mokrych liści. Po południu w całym mieście padał deszcz, oczyszczając senną, parną atmosferę. Strażnik Redan był właśnie z córką na karuzeli, kiedy spadły pierwsze gorące krople. Icie kropla rozbiła się o nos. Musiało to być dla niej dużym zaskoczeniem. Dziewczynka rozbeczała się.

- Nie płacz, Ita - uspokajał ją Redan. - Przecież nie jesteś z cukru.

A kiedy słowa nie pomagały, zaproponował porcję ognistych lodów. Bardzo kochał tę małą. Choć był osamotnionym mężczyzną, radził sobie doskonale w ich wspólnym małym gospodarstwie. Wychował Itę sam od niemowlęcia. Alkera zaraz po porodzie powiedziała: - Możesz sobie zabrać to dziecko, które tak chciałeś, i razem z nim nie pokazywać mi się na oczy.

W kilka dni później spakowała swoje rzeczy i już się nie widzieli. Prawdopodobnie zamieszkała w tym zwariowanym obozie przy Linii Wielkich Jezior. Od chwili rozstania upłynęły cztery lata i przez cały czas jakoś sobie z Ita radzili. Dzisiaj również - ogniste lody pozwoliły w końcu zapomnieć o przykrym incydencie z kroplą, a nawet polubić deszcz, który zresztą padał aż do wieczora. Niebo rozpogodziło się na dobre dopiero przed chwilą. Wyrzały gwiazdy i zrobiło się bardzo przyjemnie. Ciepłe, nasycone świeżą wilgocią powietrze, lekkie powiewy wiatru, niosące zapach wiosny i dymu znad brzegów Termi, cisza przerywana nieśmiałymi gwizdami nocnych ptaków. Redan odpoczywał. Jego rozmarzenie i wspomnienia przerwało nagłe uczucie strachu. Serce zakołatało mu mocniej, krew gwałtownie napłynęła do skroni. Oderwał wzrok od krzaka, w który wpatrywał się w zamyśleniu, i rozejrzał się wokoło. Należał do bardzo czujnych strażników, fachowców najwyższej klasy. Tylko takich zatrudniał instytut. Była to zresztą jedyna placówka na całym kontynencie, która oprócz elektronowych systemów ochronnych zatrudniała także strażników. I to aż czterdziestu. Dyżury pełnili na zmiany. Na terenie instytutu w każdej chwili znajdowało się ich co najmniej dziesięciu. Jednak przy bramie zawsze czuwał tylko jeden. Brama miała swoją załogę. Cztery osoby zmieniające się co sześć godzin. Cztery osoby o specjalnych kwalifikacjach. Redan należał do nich i jego zawodowy instynkt nakazał mu skoncentrować się. Rozglądał się długo i bardzo uważnie, przeczesując

wzrokiem teren wokół bramy, metr po metrze. Słuch wyczuł się na każdy szmer. Redan słyszał dokładnie krople spadające z gałęzi.

Po chwili uspokoił się jednak. Musiało mu się przedtem zdawać... Jego zmysły nie znalazły nic podejrzanego w normalnym szumie miasta i w dźwiękach zwykle związanych z taką pogodą i porą roku. Za chwilę skończy służbę, przekaze obowiązki drugiemu z obsady bramy, Artresowi.

Tak. Nie łatwo było o tę pracę... Kiedy ogłosili, że potrzebują strażników, już na trzeci dzień zjawilo się 6000 kandydatów. Byli to nie tylko Boydańczycy, zjechali tu wtedy ludzie z całego Vollu, a nawet kilkuset z innych kontynentów. Wśród chętnych - obok zwolnionych z powodu postępującej automatyzacji strażników - znalazło się wielu wykidajłów, hochsztaplerów, uczniów jakichś dziwacznych szkół walki wręcz, mistrzów tepsthzumo, kufowców i innych podejrzanых typów. Przyszło im stoczyć ciężki pojedynek o te czterdzieści miejsc. Właściwie to dziwne, że tak ich coś ciągle pchało do tego zajęcia, że nie mogli wytrzymać siedząc beczynnie, bawiąc się i trwoniąc uzyskane przedwcześnie emerytury. Nie musieli pracować. Nikt przecież nie musiał pracować. Jednak tych, którzy pragnęli pracować, było zawsze więcej niż zajęcia dla nich. Pracowali tylko ci, którzy chcieli, ale nie dla wszystkich chętnych znajdowano pracę.

Przedziwne zjawisko - snuł swą myśl Redan. - Kiedy można nie pracować zawodowo, nagle wszystkim przestaje odpowiadać amatorstwo, lecz kiedy trzeba regularnie bywać w pracy, każdy tęskni do dni nie wypełnionych żadnymi obowiązkami. Nieważne. Grunt, że to on jest jednym z owych czterdziestu i jednym z tych czterech. Po testach odpadło wielu zgrywusów, ale też i wielu świetnych strażników z prawdziwego zdarzenia. Redan był właściwie dumny z siebie.

Ulicą przemknął jakiś przechodzień. Pamięć strażnika zanotowała ów fakt. Instytut Lotów znajdował się na uboczu. Położony w dzielnicy willowej, z dala od gwaru i ruchu centrum, z dala od sklepów, wielkich magazynów, wiecznie tętniących klubów i lokali, z dala od innych instytutów i miejskiej komunikacji, u samego wylotu cichej ulicy Xelet na plac Ipesut.

Budynek wyglądał tak jak wszystkie inne w tej okolicy. Był niewiele większy od nich i niczym specjalnym się nie wyróżniał. Zgrabny, choć nieco przysadzisty, z zaokrąglonymi narożnikami, o stromym, brudnożółtym dachu i owalnych oknach. Bez żadnych ozdób, i z lekko fosforyzującymi na zielono gzymsami oraz rzeźbionymi w kształcie głów drapieżnych ous, wylotami rynien. W sumie typowa fasada z okresu Drugiej Rewolucji. Prosta i funkcjonalna. Wstydząca się zdobień epoka i taka sama architektura. Niemalże pół dzielnicy, aż do bulwaru Eccles tak właśnie wyglądało. Dalej ciągnęły się już domy inne w kształcie i inne w wyrazie, znacznie starsze, małych rozmiarów pałacyki, zameczki i rezydencje dawnej

tsyrokracji, zbudowane jeszcze za panowania ostatnich Ostapidów niedaleko ówczesnej stolicy księstwa Valirs, jaką było to miasto, zanim wraz z całym księstwem i jego władcami legło w gruzach pod naporem skonfederowanych wojsk królestwa Bols i Ydag. Księstwo Valirs przestało istnieć kilkanaście wieków temu, wcielone w skład państwa Boydu, lecz jego stolica, Valaco, przetrwała i rozrosła się dziś w trudny do opanowania i zrozumienia olbrzymi organizm. Jedyne nowe budynki w tej dzielnicy to kino Oplurri, jakby niewielka bulwa wyrastająca spośród klombów. Wszystkie domy w pobliżu instytutu leżały w ogrodach i niczym fortece otoczone były wysokimi murami lub kratą owiniętą tu i ówdzie jakimś pnączem. Ich właściciele, przeważnie znane osobistości, dość mieli na co dzień zgiełku i hałasu i nigdy nienasyconych reporterów. Pragnęli przynajmniej tutaj, w swych własnych domach, odgrodzić się od społeczeństwa, które ich uwielbiało do tego stopnia, że nie pozwalało im żyć w spokoju. Rzadko przejeżdżał ulicą jakiś strad, z cichym szelestem kryjąc się za murem którejś z posiadłości. Jeśli, trafił się strad inny niż copeuskiej wytwórni Endeo, najdroższej, najelegantszej i najmodniejszej obecnie firmy na świecie, od razu przykuwał uwagę przechodniów, krzywiących się z niesmakiem. Część mieszkających tutaj bogatych snobów chętnie zamknęłaby dzielnicę dla innych niż Endeo pojazdów i ci zachowywali się tak, jakby podobny zakaz już obowiązywał. Na szczęście do tego jeszcze nie doszło, choć niektórzy bardzo cierpieli z tego powodu, doznając nieomal szoku na widok zwykłego Maidersa sunącego przez bulwar Ecies czy plac Ipesut. Prawdziwą sensacją, rozbijającą monotonię codziennej służby stałby się tu przechodzień, którego twarzy nie zapamiętało się z ostatniego programu holoramy czy pierwszej, co najwyżej drugiej strony dzienników boydańskich. Czasami noce spędzone w budce przy bramie instytutu urozmaicały Redanowi zapachy niesione znad rzeki przez wiatr; można się było doszukać w nich, czego kto chciał - w dowolnej ilości.

I ten wieczór zapowiadał się spokojnie, lecz bezbarwnie jak setki podobnych wieczorów. Redan wstał z ławki i już kierował się w stronę oszklonego pomieszczenia, gdy znów poczuł nawrót tego dziwaczego, bezpodstawnego strachu ściskającego go za serce, paraliżującego ruchy. Nie miał pojęcia, co to może być, gdyż niczego podejrzanego nie zauważył, jednak czuł wyraźnie, że coś się w otoczeniu zmieniło. Niepokój wzrastał.

- Chyba się starzeję - zauważył na głos, drapiąc się po głowie.

Rozejrzał się uważnie. Na trawniku siedział tupang. Maskotka i ulubieniec wszystkich pracowników, dokarmiany przez nich na każdym kroku.

- Ty stary pieszczochu - rzekł do zwierzęcia, nachylając się nad jego lśniącym, tłustym cielskiem. - Chodź tutaj. Pogłaszczę cię. Wiem, że to lubisz, jak nikt inny.

Podniósł tupanga z ziemi i posadził sobie na kolanach. Znów siedział na ławce, wpatrując się w krzaki. Mierzył gładką sierść. Zwierzę wydawało ciche pomruki i westchnienia. Było zadowolone. Strach powoli ustępował.

Chyba się starzeję - myślał Redan. - Niedługo trzeba będzie porzucić to zajęcie. A nuż zdarzy się coś złego... Co wtedy stanie się z małą Ita... Eee, skąd w ogóle przychodzą mi takie myśli.

Tupang przebywał na terenie instytutu chyba od samego początku jego istnienia. Jeszcze w trakcie przeprowadzki przyplątał się skądś, może znad rzeki, gdzie nie mógł znaleźć odpowiedniej ilości żarcia? Tutaj nie musiał się tym przejmować. Teraz nie jadał byle czego, najlepsze kąski czasem mu nie smakowały. Zadomowił się w instytucie na dobre, a nawet zdążył zestarzeć. Fala niepokoju powróciła gwałtownie.

Przecież - przemknęło Redanowi przez myśl - pogoda jest zupełnie zwyczajna, a ciągle odzywa się to diabelne serce. Nigdy mi nic nie dolegało. Więc dlaczego dzisiaj...

Nie dokończył. Dojrzał go. Człowiek leżał oparty o mur. Przez kratę widać było tylko czarny kształt dłoni spoczywającej na chodniku. Strażnik zastanowił się chwilę. Odbezpieczył kufę. Może mu się tylko wydaje? W tamtym miejscu panował półmrok. Nie, nie pomylił się, tam na pewno leży człowiek. W dolnym rogu bramki widzi ludzką dłoń. Spuścił tupanga na ziemię. Trzeba to sprawdzić. Ruszył w tamtą stronę.

Na chodniku leżał mężczyzna. Oczy na wierzchu, twarz prawie sina. Łapał powietrze z char-kotem. Strażnik nachylił się nad nim.

Nie - pomyślał. - Ten nie udaje. Znów kłopot.

- Co jest? - zagadnął leżącego. - Słabo panu?

Oczy tamtego spoczęły na twarzy strażnika. Redan cofnął się o krok, pod niesamowitym spojrzeniem człowieka. Nieznajomy przewiercił go nim w jednej chwili na wylot, jednocześnie coś zakłuło w sercu mocniej niż poprzednio, strażnik poczuł znów strach, lecz już nie taki jak przedtem. To był strach skondensowany. Nieustępliwy. Strach bliski szaleństwa. Leżący nie spuszczał oczu z pochylonego nad nim człowieka. I nagle coś się w Redanie załamało. Załamało go gorąco. Już się nie zastanawiał, już nie myślał o niczym. Odwrócił się na pięcie i pobiegł w stronę budki. Bezbłędnie, jednym ruchem wyłączył dzwignię pola. Nacisnął brzęczyk. Furta została otwarta. Znieruchomiał, patrząc w jej jasny prostokąt. Powietrze przeszył tylko bezgłośny błysk i Redan nagle zrozumiał, że zrobił nieprawdopodobne głupstwo. Zaraz potem osunął się na nawilgłą trawę.

Wola - przemknęło mu przez myśl w ostatnim momencie świadomości. - Pozbawił mnie... - Oczy znieruchomiały, szeroko rozwarte, wpatrzone w brudnoczarne, migocące niebo.

Nieznajomy zamknął za sobą furtkę i schował do kieszeni promiennik. Przyjrzał się leżącemu strażnikowi. Głowa przebita z precyzją. Nad ciałem tłusty tupang.

Żeby tylko nie hałasował - pomyślał. - Wokoło cisza i bezruch. Doskonale - bezszelestnie wsunął się do budki.

Znał tu każdy przycisk, każdą dźwignię. Ponownie uruchomił pole. Rzucił okiem na zegarek. Czas naglił. Wierzchem dłoni okrytej papilarką wytarł pot z czoła. Teraz niemal automatycznie znalazł najważniejszy przycisk i wepchnął go do oporu. Tutaj nie miał już nic do roboty. Wiedział doskonale, że nie może unieruchomić całego systemu. Zaraz odezwałyby się wszystkie rezerwy i alarm gotowy. Jego dłoń ominęła bez wahania kuszący główny wyłącznik o oksydowanej, błyszczącej rękojeści.

Przybysz wyszedł z budki i bacznie rozejrzał się po parku. Nic podejrzanego. Przemierzył chyłkiem wąski chodnik i przystanął przed frontowym wejściem.

Jedynie częściowe włączanie i wyłączanie - pomyślał. Zastanowił się. Jego chłodne oczy spoczęły teraz na płytkach. Macał wzrokiem szczeliny. Nic to nie dało. Odliczył. Siódma od progu w lewo. Stąpnął na nią trzy razy. Przy framudze drzwi zapłonęło zielonkawe, ledwo widoczne światełko. Nacisnął klamkę. Światełko zgasło. Posuwał się teraz prostym korytarzem bez okien, z kolumnkami wywietrzników w suficie. Codzienna trasa strażników. Zegarek wskazywał 23.54. Przyśpieszył kroku. „Spiesz się powoli.” - przypomniało mu się. Złapał się na tym, że jest rozgorączkowany, że zaczyna go ponosić. Przed nim całe długie sześć minut. Długie i krótkie zarazem. Za sześć minut strażnik powinien nacisnąć sobie tylko znany przedłużacz. Nie robi tego, bo już nie podniesie się z wilgotnej trawy. Jemu z kolei nie potrzeba więcej czasu pod warunkiem, że wszystko znajdzie w miejscach, w których się spodziewa.. Za zakrętem przybysz nacisnął czwarty klawisz w skrzynce elektrycznej. Tylko ten klawisz mógł mu otworzyć drogę wiodącą do schowka. Schody, które prowadziły na pierwszy poziom pod ziemią, zostały wyłączone. Minał je, znowu włączył automat i stanął niezdecydowany w okrągłym pomieszczeniu o trzydziestu paru drzwiach. Sięgnął do kieszeni. Sunął teraz wzdłuż kolejnych drzwi, niosąc przed sobą na wyciągniętej dłoni „pudełko”. Przy którychś z rzędu zatrzymał się. „Pudełko” dało znać. Drzwi rozsunęły się cicho. Nacisnął framugę. Równie cicho zamknęły się za nim. Znalazł się w białym hallu. Na wprost kusząca winda. Uśmiechnął się kwaśno. Wiedział, że tego systemu nie da się wyłączyć. Skręcił w lewo. Teraz krętymi schodami w dół.

Ciemny korytarz. Przyćmione światło o sinofioletowym odcieniu. Kontury przedmiotów i załomy murów zlewały się w łagodne, pozbawione kanciastości linie. Stąpał bardzo ostrożnie. Całe ciało sprężone, ledwo dosłyszalny oddech. Za szybą kolejnej budki, plecami do niego, siedział strażnik. Pochylony, jakby czytał

książkę rozłożoną na kolanach. Człowiek sprężył się i zatrzymał. Chwila wahania. Promiennik nie wchodził w rachubę. Tak jasny błysk to pewny alarm. Trzeba strażnika w jakiś sposób wywabić. Wiedział o tym od początku, jednak teraz, kiedy musiał to zrobić, wahał się. Jeżeli ten człowiek zareaguje inaczej?... Szurnął lekko nogą. Strażnik wyprostował się, lecz nie odwrócił. Mężczyzna stał za nim o krok. Teraz wszystko się zdecyduje. Jeśli podniesie alarm nim pomyśli?... Bo jeśli pomyśli?... Pomyślał! Ręka błyskawicznie powędrowała do kieszeni. Poczł w dłoni chłód lagownicy. Strażnik odwrócił się. W tym momencie krótki cios lagownicą zwałił go z nóg. Człowiek złapał osuwające się ciało pod pachy i łagodnie opuścił na posadzkę. Czas - płynął. Nic się nie działo. To znaczy, że wszystko zostało wykonane prawidłowo. Mikrokomórka nie zarejestrowała szelestów ani dźwięków nietypowych.

Dalej znów schody. Nie biegł, szedł równym krokiem strażnika. Korytarz urywał się ślepo. Nie ślepo. Jego koniec przegradzała żelazna konstrukcja głównego sejfu. W tym miejscu kończyła się spokojna droga. Pozostała mu jedynie minuta czasu. Teraz opanował się do granic możliwości. Skoncentrowany na jednym. Bezszelestny. Najczulsze urządzenia rejestrowały tutaj każdy szmer, nieznaczny, przypadkowy głębszy oddech czy szelest płaszcza mogły uruchomić system.

Wyciągnął promiennik. Przytknął go do głównego zamka ruchem ciągłym i gładkim, żeby nie wzbudzić nagłej fali powietrza. Wylot lufy zatrzymał o milimetr od powierzchni chropawego metalu. Ułożył pod odpowiednim kątem. Tygodniami trenował takie właśnie ułożenie lufy. Rzucił okiem na zegarek. Siedem sekund. Za siedem sekund strażnik miał nacisnąć przedłużacz. Gdy to nie nastąpi, automatyczny mechanizm przesunie główną kasę sejfu na inny, znany tylko konstruktorom poziom. To samo stanie się, jeżeli on teraz nie trafi w umieszczony na przeciwległej ścianie mikronadajnik, reagujący na uszkodzenie drzwi. Cztery sekundy. Błyskawicznym ruchem nasunął na oczy okulary. Uderzenie musi być bardzo silne. Trzy-dziesiętcentymetrową płytę promień musi pokonać szybciej niż impuls, który popłynie w momencie dotknięcia pierwszej warstwy drzwi gorącym liźnięciem.

Zegarek. Sekunda. Strzał! Cisza.

Alarm! Światło zaczyna pulsować.

Uderzał promieniem punkt koło punktu, wycinając główny zamek.

Alarm! Przybysz przekraczał drzwi, wsunawszy się w okrągłą dziurę powstałą w miejscu zamka, w chwili gdy strażnicy z wartowni wbiegali w prosty korytarz bez okien, z kolumnkami wywietrzników w suficie.

Alarm dociera do rejonowej grupy Straporu. Człowiek odcina bok głównej kasy jak kromkę chleba. Strażnicy są już w okrągłym pomieszczeniu o trzydziestu paru

drzwiach. Trzy strady Straporu kierują się w kwadrat instytutu. W tym momencie mężczyzna drżącymi rękami przewraca w sejfie papiery, pot pokrywa mu czoło. Wąska strużka ścieka koło nosa. Znalazł. Są!!! Bierze je pod pachę. Jeszcze jakieś dwie teczki.

Strażnicy zbiegli po schodach. Jeden zatrzymał się przy ciele obezwładnionego kolegi. Trzy dalsze strady rejonowej grupy i sześć z komendy subdzielniczy wjechało w kwadrat. Rzut oka, czy nie zostawił jakichś śladów. Ale nie ma już czasu. Od przebiccia drzwi minęło osiemnaście sekund. Za plecami słyszy tupot nóg. Dwa strady, które pierwsze otrzymały rozkaz hamują z gwizdem pod instytutem.

- Okrążyć i obstawić teren - zaskrzeczał głos w sieci.

Jeden ze stradów ruszył. Człowiek wyciął otwór w tylnej ścianie sejfu i zniknął w nim w momencie, gdy pierwszy strażnik przesadził próg pomieszczenia, odbezpieczając kufę. Człowiek, nie myśląc o niczym, rwie do przodu, byle szybciej. Słyszy za sobą oddechy, ale nie może przyśpieszyć, zapasowy korytarz jest kręty. W ostatniej chwili zauważył wnękę. Wpadł w nią. Dłoń ujęła promiennik niemal z pieśczołą. Spokój!... - upomniał się w myśli.

Już są. Na posadzce słyhać coraz bliższy stukot butów. Dłonie wilgotnieją. Fala gorąca uderza do głowy. Pot ścieka krzywymi strużkami, skronie pulsują. Każdy mięsień boleśnie napięty. Trzy kroki, dwa kroki, jeden!!!... Wyskoczył naciskając spust. Promień zamiótł na wysokości pasa przestrzeń od ściany do ściany. Błysk był za jasny, Zabiłem ich - pomyślał. Po cięciu drzwi zapomniał przełączyć na ogień ogłuszający. Trudno. Strażnicy leżeli nieruchomo. Kończyny porozrzućane. Popalone, miejscami zwęglone ciała.

Korytarz kończył się pionową ścianą. Ścigany w biegu wsunął promiennik do kieszeni i błyskawicznie windował się na powierzchnię, podważając przykryty ziemią luk. Stał teraz w ogrodzie. Otaczała go ciemność gęsta jak legumina. Nieprzenikniona. Zerwał z twarzy okulary. Pojaśniało. Syk i błyskawice przecięły powietrze. Momentalnie padł na ziemię. Zauważył kierunek. Jeszcze nie koniec. Zjawili się szybciej, niż myślał. Znów wyszarpnął promiennik. Przeczółgał się kilka metrów, starając się nie robić hałasu. Tamten ukrywał się gdzieś pod drzewem. W miejscu, gdzie przed chwilą spoczywał człowiek, leżała kula żaru.

Działo?! - pomyślał przerażony. Ziemia była wypalona na kamień. - Przecież nie wolno im używać... - nie dokończył. Kolejny okrąg żaru polizał mu stopy.

Zerwał się i skulony sunął, na ile mu tylko starczyło tchu, w stronę ciemnej plamy muru. Powietrze przecięło kilka błyskawic jednocześnie. Jeden z promieni rozerwał mu rękaw. Skóra zapiekła. Zatrzymał się pod samą ścianą, odwrócił i nacisnął spust. Podciągnął się na rękach i wywindował na górę. Promiennik leżał porzućony pod murem. Za plecami słyszał chrzęst padających, ściętych w połowie

drzew i poczuł żar, jakim wypełnił się ogród. Wśród trawy popęzły języki płomieni. Trafiając na gałęzie, obejmowały je i, wzmocnione, pełzły dalej coraz pewniejsze i jaśniejsze, bardziej żółte. Mur stanowił aktywną barierę. Sarn mur i wszystko w odległości jednego metra po jego stronach. Wiedział o tym. Na terenie bariery przebywał dłużej, niż zamierzał z początku. Od strony ulicy znajdowała się fosa. Lodowata woda, wymarła, jakby destylowana, porażona aktywnością. Wypełzył wreszcie na chodnik. Obejrzał się za siebie. Nikt go stamtąd nie ścigał.

Przy krawężniku stał jego strad. Właśnie nachylał się do klamki, gdy zza zakrętu wypadł strad Straporu błyskając niebieskim światłem. Ścigany pobiegł w kierunku drugiego muru, ciągnącego się po przeciwnej stronie ulicy. Przeciął jezdnię i wczepiwszy się w drewnianą furtkę, szarpnął ją z całej siły. Wóz Stroporu znajdował się tuż, tuż - jakieś dwadzieścia metrów za nim. Bramka ustąpiła. Człowiek wpadł do ogrodu. Powietrzem szarpnęła salwa. Obok niego dwie kule żaru rozpląszczyły się na trawie.

Przerzucili z działa - pomyślał. - Sukinsyny!

Zatoczył się. Żar szedł w jego stronę. Zamroczyło go. Poczuł, że się dusi. Zrobił z wysiłkiem dwa kroki. Tutaj było już trochę tlenu. Jeszcze kilka kroków i dopadł przeciwległych drzwi.

Wychylił głowę na ulicę. Cisza. Nikogo. Pośrodku jezdni zauważył okrągłą żelazną pokrywę. Podbiegł do niej. Sprężył się. Płyta ustąpiła. Dwoma susami znalazł się wewnątrz pionowej studni. Zasunął za sobą klapę. Po drabinie zaczął schodzić w głąb, aż wreszcie zatrzymał się na dnie kanału. Usłyszał szum pojazdu i jęk syreny, które wkrótce oddaliły się i umilkły.

Dobrze! - pomyślał. Jeszcze nie wiedzą, gdzie im się wymknąłem.

Sprawdził, czy nie zgubił cennej zdobyczy. Miał wszystko prócz promiennika. Ale to nic. I tak szybko zorientowaliby się, skąd ten promiennik. Przeszedł kilkanaście kroków niskim tunelem kanału i zatrzymał się.

Będą iść moim śladem - myślał gorączkowo. Wyjdę gdzieś daleko i pojeżdżę tekarem.

Zaświecił latarkę. Położył ją na wilgotnej kamiennej półeczce, kierując światło w dół. W korytarzu panował stęchły zaduch. Ziemiste, przesycone wonią odpadków powietrze pomieszane było z zapachem pleśni i zgnilizny. Na ziemi starannie rozpostarł kawałek folii, na nią rzucił zwinięty w kulkę kawałek papieru. Ściągnął z dłoni papilarki. Położył je na papierze. Podpalił. Nikły obłoczek dymu sunął przy podłożu kanału. Z latarką w ręku szedł, lekko zgarbiony, ciemnym korytarzem.

Na górze nad jego głową szalał Strapor, przetrząsając każdy metr terenu, rewidując, kogo się da, i strzelając w powietrze dziesiątki rozświetlających pocisków. Nad cichą dzielnicą Valaco, pogrążoną w nocnym śnie, od dobrej chwili

panował dzień. Dzień białego ognia promienników, niebieskich świateł patrolowców, czerwonego blasku świetlnych rac. Tymczasem człowiek z każdą chwilą oddalał się coraz bardziej od tego miejsca i zbliżał się właśnie do kordonu otaczającego dzielnicę.

Inspektor Off od dłuższej chwili wpatrywał się w rozprutą kasę.

- To dziwne - powiedział - że taki system nie zdał egzaminu.

Jego wzrok spoczął na odciętej płaszczyźnie bocznej ściany.

- Mocny - stwierdził wskazując prawie równą krawędź płata metalu.

- Mocny - potwierdził jego najbliższy współpracownik Dager, spod sufitu, gdzie szukał nie wiadomo czego.

Starszy grubawy pan stał przed kasą, nerwowo miętosząc połę marynarki. Siwe włosy przykrywały mu uszy i dalej biegły równą linią jak stalowy hełm. Ruchliwe palce przypominały kielbaski.

- Nic nie rozumiem - mamrotał pod nosem, wpatrując się w rozcięte żelazne płaszczyzny.

- A pan jak myśli? - zwrócił się do niego Off.

Starszy pan był przedstawicielem firmy montującej i gwarantującej ten system. Głos mu drżał, oczy krążyły niespokojnie.

- Nigdy - zaczął - nigdy bym nie przypuszczał... Czy pan zdaje sobie sprawę, co to był za system - mówił patrząc kolejno na inspektora, na kasę, wreszcie na czubki swych lśniących butów. - Człowiek, który tutaj się włamał, wykorzystał ułamek szansy, jaką nasz system pozostawiał. Technika jego działania wskazuje, że musiał przynajmniej trochę ten system znać...

- Nie o to pytam - przerwał Ins Off. - Czy był mocny?

- Cóż - zastanowił się szpakowaty grubasek, niechętnie odrywając się od interesującego tematu, w dodatku tak brutalnie uciętego. - Na pewno mocny - wycedził wreszcie. - O tak mocnym i przenośnym promienniku jeszcze nie słyszałem - westchnął. - No cóż, co prawda nie słyszałem, ale nie wykluczone, że taki istnieje i to nawet w naszym mieście. Niestety informacja na ten i na inne tematy jest zawsze...

- Niepełna i niewystarczająca - przerwał znów inspektor. Był trochę zły. - Oczywiście, że taki promiennik istnieje, skoro został użyty.

Dager nadal szperał przy lampie. Inspektor zażartował:

- Z pewnością zaraz znajdziesz odciski palców należące do faceta, który tę lampę zakładał.

- Niczego nie można zaniedbać - odpowiedział mu tamten, ani na moment nie przerywając swoich czynności.

Dager uchodził w całej Komendzie Służby Nadzwyczajnej za największego pedanta i nadgorliwca. Co do jego nadgorliwości w pracy inspektor miał swoje

zdanie, jednak pedantem był Dager nieprzeciętnym. Na ten temat krążyły po komendzie najróżniejsze anegdoty. Nie ulegało wątpliwości, że dzięki jego drobiazgowej dokładności nieraz udawało się wpaść na jakiś ważny trop. Inspektor natomiast nie dość, że nie należał do pedantów, to jeszcze na dodatek posiadał bałaganiarskie zacięcie, tzw. artystyczną duszę, co w połączeniu z cechami Dagera stwarzało jedyną w swym rodzaju mieszankę, połączenie niezastąpionej w śledztwie pedanterii z artyzmem i polotem, również w śledztwie nadzwyczaj przydatnym. Stanowili oni obecnie niewątpliwie najniebezpieczniejszą dla wszystkich przestępców kontynentu parę funkcjonariuszy Straporu. Natomiast pan Heir był w tej chwili chyba najniezwyklejszym człowiekiem na Phasangu, ponieważ jak zwykle polecono mu misję ratowania opinii firmy, której niezawodny system zawiódł po raz kolejny. Pan Heir musiał teraz delikatnie zbaczać z tematu i świecąc oczami wyjaśniać wszystkim wkoło, że stała się rzecz niemożliwa. Inna rzecz, że tym razem wydarzyło się coś naprawdę niemal niemożliwego. Ale po tylu wypadkach, kiedy zwykli złodzieje rozbierali systemy ACO, opinia publiczna już nie uwierzy, że zaszło coś niewiarygodnego i jego firma stanie w obliczu plajty, no, może nie zaraz plajty, ale z pewnością poważnych finansowych trudności.

- Więc twierdzi pan - zwrócił się do niego inspektor - że luki są minimalne i mały jest procent szansy ich wykorzystania?

- Ale cóż pan mówi? - obruszył się Heir wymachując dłonią. - To był promil, nie procent, promil, rozumie pan.

- Niech się pan nie gorączkuje - powiedział inspektor przypatrując się guzikom nienagannej zielonej koszuli grubasa. - Jaka to mogła być marka?

- Marka czego - nie zrozumiał Heir.

- Promiennika.

- Hm... - przedstawiciel ACO podrapał się w brodę. - Najbardziej przypomina jakiś pro-mienik ACO Nord.

- Nie wie pan, która firma zaopatrywała strażników w promienniki?

- Strażnicy nie mieli promienników, tylko kufy.

- Tak, a kto ich zaopatrywał w kufy?

- Nie wiem, powie to panu dyrektor instytutu.

- Na razie dziękuję - rzekł inspektor. Heir lekko się skłonił i skierował w stronę drzwi z wyciętym, osmolonym otworem w kształcie jajka.

- Jeszcze jedno - zatrzymał go inspektor. - Kto oprócz pana wiedział, jak ten system funkcjonuje?

- Kto wiedział? - Heir zatrzymał się. - Dyrektor i jego dwaj zastępcy z instytutu, główny projektant ACO, specjalista z firmy ubezpieczeń, dowództwo Oddziałów Specjalnych i pełnomocnik Tajnej Rady - przerwał - ...no i ja, oczywiście, jako zastępca dyrektora ACO.

- Dziękuję panu - powtórzył inspektor. - Jeśli będziemy się chcieli czegoś ciekawego dowiedzieć, to wpadniemy do pańskiej firmy.

- Proszę bardzo - starszy pan opuścił pomieszczenie z godnością i po chwili ucichły w korytarzu jego kroki.

- Zdaje się - odezwał się Dager - że pan Heir nie jest specjalnie zachwycony współpracą z nami.

- Na to wygląda - odrzekł inspektor. Dager zebrał właśnie ostatnie odciski z żarówki i zszedł na dół. Starannie ułożył wszystkie próbki w niedużej walizeczce, będącej jego podręcznym laboratorium i, strzepnąwszy kurz z ubrania, zatrzasnął wieko.

- Wiadomo już, co zginęło? - zapytał.

- Właśnie sami wielcy z instytutu grzebią teraz w papierach. Czuję, że nie udało im się jeszcze dociec, co jest, a czego nie ma. To, widać, nie takie proste dla naszych cudotwórców - powiedział inspektor i zapatrzył się w owalny otwór o przekroju 70 centymetrów w miejscu, gdzie dawniej tkwił w drzwiach zamek. - Co o tym myślisz, Dager?

- Przypuszczam, że nic tutaj nie znajdziemy, to był fachowiec.

- I w dodatku - dodał Ins Off - zniknął jak kamfora. Te cymbały z Porządkowej zawsze muszą coś przegapić albo przepuścić. Wszystko, bałwany, spartaczą!!!

Dager pokiwał głową.

- Zdaje się - powiedział - że nie tylko panu Heirowi cała sprawa i współpraca z nami się nie podoba.

- Wiadomo. Porządkowej nigdy się nie podobała współpraca z nami.

- Nie o Porządkowej mówię - rzekł Dager z szelmowskim uśmiechem i zniknął za drzwiami.

Inspektor z pasją cisnął za nim notesem i osunął się na krzesło. Notes upadł tak, że pozaginały się w nim kartki.

- Dokąd idziesz? - krzyknął za Dagerem. Nie doczekawszy się odpowiedzi, wstał z fotela, podniósł notes i, cierpliwie rozprostowując w nim kartki, wyszedł przez dziurę w ścianie na korytarz, którym uciekł napastnik. Panował tu przedziwny zapach. Coś pośredniego między zjonizowanym powietrzem a przegrzanym kauczukiem. Inspektor kroczył powoli, pogrążony w rozmyślaniach. Faktycznie nie miał najmniejszej ochoty zajmować się tą sprawą, która w dodatku wypadła akurat w momencie, kiedy obiecano mu urlop. Niedługi, bo tylko pięciodniowy, ale Ins czuł się dosyć zmęczony... Marzył o wiecznie zielonych południowych brzegach Vollu. Zwłaszcza o Florey. O tej porze, na wiosnę we Florey jest już ciepło. Na białych plażach doskonale można było się opalać, wdychając zapach słonej wody, piasku, namokniętych korzeni halce i ryb. Florey kojarzyło mu się jeszcze z czymś innym, z czymś bardzo miłym... z pewną kobietą,

którą poznał podczas polowania podwodnego w ciepłej zatoce morza Ptieex... Ocknął się z zamyślenia. Przed nim stał Agis. Podins Agis, prawa ręka Ins Offa.

- Zamyśliłeś się tak, że można by strzelać z działka, a ty byś szedł dalej, nie zwróciwszy na to najmniejszej uwagi.

- Jest nad czym - uśmiechnął się Ins.

- Tak, tak - rzekł Agis. Sprawa nie będzie prosta. Nawet wygląda paskudnie, mówiąc szczerze. Nie znamy jeszcze szczegółów, a już to wszystko jakoś nieczysto pachnie. Potwornie nieczysto.

- Coś wiesz? - zapytał go Off i przypatrzył mu się uważnie. - Wiesz, tylko nie chcesz tak z miejsca powiedzieć. Musisz się podelektować? Co?

Obaj roześmiali się.

- Rzeczywiście - powiedział Podins. - Znalazłem ślad.

- Gdzie? Czeka! Nic nie mów, sam zgadnę... Uciekł dachami?

- Nie, ale coś w tym rodzaju. Uciekł kanałem pod następną przecznicą.

- Fantastyczne.

Inspektor stanął podparłszy brodę dłonią. Brwi miał zmarszczone, a cała jego młoda, wysportowana sylwetka przykurczyła się, jakby od intensywnego myślenia.

- Dlaczego powiedziałeś - zwrócił się do Agisa - że to brzydka sprawa? Mnie się ona także nie podoba. Ale dlaczego tobie?...

- Widziałem straż OS przed instytutem. Jeżeli oni czegoś tu szukają, to możesz być pewien, że sprawa wiąże się z Tajną Radą, a jeśli tak jest, to będzie na pewno cuchnącą sprawą, którą wolałbym się nie zajmować.

- Racja - potwierdził inspektor. - Prowadzić takie śledztwo to znaczy znaleźć się między młotem a kowadłem.

Zamyślił się znów. Szli korytarzem, trzymając ręce w kieszeniach.

- Więc mówisz, że oni już tu są.

- Tak, niestety - westchnął Agis. Sprawa zaczynała wyglądać coraz bardziej nieprzyjemnie. Zatrzymali się na chwilę w miejscu, gdzie ściany korytarza przecinała czarna poprzeczna pręga. Technicy kończyli tutaj pracę.

- I co, Watir? - rzucił Podins Agis.

- Zaczaił się w tej wnęce, a potem wygarnął. Chyba pełną mocą - odpowiedział mu chudy, tyczkowaty młodzieniec o bladej cerze i jasnych włosach. - Straszna miazga - dodał jeszcze i zabrał się do swojej roboty.

- Ilu ich było? - zapytał Off Agisa.

- Czterech - rzekł tamten wspinając się na drabinkę.

Z włazu wyszli do ogrodu. Przypominał ten ogród ruinę. Dwa spalone na kamień okrągłe placki gruntu, porozcinane, popalone drzewa i krzaki, spalona miejscami trawa. Słowem pogorzeliśko.

- Ogniogasze - powiedział Agis - mieli trochę roboty.

- Rzeczywiście - przytaknął inspektor. - Tutaj zastawili pułapkę?

- Tak. Strażnicy wskazali mi to miejsce jako możliwe, ponieważ tu kończy się korytarz rezerwowy od głównego sejfu.

- Tak, ale porządkowi nie nadają się nawet do utrzymywania porządku, a co dopiero mówić o robieniu zasadzek. To było beznadziejne - inspektor z niezadowoleniem pokręcił głową. - Gdyby mieli choć odrobinę więcej odwagi... Ale żaden z nich nie zaryzykuje jednego kroku w pogoni za bandytą, jeżeli wie, że tamten może mu dać kopa.

- No. Trochę za bardzo na nich najeżdżasz. Chłopcy się starali. Zdemolowali jeszcze drugi ogród za pomocą działek.

- A propos. Kto im pozwolił użyć działek? Przecież nie wolno tego robić. Oczywiście z pewnymi wyjątkami.

- Dostali rozkaz - rzekł Agis.

- Rozkaz - inspektor popatrzył na niego spode łba. - Widzę, że masz więcej powodów, by mówić, że to cuchnąca sprawa. Więcej, niż chcesz powiedzieć.

Agis zmieszał się trochę.

- Przecież wiesz, że... - zaczął.

- Tak, tak - przerwał inspektor klepiąc go po plecach. - Obejrzymy sobie to pobojuwisko.

W ich stronę nadchodził właśnie Dager.

- Znalazłem miejsce, z którego tamten tak strasznie wygarnął - powiedział.

- Widzę, że jesteś na tropie - rzekł Agis. Dager skłonił się dwornie.

- Tak jest, jasnie panie Podins.

- No, no - Agis przymrużył lekko oczy. - Nie pajacuj.

- Słowo daję. Chodźcie ze mną. Razem poszli pod mur.

- Możecie się nie obawiać - powiedział Dager. - Bariera nie działa. Spójrzcie tutaj - wskazał lekko wgniecioną trawę. - Stał w tym miejscu. A tutaj... znalazłem promiennik. Niewątpliwie to jego.

- Co? - krzyknęli równocześnie Ins i Podins. - Pokaż natychmiast!

Dager otworzył walizeczkę i wyciągnął mały czarny promiennik z drewnianą rękkojeścią.

- Bravo! - Agis aż ręce zatarł z zadowolenia. To jest coś! Cacko nieseryjne! Jak zwykle dzięki tobie rozwija się śledztwo.

- Chodźmy na górę, może naukowcy skończyli obliczać straty i czegoś się od nich dowiemy - powiedział inspektor.

- A ty znalazłeś coś - zapytał Agisa Dager.

- Tak. W kanale. To stary nieużywany kanał. Dwie przecznice stąd. W odległości dwudziestu kroków od wejścia do kanału na posadzce zwęglone szczątki. Prawdopodobnie gittino-we papilarki.

- Tak... - westchnął Dager. - Niepotrzebny trud. Nie ma co szukać śladów. Nic więcej nie znajdziemy. Puściłeś kogoś tropem bariery?

- Ja puściłem - powiedział inspektor zmęczonym głosem. - Siad jest raczej mocny.

- Dosyć długo przebywał na terenie bariery.

- Nieźle się uaktywnił - zaśmiał się Agis. - Byle nie wykorkował.

Weszli do budynku. Inspektor pomyślał, że skoro działała tu przed nimi OS, to niewiele się dowiedzą. A może nawet tamci odbiorą im sprawę i będzie mógł jednak pojechać do Florey, zobaczyć, Ennanę?

Coraz bardziej nużyło go Vallaco. Parki, przypominające lasy, w których można się zgubić, wielkie i tłoczne knajpy, wielopoziomowy ruch, wieczny szum, słyszalny o każdej porze dnia i nocy kilka kilometrów od metropolii, ciągła kakofonia barw i zapachów, budynki przypominające całe miasta, w których również można się było zgubić, wrzaskliwe reklamy, nie dające odpoczynku stukolorowe fontanny i baseny z zimną, powodującą gęsią skórę i sztywnienie mięśni, wodą.

Offowi bardziej odpowiadał klimat wcześniejszej epoki niż ta, w której przyszło mu żyć, i nieco cieplejsze powietrze. Małe parki Florey i ciepło floeryskiej zatoki...

Inspektor chciałby, żeby im odebrano tę sprawę, był jednak przekonany, że tak się nie stanie. Choćby dlatego, że nie przypadkiem ich właśnie ściągnięto na wstępne rozpoznanie.

Weszli powoli na piętro gmachu. Korytarze były przeszklone i jasne. Kolor ścian - świecąco-pomarańczowy - dodawał im blasku. Przypominało to coś na kształt zamkniętego w farbie słonecznego światła. Watir stał pod drzwiami gabinetu.

- Mądre głowy czekają - powiedział otwierając przed nimi stalowe, obite skórą drzwi.

Weszli do gabinetu dyrektora Foya. Wbrew panującym obecnie zwyczajom nie było tu komputerowej sekretarki, tylko młoda panienska o zgrabnych nogach i miłych dla oka wypukłościach.

- W stylu epoki - zawyrokował Dager z cicha pogwizdując.

Dziewczyna nie zaszczyciła go nawet przelotnym spojrzeniem. Nicco się speszył. Chrząknął i zmierzwił włosy.

- Rzeczywiście w stylu - powiedział Agis krztusząc się ze śmiechu na widok zakłopotania kolegi.

- Dość tego - uciął inspektor. - Nie po to tu przyszliśmy. Czy dyrektor Foy jest u siebie? - zwrócił się do sekretarki.

- Tak. Czeka na panów - powiedziała sekretarka, nie odrywając oczu od papierów.

Skierowali się do kolejnych skórzanych drzwi, które rozwarły się przed nimi jak bramy Sezamu. Wstępowali w nie skupieni, z pełnym namaszczeniem i szacunkiem dla wiedzy, wszechmocnej zapewne i potężnej, która ten właśnie gabinet upatrzyła sobie za siedlisko. Dziewczyna teraz dopiero rzuciła za nimi długie, zaciekawione spojrzenie. Gabinet także był klasyczny. Wszystko z epoki. Proste drewniane biurko z ciemnego drewna, blat plastikowy. Za biurkiem fotel ze skóry w kolorze drzwi, na podłodze purpurowy dywan z długim włosiem, Po przeciwnej stronie biurka kilka identycznych foteli, w donicach karłowate drzewka sur o ceglastych z bordowym liśćmi. Dwie ściany obstawione dokładnie półkami, na których spoczywały grube tomy rozpraw naukowych, również w skórzanych obwolotach koloru drzwi. Na najniższej półce historyczne już dziś instrumenty astronomiczne i statuetki, zapewne pamiątki z różnych okolicznościowych zjazdów i uroczystości. Wreszcie na sam koniec dyrektor Foy we własnej osobie i jego współtowarzysze. Dyrektor w szafirowym fraku w błyszczącym kołnierzem i jasnoniebieską chusteczką w butonierce. Wysokie szafirowe buty ze skóry ararga, z okrągłymi noskami, do nich wpuszczone obcisłe spodnie w cienkie prążki. Oczywiście w jeszcze innym odcieniu niebieskiego. Na przegubie dłoni bransoletka z futra i muszelek. Pozostali dwaj faceci ubierali się mniej więcej tak samo, z małymi modyfikacjami w kolorach i w dodatkach.

- To moi najbliżsi współpracownicy - rzekł do inspektora Foy i wskazał palcem o paznokciu pomalowanym na niebiesko dwóch łysawych, tyczkowatych jegomościów, którzy w tym momencie uśmiechnęli się blado i lekko skłonili swe duże, mądre głowy.

- A to - powiedział inspektor wskazując na Dagera i Agisa - moi dwaj najbliżsi współpracownicy.

Agis obdarzył zebranych krzywym uśmiechem.

- Proszę. Niech panowie siadają - zachęcił ich dyrektor.

Rozsiedli się wygodnie, wpadając głęboko w przepastną toń zwałów gąbki.

Siedząc w ten sposób można chyba tylko zasnąć - pomyślał inspektor, a na głos powiedział: - Myślę, że udało się panom zorientować w papierach?

Dager manipulował przy swej walizce. Chyba mocował się z wieczkiem. Włożył wreszcie jakiś drobiazg do kieszeni i odsapnął. Dyrektor chwilę go obserwował, po czym przeniósł pytające spojrzenie na inspektora.

- Inspektor pytał o papiery - podsunął mu usłużnie wyższy i bledszy z jego współpracowników.

- Acha. Tak, tak. Oczywiście. Ustaliliśmy brak trzech teczek z dokumentami. Nie było to proste. Ustaliliśmy też, o który plan głównie chodziło sprawcy. To

wynika ze specyfikacji... - zamilkł, potarł czoło i kontynuował: - Krótko mówiąc, skradziono pewien ważny plan, którego treść pod żadnym pozorem nie powinna się przedostać do wiadomości publicznej.

- Czy mam przez to rozumieć, że Tajna Rada ukrywa coś przed... - zaczął Off.

- Może pan rozumieć, co się panu żywnie podoba - przerwał mu Foy. - Macie panowie prowadzić śledztwo niezależnie od OS i możecie liczyć na nasze informacje, co prawda w nieco zawężonym zakresie, ale wystarczającym do prowadzenia śledztwa.

- Zabawa w ciuciubabkę - szepnął dość głośno Dager do Agisa.

Foy udał, że tego nie słyszy. Nie przerywał sobie.

- Mogę powiedzieć tylko tyle, że sprawa dotyczy lotu, który w najbliższym czasie ma się rozpocząć. Jest to lot oficjalny, lecz pewne za dania, których nie wolno w tym momencie ujawniać ze względów społecznych i innych ważnych powodów, trzymane są do ostatniego momentu w ścisłej tajemnicy. Przedwczesne jej zdradzenie spowodowałoby niepowetowane straty dla całej ludzkości. Dlatego też rola panów sprowadza się do znalezienia tego człowieka, a przede wszystkim nie wolno dopuścić, aby rozpowszechnił posiadaną tajemnicę. Teraz słucham i postaram się jak najściślej odpowiedzieć na pytania, jakie mi panowie zadacie.

Cóż za kwiecistość i elokwencja - pomyśleli równocześnie trzej funkcjonariusze Służby Nadzwyczajnej Straporu.

- Czy strażnicy instytutu znali całość systemu ochrony?

- Nie. Każdy z nich znał jedynie swój wycinek.

- A czy nie mogli się oni ze sobą porozumiewać? - naiwnie zapytał Agis.

- Oczywiście, że... - dyrektor zawahał się - ...nie są izolowani, żyją normalnie... Słowem teoretycznie to możliwe pomimo zakazu prowadzenia rozmów na tematy służbowe i czasowych obserwacji.

- Kto prowadził te obserwacje? - Dager przestał się interesować swoją kieszenią i tym, co w niej miał.

- Rzecz jasna, oficerowie OS.

- Czy ktoś ostatnio zwalniał się z pracy?

- Tak, zwolniliśmy trzy osoby z obsługi technicznej kosmodromu i dwie z obsługi naukowej - zabrał głos niższy z pomocników dyrektora.

Wydawał się on znacznie żywszy i ruchliwszy od swego współtowarzysza. Stale kręcił się na fotelu i skubał brodę, przystrzyżoną tuż przy skórze, podczas gdy ten wyższy patrzył nieruchomo gdzieś w kąt pokoju i z pozoru w ogóle nie interesował się rozmową.

- Tak - skonstatował inspektor. - Więc już coś mamy. Może mi pan podać nazwiska tych zwolnionych?

- Czterech, panie inspektorze - odezwał się ten wyższy, jakby wytrącony ze swych rozmyślań.

- Wydawało mi się, że pan zastępca wyliczył...

- Poddyrektor się pomylił. Wiem o tym, ponieważ prowadziłem te sprawy. Piątego z powrotem przyjęto.

- Zgoda - powiedział inspektor. Kątem oka spostrzegł lekkie zakłopotanie na twarzy Foya. Zresztą nie był tego całkowicie pewien. - Wobec tego czterech.

- Nazwiska poda panu moja sekretarka - rzekł dyrektor.

- Jak mocna jest bariera? - zapytał Agis.

- Dostatecznie mocna, by zabić kogoś, kto przebywa w niej dłużej niż minutę.

- Kolejna szansa - mruknął Dager pod nosem.

- Czy dużo macie w instytucie promienników? - zadał pytanie Ins Off.

- Sześć - odpowiedział mały jegomość.

- Czy zniknięcie planów może od strony technicznej uniemożliwić zamierzone przedsięwzięcie? - inspektor pytał nadal według swego systemu.

- Nie. Kradzież dokumentacji nie powinna mieć znaczenia dla technicznej realizacji planu.

- Kto miał dostęp do gittinu?

- Praktycznie wszyscy, inspektorze, nawet strażnicy.

Inspektor westchnął:

- No cóż - wydusił podnosząc się z trudem z fotela. - Wobec tego na razie dziękujemy panom.

Dager i Agis wstali również.

- Mam nadzieję, że jeśli mi przyszło coś na myśl, to mogę się z panami skontaktować?

- Oczywiście, inspektorze - powiedział Foy. - Tylko jeszcze jedno.

- Słucham?

- Niech panowie dobrze pamiętają o tym, do czego ich zobowiązuje przysięga składana przed laty. Wolałbym, żeby nikt nie musiał panom tego przypominać.

- Nieładnie, panie dyrektorze - rzekł inspektor wspierając się na oparciu fotela, na którym siedział. - Znamy dobrze obowiązki i nie trzeba nas wcale straszyć. A poza tym jeżeli nie zasługujemy na zaufanie, to niech pan skieruje, przy pomocy swoich wszechmocnych znajomych, sprawę w inne ręce i nie obraża wszystkich bez powodów.

Inspektor odwrócił się i zamaszystym krokiem opuścił gabinet. A za nim jego dwa nieodłączne cienie.

- Agis! - rzucił ostro przechodząc przez pomieszczenie, gdzie siedziała sekretarka. - Zajmij się panienką!!!

- Tak jest, szefie.

Ins Off był wściekły. Ośmielili się otwarcie mu grozić! Jemu, Ins Offowi, który zrobił na pewno więcej dla tego zakichanego kontynentu niż niejeden z tamtych, teraz grożono konsekwencjami i to nie byle jakimi. Off wiedział dobrze, o czym Foy mógł myśleć. Nie czas na żarty. Do samego Foya nie miał pretensji. Temu bubkowi przez gardło by takie słowa nie przeszły z własnej woli. Za nim stał ktoś większy. To pewne. Ktoś, kto liczył się w OS. Te rozbijmordy wiele by dały, żeby z nim, Ins Offem, porozmawiać na osobności. Niestety jest dla nich nietykalny, oczywiście tylko dotąd, dokąd nie potknie się po raz pierwszy.

- Narobiliśmy sobie kłopotów - wycedził Dager. - Może uda się jeszcze z tego wycofać.

- Wątpię - odpowiedział zamyślony Off. Ocknął się gwałtownie. - Ale zadzwonimy do Taquanary. A nóż?

Spojrzał na Dagera. Chłopak był porządnie wystraszony.

- Nie martw się, Dager - Ins poklepał go po ramieniu. - Nie z takiego gówna żeśmy już nieraz wychodzili.

- Nie, Off - Dager smutno spojrzał mu w oczy. - W takie jeszcześmy nie wdepnęli. Nadszedł Agis.

- Trzymaj się, chłopie - powiedział inspektor do Dagera, ale w gruncie rzeczy jemu samemu przydałoby się teraz jakieś pocieszenie.

Agis również był skwaszony. Szedł obok nich, mc nie mówiąc. Uparcie patrzył pod nogi. Mogło się wydawać, że całą uwagę skupia tylko na tym, żeby się nie potknąć i nie wywrócić. W ponurym milczeniu opuszczali mury instytutu. Wyszli właśnie z bramy głównej i minęli miejsce, gdzie wczoraj został porażony strażnik Redan. Inspektor nawiązał do wydarzeń ubiegłej nocy.

- Pięć trupów - zastanawiał się na głos. - Pięć trupów dla marnego świstka.

- I ten Redan... - dodał Dager. Dotąd nie odzyskał przytomności.

- Pięć trupów, chociaż papiery nie uniemożliwiały startu rakiety. Mimo to były one i są dla tego faceta tak ważne, że nie wahał się mordować! Coraz ciekawiej - zastanawiał się Off.

- Co załatwiłeś z sekretarką? - zwrócił się do Agisa.

- Nazwiska i adresy tych czterech osób i nazwiska mających dostęp do promienników i sejfu.

- Wydaje mi się - powiedział Dager - że to nie wszyscy ludzie, którzy mogliby nam powiedzieć coś interesującego...

Off pokiwał potakująco głową. Wyszli na ulicę. Bulwar Xelet jeszcze o tej porze spał. Chodniki ziały nieprawdopodobną pustką, ogrodzone po obu stronach murami i kratami. Tutaj życie zaczynało się koło dziesiątej.

- Chyba się przejdziemy - zaproponował Agis.

- I ja nie mam ochoty jechać - zgodził się Dager.

- Więc chodźmy - rzucił inspektor. Ruszyli przed siebie w stronę ulicy Opaya.

Szli wolno. O świcie przeważnie robiło się chłodno. Agis postawił kołnierz. Off włożył ręce głęboko w kieszenie. Od morza wiatr niósł całą masę słonej, przenikliwej wilgoci. W południe będzie taki upał, że można by chodzić z krótkimi rękawkami.

Paskudny klimat - pomyślał inspektor. Na rogu Opaya kwiaciarze rozkładali kramy. Przecięli dwupoziomowe skrzyżowanie, po którym sunęły nieliczne jeszcze, dostawcze transstrady, i weszli na bulwar Santala, główną ulicę wylotową na wschód. Z Altalu, stolicy dawnego państwa, a obecnie jednostki administracyjno-gospodarczej Boydu, określonej nazwą Terytorium Dawnego Ydag, w skrócie Te-DeY, nadciągała bulwarem fala ciężkich transstradów wielkich firm przemysłowych, altalskich portów oceanicznych i międzynarodowych superkoncernów. Wszystko to mknęło, wzbudzając lokalny wiatr bądź do samego Valaco, bądź do Pixii, Persev czy Norsge albo też na biegnącą niedaleko hiperstradostradę kontynentalną, która łączyła największy oceaniczny port wschodniego wybrzeża Burm-mumb z wysuniętymi najdalej na zachód miastami gizyjskimi i sillańskimi. Potok, a właściwie rzeka zaczynała wzbierać właśnie teraz i okresowo wysychała około północy, aby znów popłynąć następnego ranka.

Minęli widoczne z daleka dźwigi portu Cardia, bocznicę towarowych tekarów, składowiska, hale magazynów portowych, potem suche doki. Po lewej stronie w niewielkiej kotlinie widać było lądowisko bobonsów i sterowców. Malutkie, stąd, a w rzeczywistości olbrzymie brzuchy wypełnione gazem wyglądały jak kolorowe jajka na zielonym obrusie soczystej trawy. Między zalesionymi pagórkami po tej stronie błyskała od czasu do czasu zielonkawa wstążka Nami.

W miejscu, w którym się znajdowali, bulwar

Santala ciągnął się grzbietem najwyższych pagórków i widok stąd - zarówno na lewo, na las Formenter, przecięty przez Nami i płaszczyznę lądowiska, a zamknięty na horyzoncie kompleksem najstarszej dzielnicy Delan, z jej perłą Bel-gaz Nolda (Zagłębienie Dłoni), jak i na prawo, na zatokę morza Mafafa, gdzie właśnie wschodziło słońce, odbijając się w burozielonych falach - był zaiste królewski. Architektom udało się trafić w dziesiątkę. Dalej trasa bulwaru obniżała się i wreszcie wpadał on między dwa wzgórza. Na jednym z nich umieścił się przysadzisty, giętki w linii kompleks wytwórni filmowych. Produkowano w niej od czasu do czasu, prócz wielu czysto rozrywkowych filmików, także jakieś wybitne dzieło.

Tutaj narodził się rewolucyjny w swych założeniach dramat „Hwarowy Las” z Gilirią Amcin w roli głównej. Reżyser po raz pierwszy operował efektami tworzącymi podświadomie nastrój widzów. Z premiery w pałacu Polidor Hemiglen ludzi wynoszono, inni uciekali przerażeni już po kilkunastu minutach. Nazajutrz

wybuchł skandal. Wielu spośród tych, którzy wtedy byli na premierze, do dzisiaj leczy się z ciężkiej nerwicy.

Valacańskie Wytwornie Filmów (V.A.M.) zawsze przyciągały wybitnych twórców i aktorów. W ich pobliżu rozciągało się osiedle zamieszkane przez osoby znane, uznane i będące aktualnie na fali. Domy niewielkie i raczej niepozorne wewnątrz, były jednak ostatnim krzykiem techniki. Istne maszyny do mieszkania! Można powiedzieć - szaleństwo filmowego świata. Gwiazdy i gwiazdki konkurowały ze sobą, wprowadzając do swych mieszkań coraz to nowe i coraz dziwniejsze mechanizmy.

Tu gdzieś w swej willi, wśród skomplikowanych mechanizmów i maszynerii, dobiegała swych ostatnich dni sławna Giliria Amcin. Zniedołężniała i zdziecinniała Giliria - nie tak dawno czarująca swym ciałem dziesiątki mężczyzn... Po tygodniu wyświetlania „Hwarowego Lasu” przed jej domem koczowało już kilkuset mężczyzn, a po następnych dwóch tygodniach aresztu domowego zaistniała konieczność ewakuowania aktorki w miejsce znane tylko szefowi Straporu. Taki był wynik eksperymentów Linra Amcina, jej brata, z działaniem wizji na podświadomość. Sam Linr ukrywa się do dziś. Strapor ścigał go dotąd, dokąd nie okazało się, że widziano go w Sov na Salvirze. Próba pertraktacji o wydanie zbiega nie mogła się powieść. Na Salvirze, a zwłaszcza w Sov lub Phlora, każdy mógł znaleźć azyl i był mile widziany. Natomiast na pewno nie traktowano równie miło kogoś, kto chciał stamtąd wyjechać i łatwo by policzyć na palcach osoby, którym udało się wydostać stamtąd w ciągu ostatnich lat. Linr był ścigany za spowodowanie rozstroju nerwów stu trzydziestu czterech osób, które wniosły do tej chwili skargę. Film wyświetla się dalej i codziennie przybywa skarg. Jedynym szczęśliwym zbiegiem okoliczności jest fakt, że wyłączność na eksploatację tego dzieła posiada Hemiglen. Film nie może być zatem rozpowszechniany. Wyświetla się go teraz w małej salce Center Pilidor Hemiglen, wielkiego pałacu rozrywki przy rondzie Hiar.

Powoli zbliżali się do Coloi, tego superwęzła komunikacji i usług. Coraz częściej czkającego i dławiącego się tłokiem i masą towarową. Już z daleka witały ich żywiołowe, ruchome reklamy biur podróży wędrujące wzdłuż chodników, nachalnie szepczące do ucha, kuszące zapachem floreyskiego lata czy mrozów Lagarenu. W oczy natrętnie pchały się setki metrów wystaw, kolorowych, świecących, błyszczących, mieniących się, agresywnych i przepysznych, obłudnie delikatnych, interesownie przystrojonych w najlepsze piórka. W niebo bił gwar i zapach stłoczonych ciał. Nieprzerwany ciąg stradów sunących przez wielopoziomowy węzeł na wszystkich wysokościach i we wszystkich kierunkach, wiszące chodniki, pomniki dźwiękowe i uliczne orkiestry - to wszystko stanowiło atmosferę Coloi. Restauracji i kawiarni spotykało się tutaj niewiele. Tu przede

wszystkim sprzedawało się i kupowało. Przeważały giełdy różnego autoramentu i różnej klasy. Tutaj można było w ciągu maksimum, dwudziestu minut nabyć każdą rzecz, jaka komukolwiek przyszła do głowy, jeśli tylko istniała na tym świecie oraz jeśli oczywiście, miało siłę czym zapłacić.

Wcześniej rano panował w Coloi względny spokój. Dopiero co otworzono sklepy z żywnością, owocami i kwiatami. Rozpoczęły właśnie sprzedaż budki z ognistymi lodami i słodkimi patykami oraz sklepy z gazetami. Sprzedawcy erbasate rozpalali ogień w paleniskach. Automatyczne sklepy żywnościowe i bary funkcjonowały oczywiście całą dobę. Tak samo stacje paliwowe, biura podróży i hoteliki, które służyły jako miejsce krótkich, trwających jedną noc lub kilka godzin postojów. Jeśli ktoś zamierzał zatrzymać się dłużej, przenosił się do hotelu w starym Delanie, rozrywkowej Dasinie lub rekreacyjnych dzielnicach Hocompe czy w centrum finansowo-administracyjnym Aminis.

- Chyba coś zjemy? - zaproponował inspektor.
- I napijemy się na pocieszenie - wzbogacił propozycję Dager.
- Znam tu taki mały barek - zachęcał Agis.
- Automatyczny? - spytał Dager.
- Tak, automatyczny.
- To świetnie. Prowadź! - Dager zatarł skostniałe dłonie.

Barek mieścił się między dwoma biurowcami, łączył budynki ze sobą. Wyglądało to dość oryginalnie. Jednopiętrowa kamieniczka wpleciona między dwa potężne wieżowce. Barek nazywał się Czerwony Brzdąc. Weszli do środka, starannie zamykając za sobą drzwi. Panowało tu przyjemne ciepło. Rząd skrzynek-pojemników zapewniał dość swobodny wybór.

- Ja przede wszystkim zjem przyzwoitą kanapkę ze szczypiorkiem i baczkiem - powiedział Ins Off.

- Dla mnie - odezwał się Agis - gorący bralion z kamowymi rurkami.

- Ja się tylko napiję - zakończył Dager. - Żółte copeauskie i zielone broglijskie.

A co dla was?

- Dla nas to samo - zarządził Agis. - Po trzy gorące szklaneczki.

Sprawnie operując guzikami wydobyli ze skrzynek to, co chcieli, i przenieśli się w głąb salki. Usiedli w rogu na wysokich krzesłach. W barze prócz nich siedziała tylko jakaś pyzata dziewczyna o prawie purpurowej skórze, a więc na pewno nie Vollanka. Mogła pochodzić z południowego Piu. Napychała właśnie pyzate, purpurowe policzki bułką z shanką, zapijając to wszystko obficie skwaśniałym mlekiem ousy. Odkąd weszli już trzeci raz kursowała po ten napój do pojemnika.

Inspektor skrzywił się z niesmakiem. Nie cierpiał kwaśnego mlekousaku, zresztą słodkiego także. Na myśl o tym świństwie robiło mu się niedobrze. Na wszelki wypadek usadowił się tyłem do Piunelijki. Agisowi to nie przeszkadzało.

- Ale purpurowa - skonstatował. - Uuhmm - cmoknął zachwycony i łyknął żółtego z Copeau.

Ciepło trunku rozlało mu się po piersiach i zaraz potem uderzyło do głowy. Dager łyknął także.

- Wspaniale - mruknął Off przechylając szklanicę.

Przez chwilę jedli w milczeniu, dokładnie przeżuując kęsy. Inspektor skończył kanapkę zakropioną obficie czerwonym sosem i wytarł usta.

- Spróbuję dodzwonić się do Taquanary - powiedział wstając od stolika.

- I kup gazetę - rzucił za nim Dager. Ins Off energicznie zatrzasnął za sobą drzwi barku i natychmiast rozpiął płaszcz. Na ulicy zrobiło się już gorąco. Wiatr się zmienił i powietrze było zupełnie suche, ciepłe. Automat stał na rogu. Powiedział numer i czekał chwilę, miętosząc jakieś śmieci w kieszeni. W słuchawce rozległ się sygnał połączenia.

- Chciałem rozmawiać z Taquanarą. Mówi Off.

- Już łączę.

- Halo, tu Taquanara. Co słyhać, stary?

- Nic specjalnego. Mam do ciebie prośbę.

- Słucham.

- Moi chłopcy obawiają się tej sprawy. Nie przekazałbyś jej komuś innemu?

- Niestety, Off. Nie dam nikomu innemu tej sprawy.

- Dlaczego? Przecież właściwe śledztwo prowadzi OS, będzie chyba obojętne, kto zajmie się tym drugim, oficjalnym, które jest tylko formalnością?

- Tym razem pomyliłeś się, stary - rzekł Taquanara, w jego głosie wyczuwało się lekkie napięcie. - Oczywiście, wolno ci zrzec się tej sprawy, ale grozi to poważnymi konsekwencjami. Wiesz, o czym mówię - ciągnął dalej, nie czekając na potwierdzenie. - Nie będę w stanie wtedy pomóc, bo to sprawa bardziej paskudna, niż ci się zdaje, a już w tej chwili wiesz o niej za dużo.

- Cholerny świat - syknął inspektor. - Nie myślałem, że mogę wiedzieć za dużo już w tej chwili?!

- Przede wszystkim twoje śledztwo nie jest formalnością. Prowadzone będą dwa równoległe - twoje i Gulma z OS. Tak postanowiono wyżej, Off.

- Rozumiem. Zaczynam się domyślać w co się wplątałem.

- Jest jeszcze jeden aspekt całej sprawy, OS wie więcej. Jasne?

- Tak. Nie martw się, Taquanara, nie damy im wygrać.

- Więc trzymaj się - odłożył słuchawkę. Inspektor wyszedł z automatu. Na chwilę przystanął, oślepiiony słońcem. Jego smukła sylwetka pochyliła się teraz,

jakby nieco przygnieciona niewidzialnym ciężarem. Zapomniał o gazecie. Kiedy wszedł do baru siedziało tam już więcej ludzi. Chłopcy czekali, wpatrując się w niego w napięciu.

- Żarty się skończyły - powiedział Off, błędząc wzrokiem po twarzach współpracowników. Starał się jednak nie patrzeć im w oczy. - Zabieramy się do roboty. Musimy dalej ciągnąć śledztwo i to całkiem serio. Taquanara nie mógł mnie ochronić.

- Wiec nie formalne? - zapytał zdziwony Dager.

- Nie - odpowiedział Ins Off. Dwa niezależne w jednej sprawie.

- Szlag by to... - Agis zagryzł wargi.

- Na śmierć i życie - powiedział cicho inspektor.

- Nie! - zachnął się Dager. - Aż tak... - szepnął i zbladł.

- Kiedyś znalazłem się w podobnej sytuacji - rzekł inspektor. - Chodźmy stąd. Niedługo przyjdą strażnicy na przesłuchanie. Nie mamy wyjścia. Rozwiążemy to. Tylko trzeba się obronić przed Tajną Radą. Nie przypadkiem wybór padł na mnie. Daję wam czas do jutra. Zastanówcie się nad wszystkim i jutro rano, jeśli się zdecydujecie, przyjdźcie do mego domu. Nie mam prawa was wciągać. Teraz idźcie do siebie. Jesteście dziś wolni. Sam przesłucham strażników.

- Ależ inspektorze... - zaprotestował Dager.

- Nie przerywaj - ciągnął spokojnie Off. - Mas?, zastosować się do moich poleceń. Jeżeli zdecydowalibyście się nie przyjść, to musicie sprytnie zniknąć Jasne?

- Tak - odpowiedzieli obaj, krzywiąc się wymownie.

- No to cześć - rzekł inspektor i odwróciwszy się odszedł w stronę najbliższego postoju ixarów.

Agis z Dagerem wrócili tymczasem do baru.

Inspektor czekał na ixar może z minę. Wsiadł i podał adres komendy Ixar mknął przez miasto, które tętniło teraz życiem. W Aminis wpadł w niewielki korek, ale dalej jechał już płynnie. Wkrótce zatrzymał się przed komendą. Zauważył niewielki tłumek i zaraz zrozumiał. Nastroszył się wewnątrz. Wysiadł z ixars pod samymi prawie drzwiami Do przejścia miał tylko kilka schodów Ale oni byli tak czujni jak zwykle. Nim zrobił krok, już go otoczyli. Naparli ze wszystkich stron. Wyciągnęły się ręce, błysnęły flesze, posypał się grad pytań. Inspektor rozpychał się łokciami, wbijając je boleśnie w boki najbliższych reporterów, kopiąc po kostkach i depcząc po nogach z przemiłym uśmiechem i jedną jedyną odpowiedzią powtarzaną bez końca.

- Kto to zrobił?

- Czy będzie pan prowadził śledztwo sam czy z Dagerem?

- Nie wiem!

- Ilu strażników zabito?
- Co skradziono?
- Nie wiem!
- Myśli pan, że uda się panu złapać sprawcę?
- Nie myślę jeszcze, dopiero co wisiałem!
- W jaki sposób dokonano włamania do instytutu?
- Nic nie wiem! Nie rozumiecie tego?!!!
- Jeśli Strapor nie wie, kto ma wiedzieć?! - zeźlił się jakiś gruby dziennikarz. Off wsadził mu łokieć w brzuch. W oczach grubasa odmalował się ból.

- Przepraszam, nie mam czasu!!! - krzyczał inspektor wiosłując coraz energiczniej rękami. Poniosły go nerwy, wylała się z niego cała złość na ten cholerny świat, wściekłość, jaka wzbierała w nim od rana do tej chwili. Wyrznął kogoś boleśnie zaciśniętą pięścią, szarpnął się do przodu, ktoś upadł, inny zaś syczał z bólu. Strażnik biegł od bramy, gwizdząc przeraźliwie. Tłum powoli się przeredził i inspektor, cały spocony i wymięty, dopadł wreszcie klamki drzwi, które na szczęście otwierały się do środka. Tłum dalej już nie napierał, wszyscy wiedzieli, że za tymi drzwiami stosunek sił się zmienia.

Inspektor oparł się o ścianę i przez chwilę oddychał ciężko. Potem skierował się do swego gabinetu. Sekretarka powitała go z życzliwością i troską. I on, wbrew zwyczajom, miał żywą sekretarkę, szczupłą, wysoką dziewczynę o prostych i długich rudych włosach. Włosy w tym kolorze niezmiernie rzadko spotykało się na Vollu. Teria była córką emigranta-uciekiera z Hy na Salvirze. Off nie wiedział, jak temu człowiekowi udało się stamtąd uciec, ani kim był. Mimo wszystko Teria bardzo mu się podobała, choć miał zrozumiałe uprzedzenia w związku z jej pochodzeniem. Pracowali ze sobą od kilku miesięcy. Dopiero niedawno jednak inspektor dostrzegł Ją naprawdę i zauważył, że Teria jest piękną, interesującą dziewczyną.

- Ależ miał pan przeprawę - zaśmiała się zdejmując mu z ramion wygnieciony płaszcz z oddartą kieszenią.

- Myślałem, że jeszcze nie wiedzą - tłumaczył się. - I wziąłem ixar.

- Strażnicy z instytutu czekają - powiedziała Teria i z oczu zniknął jej ten figlarny, wesoły błysk.

Przyjrzała się uważniej twarzy inspektora. Odwrócił wzrok.

- Proszę ich wprowadzić - rzucił niemal oschle i skierował się do gabinetu przesłuchań.

Usiadł za biurkiem. Wyciągnął z szuflady lusterko.

Cóż ta smarkuła spostrzegła? - myślał niezadowolony. - Przecież nic w moich rysach nie mogło jej zaniepokoić?

Pokręcił głową. Schował prędko lusterko. Właśnie Teria wprowadzała pierwszego strażnika. Potem szybko wróciła do swego pomieszczenia.

Przesłuchanie nie trwało długo. Off zadawał pytania według stereotypu lub wprost z formularza. Zakończył w pięć minut i właśnie miał prosić Terię, by zawołała następnego, gdy sama Weszła do pokoju. Spojrzał na nią wyczekująco.

- Czy nie mógłby się pan obejść beze mnie w czasie przesłuchań? - zapytała nieśmiało. Stała nieco skruszona, ze spuszczoną głową.

- Chce pani wyjść coś załatwić?

- Nie, ale... - zawahała się.

- Ale co?... - podchwycił.

- Źle znoszę przesłuchania, krzyki i... - popatrzyła na niego.

Off siedział jak zamurowany, z oczyma szeroko otwartymi ze zdziwienia. Myśl pracowała gorączkowo.

- Czyżbyś nie była jeszcze nigdy przy przesłuchaniu ze mną? - zapytał.

- Nie, nie byłam, ale...

- ...Ale powiedz no mi - wpadł jej w słowo - z kim ty do tej pory pracowałaś i gdzie?

Urwał. Zorientował się raptem, jak mało wie o ludziach ze swego otoczenia. O niej, o Agisie, o Dagerze, czy innych. Czym się przedtem zajmowali, jakie mieli, dzieciństwo, jaką skończyli szkołę, z kim się przyjaźnili.

Kilka lat służby tak go zmieniło... Nauczył się milczeć i nie pytać o nic, czego zabraniał regulamin. Doszedł do wniosku, że właściwie jest oschłym służbistą. Nigdy z podwładnymi czy przełożonymi nie mówił o prywatnych sprawach, nigdy nie starał się poza miejscem pracy nawiązywać z nimi kontaktu, nie szukał ich towarzystwa i nigdy też nie wtajemniczał nikogo w swoje koncepcje czy spostrzeżenia.

Ocknął się. Słowa Terii docierały do niego jak przez grubą ścianę.

- Co się z panem dzieje? - zaniepokoiła się widząc, że inspektor bez słowa wstaje.

Kiedy jej dotknął, szarpnęła się, jakby chciała się bronić.

- Niech mnie pan...!

- Zrozumie - dokończył. - Tak?

- Tak - szepnęła, z trudem panując nad głosem.

- Coś ci powiem - zaczął. Zawahał się. Puścił jej ramię.

- Co ja robię? - zastanowił się. - Czy kompletnie zwariowałem?

Był już zupełnie spokojny.

- To nie OS, seniorita Teria! Tutaj się nie torturuje! Niech się pani nie obawia. Nikt także nie ma zamiaru pani terroryzować! Pani reakcja daje mi dużo do

myślenia. Proszę doprowadzić się do porządku i może pani wyjść na tak długo, jak pani chce!

Stanął przy oknie i przez chwilę wyglądał na ulicę. Coś takiego jeszcze nigdy mu się nie przydarzyło. Nie dziwił się dziewczynie. Skoro pracowała u Gulma w OS... Jej reakcja świadczyła jednak o tym, że albo sam Gulm, albo któryś z jego inspektorów zmuszał ją do oglądania ich rozbijmordzkich przesłuchań.

Jak ona się tu znalazła? - zastanawiał się Off. - Kim właściwie jest?

Czuł się wyraźnie rozstrojony. Znow musiał działać wbrew swej woli, godzić się z sytuacją budzącą w nim wstręt, walczyć o swoje życie. Niezła to była intryga, jeśli tak gładko Taquanara pozwolił go wpakować w ową beznadziejną rozgrywkę. Wiedział, że Tajna Rada nie wypuści go po tamtej dawnej sprawie. Teraz właśnie przyszedł widocznie czas na załatwienie porachunków. Trudno. Trzeba walczyć o siebie przynajmniej... Wracajmy do przesłuchania. Podszedł do biurka i przypomniał sobie o dziewczynie. Stała jeszcze w pokoju.

- Na co pani czeka? - zapytał ostro. Jego głos był opryskliwy.

- Niech pani wprowadzi następnego i idzie do diabła!

Czuł się zawiedziony. Myślał, że dziewczyna ma o nim nieco lepsze mniemanie. I oto złapał się na tym, że zaczyna mu zależeć na opinii tej smarkatej...

- Cholera - zaklął głośno. - Jeżeli się natychmiast nie wezmę w garść, to niedługo będę miał piękny pogrzeb. Pomyślał teraz o Florey, ale już zupełnie inaczej niż w nocy, kiedy nie wiedział jeszcze, z czym ma do czynienia. Teraz Florey mogło odegrać w jego planach zupełnie inną rolę.

Wszedł następny ze strażników. Inspektor nie spodziewał się wiele po ich zeznaniach. Przesłuchiwał wszystkich krótko i zwięźle, według schematu. W razie czego mogą być zawsze wezwani. Mimo wszystko przesłuchania przeciągnęły się aż do południa. Potem zanalizował wszystkie odpowiedzi. Nic nie udało się z nich wycisnąć. Żadnego punktu zaczepienia. Sprawdził ilość zeznań. O jedno za mało. Jeszcze raz dokładnie przeliczył. Tak. Brakowało jednego. Sprawdził nazwiska. Nie było na przesłuchaniu Artresa. Nakręcił numer instytutu. W słuchawce usłyszał głos sekretarki: - Słucham, Instytut Lotów.

- Mówi Off ze Straporu. - Już łączę pana z dyrektorem Foyem.

- Nie trzeba - zapewnił ją szybko. - Chcę porozmawiać z panią. Po tamtej stronie zapadła cisza.

- Ja nic nie wiem - odezwała się po chwili sekretarka.

- Rozumiem - odpowiedział Off - ale chodzi mi o rzecz nie związaną bezpośrednio ze sprawą. Myślę, że nie otrzymała pani zakazu informowania mnie o rozkładzie dyżurów zeszłej nocy?

- To mogę panu powiedzieć.

- Świetnie. Niech pani mi jak najszybciej przyśle ten rozkład.

- Za godzinę go pan otrzyma.

Inspektor odłożył słuchawkę. Gdzie i kiedy Artres miał lub mógł mieć służbę? Tutaj otwiera się trzecia furka.

A swoją drogą - pomyślał - trzeba będzie przycisnąć sekretareczkę Foya. Powinna coś wiedzieć na temat, który od samego początku interesował Offa najbardziej. Kim jest, jeżeli oczywiście przypuszczenia Insa się potwierdzą, ów piąty zwolniony? Czy to człowiek z obsługi naukowej? Dlaczego usiłowali tak niezgrabnie przemilczeć istnienie tego piątego? Musi on niewątpliwie dużo wiedzieć o programie. Jeśli chcieli zataić ten fakt, to znaczy, że obawiali się, żeby inspektor nie dotarł do niepożądanych informacji. Wynikało z tego, że albo nie mogli temu człowiekowi nic zrobić, w co raczej wątpił, albo że zniknął im sprytnie z oczu i sami nie wiedzieli, gdzie jest. Tamtych czterech byli pewni. Ins niczego się od nich nie dowie. Albo naprawdę nic nie wiedzą, albo będą milczeć ze strachu... Trzeba się koniecznie zobaczyć z tą sekretareczką. Ona musi coś wiedzieć, skoro tak się zarzekła. Reporterzy mają rację atakując tych, którzy twierdzą zbyt gorliwie, że nic im nie jest wiadome. Bo to są ludzie najbardziej kompetentni w sprawach, o które chodzi. Dziennikarze odznaczają się nie tylko zawodowo wyczulonym nosem, lecz także odrobiną pojęcia o psychologii wyuczonej przez lata zabiegania o najbardziej sensacyjne, a więc niechętnie rozgłaszane wiadomości.

Siedział w pokoju zapalając papierosa od papierosa. Mafafa drapała go w gardle, napelniała płuca, rozchodziła się z krwią i rozśmieszała. Off wypalił już prawie całą paczkę. Nie był jednak wesół naprawdę. Myślał. Intensywnie myślał. Jego umysł pracował na najwyższych obrotach. Niedługo powinny być informacje z tropu bariery, analiza treści mózgowej zastrzelonych strażników. Najwięcej wie ten czuwający przy bramie, a on żyje. Jest nieprzytomny i dopóki nie zdecyduje się w tę albo w tamtą stronę, nic się od niego nie wydobędzie.

Strad. Skąd wziął się ten strad? Skąd promiennik? Gittin. Gittinowe papilarki. I wreszcie zagadkowy piąty. Porachunki z Tajną Radą. Ta dziewczyna. Florey. Wszystko mieszało się w głowie inspektora i plątało w nierozwiązalny węzeł.

Co to za wyprawa? Nie czytał ostatnio gazet i nic nie wie o jakiejś bardzo bliskiej wyprawie. Tyle zadań przed nim, a on siedzi tutaj beczynn timer, kurząc mafafę. Potarł skronie zwilgotniałą dłonią.

Zapadała ciemność. Dochodziła piąta. Ktoś bezszelestnie wsunął się do pokoju. Off kątem oka zauważył tylko kształt.

- Czy stało się coś bardzo złego - usłyszał głos Terii.

Stała lekko pochylona do przodu, włosy opadały jej na piersi. W półmroku dostrzegł oczy pełne niepokoju.

Czyżby?... - pomyślał. - Nie, to śmieszne.

Stała w pozie wyczekującej. Niebieskie oczy nadal były w nim utkwione. Ależ tak. Roześmiał się mimo woli.

- Teria - powiedział przez śmiech. - Teria? Ty się o mnie boisz? Czy ty przypadkiem... - nie dokończył, jej dłoń o pachnących wąskich palcach zamknęła mu usta.

- Nic nie mów. Nie mów - szeptała. - Nic, nic.

I nagle przytuliła się do niego mocno. Przywarła całym ciałem. Głowę wtuliła mu w ramię. Była piękna i jednocześnie bezbronna. Ta dziewczyna wyzwoliła w nim czułość i jeszcze coś, czego nie potrafił dokładnie określić. Chciał z nią pozostać, nie rozstawać się już od dziś. Położył jej palec pod brodę i podniósł głowę. Spojrzała mu w oczy. Wzrok miała szklisty. Na policzkach mokre strużki.

- Nie płacz - powiedział, jak tylko umiał najłagodniej. - Nie płacz, Teria. Nie mogę na to patrzeć.

I poczuł, jak coś ściska go w gardle. Dławi. Dziewczyna drżała cała. Opanowała się jednak. Wyciągnęła skądś chusteczkę i wytarła oczy.

- Przepraszam - szepnęła i wyszła z pokoju.

Inspektor stał chwilę osłupiały, wreszcie ruszył za nią. W sekretariacie nie było nikogo.

- Teria - zawołał wybiegając na korytarz. - Teria!!!

Kilka osób przystanęło, przypatrując mu się ciekawie. Nigdzie nie mógł jej znaleźć. Zrezygnowany wrócił do siebie. Szaleństwo - pomyślał. - Kompletne szaleństwo! I to właśnie teraz! Tyle było chwil odpowiedniejszych, tyle bezbarwnych dni spędzonych w samotności. Wtedy nic się nie zdarzało. Wtedy bawił się u Hemiglena. A może to przyszło właśnie dlatego, że jest aż tak wytracony z równowagi? Na pewno. Usiłował utwierdzić się w przekonaniu, że niespodziewane uczucie to tylko chwilowy stan zachwianej równowagi psychicznej. W głębi duszy czuł jednak, że oszukuje samego siebie. Wstał, włożył płaszcz. Na stole zostawił polecenia dla Terii, spisane na kartce. Postanowił, że jeszcze raz odwiedzi instytut, a ściślej mówiąc pewną osobę w nim pracującą.

Na korytarzu ani na dole przed budynkiem nie spotkał dziewczyny, choć miał nadzieję, że tak właśnie się stanie. Zszedł do garażu. Stary Dolan, były zapaśnik wagi superciężkiej, a potem wykidajło w niejednej valakańskiej knajpie, dopasował mu na poczekaniu jakiś prywatny, zużyty strad o nieokreślonym kolorze. Inspektor wsiadł, z rozmachem zatrzaskując drzwiczki. Strad zafalował łagodnie. Off nie włączył automatu. Chciał sam prowadzić. Lekko i z pewnym mistrzostwem wyjechał na ulicę. Potem z łatwością wplót się w długi sznur sunących aleją stradów i posuwał się wraz z tą rzeką w stronę ronda Hlar. Z pewną trudnością przepchnął się przez Coka, zatłoczone już porządnie o tej porze, i skręcił w stronę instytutu z bulwaru Santala.

Zatrzymał strad trochę dalej i czekał odpalając znów papierosa od papierosa. Powinni niedługo skończyć pracę. Z bramy instytutu wychodzili ludzie. Sekretarki jednak wciąż nie było widać. W końcu pojawiła się. Na szczęście sama. Uruchomił silnik. Sunął za nią wolno. Krok w krok. Postanowił, że zaczeka, aż za rogiem zniknie ostatnie okno instytutu. Musiał mieć pewność, że nikt go nie widzi. Na ulicy ruch panował niewielki. Kilka osób spieszyło gdzieś do swoich spraw, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co się wokół nich dzieje.

Off ruszył gwałtowniej. Zjechał na lewą stronę. Zahamował tuż przed idącą dziewczyną i otworzył drzwiczki.

- Proszę wsiadać! - rzucił rozkazująco. Nie wahała się ani chwili. Trudno powiedzieć, czy zdawała sobie sprawę, że opór nie ma sensu, czy też przestraszyła się po prostu. Zatrzasnął drzwiczki i dodał gazu. Strad runął do przodu z impetem i już po chwili nie było go widać. Postanowił ominąć Coloi. Pojechali Linia Ognia koło lądowiska bobonsów i potem przez most Nasturcji, skąd bocznymi uliczkami dotarli do Nordici. Tutaj Ins zwolnił. Przez cały ten czas nie padło między nimi jedno słowo.

- Chyba pan. wie, co robi - odezwała się wreszcie kobieta.

- Bez wątpienia - odpowiedział.

- Wiezie mnie pan do komendy - z trudem. usiłowała ukryć zdenerwowanie.

- Jeszcze nie wiem - postanowił trochę ją nastraszyć. - Wiele zależy od pani.

Od tego, jak się pani zachowa. Wolałbym uniknąć wizyty w Straporze.

- Czego pan chce?! - sekretarka wyraźnie traciła panowanie nad sobą.

Zatrzymał strad w jednej z bocznych uliczek, pod drzewem o gęstej koronie, osłaniającej od światła latarni. W tej sytuacji mogli uchodzić za parę ukrywających się kochanków.

- Na razie tutaj będzie najlepiej - powiedział, odwracając się do niej przodem. - Wyglądamy na zakochanych.

- Czego pan chce?! - zapytała po raz drugi.

- Nie wie pani?

- Nie. Nie mam pojęcia!

- Chodzi mi o nazwisko i adres.

- Przecież wysłałam panu zestawienie dyżurów!

- Czy pani ze mnie kpi? - zdenerwował się. - Pani wie więcej!

- Przecież nie mogę...

- Musi pani. Musi pani powiedzieć wszystko i najlepiej, żeby pani przełożeni nie dowiedzieli się o naszym spotkaniu!

- Czy pan zdaje sobie sprawę, że zaraz jak tylko pan mnie wypuści, zamelduję o tym nadużyciu, komu trzeba?

- A jeżeli pani nie wypuszczę? - w jego głosie nie było groźby.

- Pan oszalał?!

- Tak! Właśnie! Oszalałem! A ze mną cały zakichany świat! Dość żartów. Czy pani nie rozumie, kobieto - mówił pochylając się nad nią z coraz większym zdenerwowaniem - że gra toczy się o coś większego niż kilka drobnych formalności? Czy pani nie rozumie, że jest tylko trybikiem, pyłkiem na drodze ścierających się olbrzymich machin? Czy pani nic nie rozumie?

- Nie wiem, o czym pan mówi - głos jej zadrżał.

- Ale pani jest uparta - powiedział kręcąc głową. - Będą się musieli panią zająć moi chłopcy. Zapewniam, że to nic przyjemnego.

- Moi przełożeni nie pozwolą mnie skrzywdzić - wyrzucała słowa szybko jak katarzynka. Tak. Miała stracha. - I... Iii... poza tym policzą się z panem-

- Będzie pani mówić? - inspektor sięgnął do rozrusznika.

- Pan postępuje bezsensownie i nielegalnie! - zacietrzewiła się.

- Guzik mnie obchodzi legalność czy nielegalność! - wycedzał inspektor ze złością. - I niech pani wreszcie zrozumie, że nikt się nie dowie, co się z panią stało, a nawet jeśli się dowie, to przemilczy ten fakt, bo pani jest tylko pionkiem, a tutaj rozgrywa, się główna bitwa! Jasne? - krzyknął Off, szarpiąc ją za kołnierz bluzki.

- Tak - wyszeptała nienaturalnym, zduszonym z przerażenia głosem.

- Więc nazwisko piątego zwolnionego człowieka i adres!

- Gir Rewapar. Adresu nie znam.

- Bez żartów - inspektor ścisnął ją za przegub dłoni, aż syknęła z bólu.

- To prawda! - krzyknęła przez łzy.

- Adres - powiedział spokojnie Off, ściskając jej przegub jeszcze mocniej.

- Naprawdę nie znam! - wybuchnęła płaczem.

Puścił ją. Był pewien, że nie kłamie. Nie wiedziała, gdzie tamtego szukać.

- Dobrze - powiedział. - Teraz odwiozę panią do Coloi.

Strad ruszył bezszelestnie i znów włączył się w potok na ruchliwej arterii. Tym razem droga prowadziła przez Linię Surminga. Prosto jak strzelił do Coloi. Kobieta siedziała cicho i rozcierała bolące ręce.

- Niech mi pani wierzy, że najbardziej nie lubię takich właśnie metod - mówił Off wymijając wlokące się beznadziejnie pojazdy.

- Sadysta - rzuciła spojrzawszy na niego z nienawiścią.

- Swoją drogą - myślał na głos - to głupich ma pani przełożonych. Lepiej by dla nich było, gdyby mieli automatyczną sekretarkę. Przynajmniej mogliby spać spokojnie. A tak... Przecież wiadomo, że kobiety są z natury ciekawskie i dlatego zawsze wiedzą więcej niżby się chciało. No i na pewno nie są tak odporne jak maszyny.

- Łotr! - syknęła przez zęby..- Bandyta!

- Widzę, że przychodzi pani do siebie - powiedział, kwaśno się do niej uśmiechając. - To bardzo dobrze, bo właśnie jesteśmy na miejscu.

Zatrzymał się pod Biurem Podróży „Byle dalej”.

- Tutaj pani wysiądzie - rzekł. - I niech pani pamięta, że dopóki o tym, co mi pani powiedziała, wiemy tylko my dwoje, dopóty jest pani bezpieczna. A teraz do widzenia i proszę naprawdę o mnie źle nie myśleć. Zapewniam panią, że z o wiele gorszymi, bardziej antypa-tycznymi typami spotyka się pani na co dzień, nic o tym nie wiedząc. I właśnie z ich strony grozi pani niebezpieczeństwo.

Kobieta nie odpowiedziała. Wysiadła z obrażoną miną.

Trudno się dziwić takiej reakcji - myślał inspektor. - Byle tylko chciała trzymać język za zębami. Wystarczy mi dwa, trzy dni, ale dla niej byłoby lepiej, żeby nie domyślili się, że to ona mi powiedziała.

Wtem uderzyła go pewna myśl. Do tej pory się tym nie przejmował, ale teraz... Przecież, wcale nie jest mądrzejszy od jej szefów. Także zaangażował żywą sekretarkę. Co za nieostrożność. Trzeba ją będzie zwolnić. Taquanara na pewno się zgodzi. Na myśl, co by się stało, gdyby Teria wpadła w łapy OSowców, aż ciarki go przeszły.

Strad znów ruszył łagodnie spod biura podróży i, zatoczywszy łuk przez centralny węzeł, zjechał w podziemne czteropoziomowe skrzyżowanie. Po kilku minutach wydostał się z tunelu w Aminis i dalej posuwał się w stronę Nordici, wzdłuż linii miejskiego tekara.

Aminis było już jakby wymarłe. O tej porze wszystkie biurowce stały ciemne. Nikt nie pracował. Czasem tylko świeciło się w którymś oknie, gdzieś wysoko pod chmurami. Na dachach z rzadka błyskały rozsiane stonowane reklamy. Zakręt w lewo, potem jeszcze trzysta metrów w prawo i już gmach komendy. Ale co to? Przed gmachem znów tłum. Inspektor ostro wziął zakręt do garażu.

Dolan czyścił właśnie jakiś niewielki strad.

Pucował z padaaiteraą karoserię. Maski i szyby błyszcząły jak świeżo lakierowane. Strad przypominał splaszczonego mocno żuka, ze sterczącymi ogonami stateczników. Był wyposażony w jednostronne szyby, nieprzezroczyste do wewnątrz.

- Co to za cacko, Dolan?

- Śliczna robota. Prawda? - powiedział z dumą. - Wyczynowy z Kifis.

Dolan sam był Kifisjańczykiem. Słynny supermistrz i wykidajło w jednej osobie, do dzisiaj mówił mieszaniną wyrazów swego rodzinnego kraju i inter języka Linia.

- Słuchaj, Dolan - rzekł inspektor. - Gdybyś chciał opuścić miasto albo ukryć się w nim tak, żeby nie znalazło cię nawet OS, to do kogo byś się zwrócił?

Zapaśnik miał swego czasu rozległe znajomości w nocnym świecie, niejednego sam się domyślał, a i niejedno zobaczył podczas swojej ciągłej wędrówki w dół do coraz podrzędniej-szych, zakazanych knajp i melin. Teraz się zastanawiał.

- Drogi inspektor - powiedział wreszcie swoim łamanym interem. - Yes. Wiem, o co chodzi. Yes. Znam ludzie, którzy lepi szukacz od Bozi Barany, a nie mogum znaleźć. Jest taki człowik, Inspektor. Dolan go zna - wystękał i roześmiał się szeroko, zadowolony z siebie.

- Mógłbyś mnie z nim skontaktować?

- Yes. Mógłbym. Ale w tajemnica. I poza to, tyn człowik nic za darmo nie pisną.

- Dobra. Zapłacę. I możesz być pewien, że nikt się nie dowie.

- To barman z knajpy „Czarny Motyl”. Ślepiec Bajo. Powisz mu, inspektor, że przychodzisz od Dolan i dasz to.

Stary zanurzył olbrzymią łapę w kieszeni i wyciągnął mały, srebrzysty znaczek. Inspektor nigdy nie widział podobnego znaczka.

- Robią to dla ciebie, dobry inspektor, boś mnie wyciągnął z gnoju. A teraz czas na re-wanż.

- Dziękuję ci - inspektor poklepał starego po olbrzymim barku i skierował się do windy.

Dolan stał nieruchomo i wpatrywał się w plecy odchodzącego. Kręcił smutno głową.

- Szkoda ciebie, inspektor - mamrotał pod nosem. - Szkoda ciebie. Ty dobry, inspektor. Jakbyś chciał uciekać? Ale ty tu zostaniesz, inspektor, i nie na to ci potrzeba ślepiec Bajo.

Inspektor wychodząc z windy natknął się na Taquanarę. Nie zatrzymał się. Chciał go minąć, lecz Taquanara złapał go za ramię.

- Masz do mnie żal? - zapytał z niepokojem.

- Odczep się - inspektor wyrwał mu rękaw z zaciśniętej kurczowo dłoni i zamierzał odejść.

- Zaczekaj! - krzyknął rozpaczliwie. Inspektor stanął. Uśmiechnął się drwiąco.

- Taquanara - powiedział twardo. Jesteś moim szefem, więc zachowuj się jak szef.

Tamten opanował się natychmiast. Strzepnął jakiś pyłek z marynarki i wycedził:

- Off, wiem że nie będziemy już przyjaciółmi, ale chyba niepotrzebny ci jeszcze jeden wróg?! - patrzył na inspektora dosyć wyniośle, lecz w tej wyniosłości nie było groźby ani dumy, była raczej obawa.

- Posłuchaj - inspektor zbliżył swą twarz do jego twarzy tak, że niemal się stykały. Taquanara nawet nie mrugnął powiekami. - Myślałem, że jesteś silniejszy.

Ale okazałeś się gnojkiem. Rozumiesz? I nie wchodź mi w drogę, bo jeszcze jeden wróg więcej wcale mi nie zaszkodzi ani nie przerazi. A teraz żegnam, senior Taquanara.

- Dobrze - powiedział tamten. - Rozumiem cię. Nie mogłem inaczej i pamiętaj, że nie masz we mnie przyjaciela, ale nigdy nie będę twoim wrogiem.

Inspektor odwrócił się i wolnym krokiem skierował się w stronę swego gabinetu. Teraz dopiero zauważył, że obserwowano ich kilka osób, które rozstępowały się schodząc mu z drogi. Szedł naładowany jak chmura burzowa, gotów stratować każdego. Wchodząc trzasnął drzwiami, aż tynk się posypał. W pierwszym, przechodnim pomieszczeniu stało biurko Terii. Nie było jej.

To lepiej - pomyślał Off - jestem za bardzo zdenerwowany. Pchnął nogą drzwi do drugiego pokoju, zdejmując jednocześnie palto. Uniósł głowę i zamarł.

Za jego biurkiem siedziała Teria. Głowę miała opartą na blacie. W pierwszej chwili pomyślał, że nie żyje, przeraził się. Podbiegł, nachylił się nad dziewczyną. Dopiero teraz zauważył równomierne falowanie jej pleców. Usnęła czekając na niego. Spojrzał na zegarek. Już wieczór. Godzina ósma. No tak, przeżycia dzisiejszego dnia dają znać o sobie. Nie tylko on pada ze zmęczenia. Usiadł ciężko w fotelu naprzeciw śpiącej. Czuł piasek pod powiekami i zmęczenie każdego mięśnia. Widać napięcie lekko ustąpiło.

Przypatrywał się Terii z rozczuleniem - Bardzo chciał z nią zostać. Chociaż trochę pożyć życiem normalnych ludzi. Wiedział, że to zupełnie nierealne i że poza kilkoma wspólnie spędzonymi chwilami, jakie może przynieść im dziś lub jutro, nie zdarzy się między nimi już nic więcej. Idiotyzmem byłoby liczyć, że uda mu się jakoś wszystko rozwiązać. Niedługo się rozstaną. Tak będzie najlepiej. Trzeba ją jeszcze zabezpieczyć przed OS. Rude, lśniące pukle włosów dziewczyny, rozsypane po blacie biurka, połyskiwały jak matowe druciki. Inspektor wrócił na palcach do pierwszego pomieszczenia. Nakręcił numer.

- Taquanara? - rzucił w słuchawkę. - Tu Off.

- Słucham.

- Musisz wydać nakaz zwolnienia z pracy Terii.

- Dlaczego?

- Nie pytaj o nic, tylko wydaj rozkaz.

- Dobrze.

- I jeszcze jedno. Co ona robiła w OS? Nie wiesz przypadkiem?

- Wiem. Pracowała tam przez rok w zamian za uwolnienie jej ojca i przeszmugłowanie go z Salviry. Można powiedzieć, że była osobistą sekretarką Gulma... do różnych celów. Gulmowi wpadła kiedyś w oko, ale dziewczyna nie należała do łatwych, więc zawarli układ. Jeżeli on uwolni jej ojca, to ona zostanie na rok jego niewolnicą. I tak się stało. Po roku odeszła i przyszła do nas. Prawie

wszyscy w OS znają tę historię. Swego czasu narobiła sporu szumu. Jeszcze coś chcesz wiedzieć?

- Nie. A właściwie... owszem. Rozumiem, że nie mogłeś inaczej postąpić ze mną, Taquanara, dlatego nie uważam cię za wroga. Nie gniewaj, się za mój wybuch.

- Cieszę się, Off, że mnie rozumiesz. Zbyt wiele mam do stracenia.

Inspektor odłożył słuchawkę i odwrócił się. W drzwiach stała Teria.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytała. Jej oczy ciskały teraz błyskawice. - Dlaczego, do diabła, wyrzuciłeś mnie z pracy? Off, przecież wiesz, że ja naprawdę... - załamała się. - Co ja takiego zrobiłam? Czy to moja wina, że byłam szmatą u Gulma? Przecież nie nasłał mnie tutaj! Przyszłam sama! Tego się obawiałeś?

Off słuchał spokojnie, jak słucha się nic nie rozumiejącego, ufnego bez względu na okoliczności, dziecka. Była cudowna.

- Znów mnie nie doceniłaś, dziecko - odezwał się wreszcie. - Nie mam ci nic do zarzucenia. Ale nie możesz ze mną pracować. Będziesz mnie słuchać? - zapytał. - Przrzeknij, że będziesz mnie we wszystkim słuchać!

- Nie!

- Musisz - powiedział z przekonaniem. - Musisz! - powtórzył jeszcze raz.

Milczała. Starła się dostrzec coś w jego oczach, lecz unikał jej wzroku.

- Wrócimy do tego później - rzekł przechodząc koło niej do swego pokoju. - A teraz zabieramy się do analizy tego, co nam przysłali. Załatwiłaś wszystko?

.- Tak - wróciła już do roli sekretarki. - Załatwiłam.

- Przynieś mi te papiery i jesteś wolna. Dziś byłaś ostatni raz w pracy.

- Off! Proszę cię... - nie dawała za wygraną.

- Nie ma o czym mówić, seniorita. To decyzja szefa Straporu. Nic nie mogę zmienić.

Zacisnęła usta i poszła po dokumenty. Kiedy z nimi wróciła, wyglądała jak rozwścieczone zwierzątko. Raczej zabawne niż straszne. Rozzłoszczony kudłaty tupang. Cisnęła papiery na stół z dumną miną. Inspektor sięgnął do kieszeni.

- Weź te klucze - powiedział do niej. - Czekaj na mnie i nie otwieraj nikomu. W razie czego w biurku jest kufa. To klucz od biurka - wskazał na haczykowaty drucik. - Bez trudu ją znajdziesz. Strzelaj do każdego, kto otworzy drzwi, a nie będzie mną.

- Dobrze, Off - szepnęła i wyszła. Został sam. Zapalił małą lampę przy biurku i zaczął przeglądać dokumenty. Wszystko, co w nich znajdzie, od dawna jest już wiadome OS. Oni na pewno wcześniej to dostali. Sprawa stradu i papilarek na razie nie posunęła się naprzód. Jutro rano powinny być informacje o pochodzeniu pojazdu. Pewne jest, że nie był to strad valacański. Rejestracja fikcyjna. Numery

silnika i podwozia rozesłano po całym kontynencie. Zagadka z pewnością rozwiąże się do rana. Gorzej z gittinem. Wszędzie go pełno. A w byle melinie można dostać papilarki. Nawet nie ma pewności, czy popiół rzeczywiście pochodzi z papilarek. Ten trop nic nie da. Inspektor spróbował wyobrazić sobie przebieg włamania.

Niewątpliwie facet nie chciał zabijać tych czterech. Przecież nie uśmiercił strażnika przy bramie. A to było równie konieczne (czy też obojętne) dla kogoś, kto zabija, by nie pozostawić śladów. Najwyraźniej w strażnika Redana skierowano błysk ogłuszający dużej mocy. Tamci zginęli zapewne przez przypadek. Po unieszkodliwieniu Redana facet wszedł do budynku. Drugi strażnik również żyje. Precyzyjne uderzenie lagownicą. Tylko lagownicą mogła uszkodzić ośrodek pamięci. Przez kilka miesięcy lekarze będą uczyli strażnika każdej czynności od nowa. Dokładna amnezja, rzadki wypadek. Bardzo precyzyjne uderzenie.

Napastnik nie musiał mordować. Znał doskonale metody, które uniemożliwiały rozpoznanie i jednocześnie unieszkodliwiały tak, aby był nie zagrożony. Potem zamek. Doskonała znajomość systemu... Kto mógł tak doskonale znać system? Czy ktoś na zlecenie Tajnej Rady? Bzdura. Tajnej Radzie nie zależałoby wtedy na rozwiązaniu zagadki. Chyba, że to któryś z jej członków potajemnie zaaranżował tę całą rozróbę, żeby upiec jakąś własną pieczeń? Możliwe. OS wie o tym bardzo dobrze, bo zna tajemnice. Może by pogadać z Gulmem? Nie, to beznadziejne. Pchać im się pod nos i to z bardzo wątpliwą nadzieją na wyświeślenie zagadki? Inspektor doskonale zdawał sobie sprawę, że nic tu nie da postępowanie klasyczne. Nie może prawidłowo prowadzić śledztwa, sprawdzić wszystkich hipotez i bawić się w szczegóły. Końcowy sukces uda się uzyskać jedynie dzięki wyczuciu i szczęśliwemu przypadkowi, jeżeli taki sukces rzeczywiście będzie miał miejsce. Trzeba brnąć na przelaj, wspierając się tylko intuicją i niewielką na razie wiedzą na temat owego zdarzenia.

Inspektor zauważył, że się rozprasza. Zapalił papierosa, co pomagało mu zawsze w skupieniu uwagi, i dalej starał się odtworzyć tamten wieczór.

Facet z wprawą otworzył drzwi. Wiedział, czego szuka. Nie zastanawiał się. Całość akcji nie trwała dłużej, wraz z walką i ucieczką do kanału, niż dziewięć minut. Bierze dokumenty. Słyszy kroki. Wycina dziurę i ucieka. Strażnicy depczą mu po piętach. Zaczają się. Strzela. No, tak. Zapomniał przełączyć z dużej mocy. Strażnicy giną. Biegnie dalej. Wypada do ogrodu i dostaje się pod obstrzał. Teraz już traci panowanie nad sobą. Wygarnia pełnym ogniem, stojąc w barierze. Porządkowi, otwierający do niego ogień, tylko cudem uniknęli śmierci. Rysopis, jaki podają i oni, i załoga patrolowca, która go widziała w momencie, kiedy wpadł w furtkę ogrodu - prawie bez wartości... Na tych ulicach nie było jeszcze zamontowanych kamer wielkiego mózgu Straporu i Bezpieczeństwa. Nie sfilmowano napastnika. Według słów porządkowych, był to mężczyzna raczej

wysoki, raczej smukły, raczej w długim płaszczu. Wszystko „raczej”. Beznadziejni ci porządkowi. Jak zwykle. Analiza mózgow zabitych strażników także nie wносиła nic nowego. Śmierć w momencie kompletnego zaskoczenia. Nie widzieli tego człowieka. Ich mózgi nie utrwały obrazu, który mógłby pomóc śledztwu.

Dalej wyniki tropu bariery. Można się było tego spodziewać. Trop prowadził siecią kanałów w jakieś podwórko. Tam facet musiał opuścić kanał i dalej szedł bocznymi” uliczkami. Oczywiście już daleko poza kordonem zamykającym dzielnicę. Potem wsiadł do tekara, bowiem trop urwał się na przystanku. Rozpoczęto poszukiwania we wszystkich możliwych kierunkach wzdłuż Mmitekara, odnaleziono w zajezdni skład, którym jechał. Trop odnawiał się na przystanku w kierunku zachodnim, w odległości kilku kilometrów od miejsca poprzedniego śladu. Tutaj prawdopodobnie tajemniczy osobnik wsiadł w ów odnaleziony w zajezdni skład, bowiem skład ten kursował tego dnia na linii „8”, której trasa biegła w pobliżu Instytutu Aktywności. Tam to trop się urywał, zmieszany z innymi śladami i zakłóceniami powodowanymi przez wzmożone centra aktywne, znajdujące się w instytucie. Inspektorowi wydawało się wątpliwe, aby poszukiwany pracował w instytucie.

Teraz sprawa promiennika. Został skradziony z prywatnego laboratorium. Pochodził z serii doświadczalnej nowych promienników, nad którymi pracował Later. Later był zdolnym naukowcem i prowadził niewielkie prywatne laboratorium, skąd od czasu do czasu wychodził jakiś nowy rewelacyjny wynalazek, nie zawsze prawnie dozwolony. Teraz właśnie promiennik L-106. Duża moc, zmienność jej użycia, niewielkie wymiary. Later zgłosił lokalnemu posterunkowi zgubę, szukano, ale bez rezultatu. Zginęły dwa promienniki. Dlatego ścigany zostawił jeden z nich uciekając. Wiedział doskonale, że znajdziemy tak czy tak źródło, z którego one pochodzą. Widać w tej sprawie nie zależało mu na tajemnicy. Jest pewny siebie. Wobec tego nie ma czego szukać u Latera. Skoro tamten jest takim fachowcem to raczej nie zostawił śladów.

Off nie słyszał jeszcze o tak doskonałym fachowcu w ich mieście. Może to ktoś z OS. Na pewno tak, jeśli działa na zlecenie jednej z osób wchodzących w skład Tajnej Rady. Ale i w OS nie było do tej pory nikogo tak bezbłędnego. Mogli oczywiście sprowadzić specjalistę z OS... np. Duadinga, mieszkającego na drugim krańcu kontynentu, albo... kogoś z innego kontynentu nawet. Tą drogą nigdzie się nie zajdzie. Promiennik będzie jeszcze potrzebny napastnikowi, a więc trzeba czekać na następny wypadek.

Miasto jest zamknięte. To zamknięcie problematyczne. Trudno zupełnie uniemożliwić przecieki z czterdziestomilionowego kolosa, jakim jest Valaco. Na pewno coś się wkrótce zdarzy i przy odrobinie szczęścia może uda się tamtego złapać. Off wiedział, że to właśnie on musi go schwytać. Tylko on i nikt inny.

Jedynie jeśli go złapie, ma szansę wyjść z całej historii z życiem. Wtedy będzie mógł podyktować warunki, jakie zechce. A potem zobaczymy. Może go łaskawie odda tym bestiom, a może po prostu wypuści? Na razie trop się urywał.

Inspektor spojrział na zegarek. Za dwadzieścia jedenasta. Tak. Teraz można już zajrzeć pod „Czarnego Motyla”. Od dziesiątej knajpa jest otwarta, o jedenastej zaczyna się ruch. Pora była więc odpowiednia. „Czarny Motyl” mieścił się niedaleko w środku kwadratu uliczek o podejrzanej reputacji. Tutaj skupiały się firmy ukryte pod przeróżnymi płaszczykami, a zajmujące się nie wiadomo czym. Firmy, które zatruwały Straporowi życie, knajpy z obskurnym wystrojem i równie obskurną klientelą. Po zmroku nikt z przyzwoitych ludzi nie zapuszczał się w ten ponury kwadracik na skraju Nordici, zwanym Czarnym Kwadratem Valaco. Kręciło się tutaj pełno podejrzanych typów o zakazanym spojrzeniu i profesji. Pokątni handlarze narkotyków o najstraszliwszym działaniu i trucizn piorunujących w skutkach. Kina sadomasochistyczne, podrzędne burdele, w których można się co najwyżej porządnie zarazić. Ciemne zaułki, gdzie równie łatwo spotkać tanią dziwkę jak i śmierć z ręki jakiegoś łamacza. Słowem bezwzględny światek bezwzględnych ludzi o wytartych do cna sumieniach, zwichniętych charakterach, pozbawionych jakiegokolwiek ludzkiej cechy.

Inspektor zszedł na dół. Postanowił iść na piechotę. Knajpę znalazł bez trudu. Już w progu odrapanych z lakieru drzwi uderzył go ostry zapach potu, alkoholu i mafafy. W kącie jakiś grubas rznął na piamonii, aż się ściany trzęsły. Człowiek w marynarskich portkach tańczył w takt muzyki na stole pomiędzy butelkami i szklankami. Na blacie spoczywała głowa kogoś, kto spał upojony zapewne żółtym copeauskim i chrapał.

Nic nie zmieni tego typu ludzi - pomyślał Off. - Setki lat żyli jak świnie i przetrwali w tej postaci do dziś.

Inni goście „Czarnego Motyla” pili, klepali się, ryczeli z płaskich dowcipów, zaciągali się mafafą aż po sam pępek, tak że oczy im łzawiły i wychodziły na wierzch. Kaszleli wtedy ohydnie, plując na własne brody i na swoich współtowarzyszy, którzy brudnymi łapami wtykali do czerwionych, nabrzmiąłych gąb kawały targanego i rwanego na strzępy, ledwo przyrumienionego mięsa. Wina ciekły im po brodzie. Piamonia rznąła ogłuszająco. Od baru sunął chwiejnie w stronę Offa jakiś blady drażal z pokiereszowanym policzkiem. Inspektor chciał go ominąć, lecz tamten specjalnie wpadł na niego i z całej siły odepchnął, tak że Off upadł pod barem. Cała knajpa rżała z uciechy.

- Zabiłem kapownika! - wrzeszczał drażal pokazując bezzębne usta.

Sala trzęsła się od skondensowanego rechotu. Inspektor wstał. Drażal przypadł do niego na powrót i już zamierzał się do następnego ciosu, gdy błyskawiczny kopniak powalił go na podłogę. Próbował się jeszcze raz zerwać, ale równie

szybkie uderzenie znów rozpląszczyło go na ziemi. Ślepiec Bajo poprawił patrzydła na nosie i podrasował złotym kółeczkiem, żeby s\ą lepiej przyjrzeć przybyszowi. Knajpa umilkła. Toć ten obcy załatwiał teraz Borsa Tykę. To się nie mieściło w głowie.

- Ty kapowniku! - wycharczał Bors zrywając się na równe nogi.

Błysnęła krótka lanca. Inspektor skupił się. Jeden ruch i lanca odrzucona w tył spada przed grubasem, wbita w stolik. Grubas spływa potem. Bors zaniemówił. Ślepiec Bajo, niewidomy od urodzenia, nie wierzy swoim patrzydłom. Bors znów rzuca się na Offa, ale i tym razem ląduje na ziemi bez przytomności. Ktoś go zbiera z wielką ostrożnością. Bors Tyka już otwiera oczy.

- Nie daruję ci, ścierwo - syczy. - Popamiętasz Borsa, gnido!

Off odwraca się do baru. Wyciąga znaczek i podaje go ślepcowi. Ślepiec zamyka znaczek w jego dłoni.

- Nie trzeba - mówi. Widzę bardzo dobrze. Znam ten znaczek i wszyscy go tu znają.

Po sali przeszedł szmer. To ważna szycha, jak ma Srebrnego Wyoiora. Tylko Bors syczy i mamrocze pod nosem. Powoli knajpa wraca do normalnego stanu.

- Co cię do mnie sprowadza? - pyta Bajo szorując brudną ścierką politurowaną dechę baru, pokrytą licznymi naciekami.

- Chciałbym się zobaczyć z pewnym gościem - mówi Ins Off.

- Synu - odpowiada Bajo. - Nie bronię ci z nikim rozmawiać. Ale chyba niepotrzebny ci świadek w mojej osobie.

- Potrzebny mi twój węch.

- Skoro tak, to wal.

- Pewien jajogłowy zniknął. Mam do niego interes.

Ślepiec znów podrasował patrzydła. Chrząknął.

- Widzi mi się, że to ten sam, którego wysłałem. To cholerne świństwo, synu.

- Wiem, Bajo, i dlatego on musi mi pomóc.

- Coś ty za bardzo chcesz, żeby ci inni pomagali. Ale dobrze. Masz Srebrnego Wyciera, pomogę ci. Dasz trzy setka Ł załatwione pod najcięższym sekretem. Ani pary, bo szrama. A sprawa jest na kilometr śmierdziawa.

- Zgoda za dwieście pięćdziesiąt.

->> Synu, tylko dla ciebie trzysta lunów;

- Daj kredyt na tydzień, a zapłacę trzysta pięćdziesiąt.

- Zgoda. - Przybili.

- A teraz jeszcze jedna sprawa. Dziewczynę mi schowaj we Florey. Ile?

- Drugie trzysta.

- Dobra. Razem za tydzień siedemset lunów. Sam ci tu przyniosę. Gdzie facet?

- We Florey - szeptał mu do ucha ślepiec. - Ale on się nie ruszy. Musisz ty. Za dużo niuchaczy wkoło sprawy. Dziewczynę przyprowadź jutro koło południa na Świętego Ner-ga 35. Tu masz adres we Florey - wetknął mu papierek do kieszeni.

- Będę tam na pewno - powiedział Off. - Ani pary - przytknął znacząco palec do ust i przymrużył oko.

- Słuchaj jeszcze - ślepiec Bajo przyciągnął go za kłapy. - Uważaj na tego Borsę Tykę, bo on nikomu nie daruje, nawet jak masz Srebrnego Wyciera.

- Nie martw się o mnie.

- Nie o ciebie się martwię, tylko o swój zarobek. Miękkie serce mam.

- Za tydzień się spotkamy - rzucił inspektor od progu, przekrzykując wrzawę.

Bors nie spuszczał go z oka i Off zauważył, że na skinięcie tamtego od stolika odrywa się mały człowieczek. Inspektor zatrzasnął za sobą drzwi.

Powinien teraz jechać do siebie, najpierw jednak musi zgubić tego człowieka. Bez przerwy czuł' za sobą kroki. Przyspieszył. Ten z tyłu nadażał jednak. Inspektor zaczął biec i zatrzymał się raptem za zakrętem. Człowieczek stanął kilkanaście kroków przed winklem i nie ruszał do przodu. Off, cicho, na palcach, wszedł na piasek w piaskownicy i stamtąd na trawnik. Parę kroków biegł trawnikiem. Stąd śmignął za następny winklel. Przywarł plecami do muru. Wyrżał. Cisza. Odwrócił się. Z drugiej strony na rogu stał człowieczek.

- Cholera - zaklął inspektor. - Spryciarz? I nie zrażony zaczął wracać w kierunku, z którego przyszedł. W bramie zaczął się na czworaka, przypłaszczwszy się tak, by nie rzucać cienia. Po chwili rozległy się otrockie kroki. I Nagle świst. Na wysokości brzucha, gdyby stał; krótka lanca przeorała mur. Off skoczył w ciemność, gdy lanca nie zdążyła jeszcze powrócić. Krótkie plaśnięcie i liliput, trafiony między oczy, zwałił się jak kłoda. Inspektor otrzepał ubranie. Będzie tu leżał do rana - pomyślał o lilipucie. - Dobrze mu to robi, gagatkowi.

Poszedł teraz w stronę przystanku tekara. Za dziesięć minut powinien być w domu. Czuł obezwładniające zmęczenie. Perspektywa kąpieli i dobrej kolacji przywracała mu chęć do życia. I oczywiście myśl o spotkaniu z Teria. Miał nadzieję, że nikomu nie 'przyszło jeszcze do głowy, by ich łączyć. Choć, kto wie... Pracują już razem kilka dobrych tygodni i dziewczyna pewnie nie od dzisiaj patrzy na niego w ten sposób. Każdy głupi by się zorientował. Każdy - tylko nie on oczywiście.

Tekar nadjechał prawie zaraz i nie był wcale przepełniony. Inspektor opadł na miękki fotel. Na przystanku nikt nie wsiadł prócz niego. Uspokoił się zupełnie. Wynikało z tego, że nie jest śledzony. Pojazd ruszył zrazu powoli, potem coraz szybciej i wreszcie mknął jak strzała po swojej szynie, tak prędko, że nie można było zupełnie odróżnić szczegółów za oknami.

Na zegarku Offa dochodziła północ. Jego mieszkanie było niewielkie, dwupokojowe i mieściło się na poddaszu jednej ze starych kamienic w Delanie. Kupił je niedawo za 60 lunów od jakiejś prawnuczki oficera z czasów Pierwszej Wojny Zachodniej, w której ów waleczny dziadek zginął podczas szturm na Wyspę Świętego Spokoju, ugodzony lancą. Mieszkanie to co prawda nie posiadało takich wygód jak nowo budowane, choćby w dzielnicy Plomsów, jednak Off chwalił sobie bardziej wygodę, styl tego domu i jego otoczenie. Tekar zwolnił i stanął.

- Przystanek Transal - zabrzmiał pod sufitem miły głos.

- Wsiadło kilka osób. Drzwi zasunęły się bezszelestnie i pojazd znów pomknął przez nakryte płaszczem zmroku miasto. Tysiące rozjarzonych świateł zlało się za szybą w rozjarzone smugi.

W dziesięć min Off był na miejscu. Wkoło starodawne budowle. Kunsztowne, zwieńczone bezlikiem ozdób. Domy Kultu, wzdłuż prawie wszystkich ulic kamienne ławy, chłodne nawet w środku lata podcienia, ganki i balkony o alabastrowych balustradach, masa schodków i rzeźbionych ulicznych kranów, studzienek z omszałymi cembrowinami, przypory, z rudego piaskowca, nad każdą masywną bramą portal z kolorowych morskich kamieni. Tutaj, ukryte w cieniu arkad, znalazły swe schronienie różne dziwaczne stowarzyszenia i kluby, stylowe kawiarnie, do których wpuszczano tylko w strojach z określonej epoki, Stowarzyszenie Balów i Balowania Nieskończonego, wydające bale z pompą dwa razy w tygodniu przy ulicy Rad-żur i trzy razy w tygodniu przy starej alei Szangr, Klub Instrumentów Starovalirskich, codziennie dający koncerty na wolnym powietrzu bez względu na pogodę, i dziesiątki innych mniej czy bardziej zwariowanych klubów - to wszystko zapełniało cały Dolan po brzegi, stwarzało atmosferę ciągłego święta.

Poddasza przeważnie wykupywali bogaci mecenasowie, dla których punktem honoru było popieranie jak najbardziej kontrowersyjnych artystów. W tej dziedzinie dochodziło do zupełnych absurdów.

Kilka lat temu miało miejsce samobójstwo oblatywacza Eiro Magule, którego uważano za najbogatszego człowieka kontynentu. Okazało się, że Magule popełnił samobójstwo, chcąc wyjść z honorem z kabały, w jaką sam się wpędził. Wykupił on za bająnskie sumy wszystkie poddasza w alei Radżur i oddał je do dyspozycji, wraz z kompletnym wyposażeniem i utrzymaniem, trzystu malarzom koczującym do tej pory przy Linii Wielkich Jezior. Po kilku latach, w czasie których owi malarze mogli czerpać z jego konta bez ograniczeń, okazało się, że kasa milionera zaczyna się wyczerpywać. Malarze urządzali sobie na koszt swego mecenasa istne fajerwerki, można by powiedzieć orgie drogo kosztujących figlów. I tak jeden z nich urządził na stadionie głuchmy przyjęcie na 100 000 osób, ‘ serwując

najdroższe potrawy, inny zaraz po sprzedaniu swych obrazów na dorocznej aukcji w Plxii zebrał je wszystkie na kupę i. podpalił. Wartość sprzedanych obrazów wynosiła 14 000 lunów, ale wartość odszkodowań za straty moralne i inne przekroczyła 114 000 lunów.

Eiro Magule widział co się dzieje, jednak nie sprzeciwiał się niczemu. Był przecież najbardziej poważanym z mecenasów, a w ogóle mecenasi mieli wysoką pozycję w towarzystwie. Magulego odwiedzali teraz najślawniejsi ze sławnych i najbogatsi z bogatych, wreszcie na zjeździe Mecenasów Świata wybrano go królem, co praktycznie oznaczało, że został uznany za najwyższego z wysokich sfer. Magule nie królował długo. Opróżnił dla swoich podopiecznych całą kiesę Stowarzyszenia Mecenatu, potajemnie sprzedał też oddany mu do dyspozycji na cztery lata królowania, Pałac Braci Gona i Etala Ostapów. Z tego pokrywał wzrastające zadłużenia.

Wreszcie nadszedł krach. Czarny Rynek Lichwiarski zamknął mu kredyt. Jedyne wyjście okazało się samobójstwo. Dla Stowarzyszenia Mecenatu rozpoczęły się czarne dni. Przestało być tak bardzo poważane, a kłopoty finansowe, w jakie je wpędził eks-król, ciągną się do dzisiaj.

Off przypomniał sobie tę historię przechodząc koło Pałacu Braci, gdzie urządził teraz muzeum pewien bogaty gerunelczyk, który właśnie wtedy kupił ten pałac od Magulego. Nie zgodził się go potem odsprzedać pomimo próśb i gróźb ze strony stowarzyszenia. Stąd do domu Offa było już bardzo blisko. Ins wszedł w wąską przecznicę. Z tego miejsca mógł widzieć ‘ swoje okna. W całym mieszkaniu jarzyły się światła.

Przyśpieszył kroku. Pchnął masywną bramę z portalem przypominającym surminga i zagłębił się w chłodną sień. Sklepienie pięło się ostro w górę, a w miejscu łączenia wytryskał z niego kandelabr o niebieskich światłach, przepuszczonych przez filtrujące kryształki. Kandelabr mienił się jak tęcza. Dalej zaczynały się kamienne schody, kręcące się ślimakowato aż na sam szczyt, na piąte piętro, czyli poddasze z dwoma mieszkaniem. Jedno zajmował Off, drugie pewien młody, aczkolwiek już uznany malarz bez mecenasa, nazwiskiem Yerdna, który stworzył coś, czym się wszyscy bez końca zachwycali i co - wraz z całą obstawą, jaka z reguły towarzyszy bezcennym dziełom - wozili po świecie.

Obraz nazywał się „Wszechświat” i było to kilka przypadkowo pacniętych różowych kropek na białym płótnie. Kropki te układały się jednak w pewien wzór, o którym laicy mówili że jest magiczny, a naukowcy, że po prostu hipnotyczny. Pozostawało faktem, że dzięki temu Yerdna wybił się i z nędzarza przedzierzgnął w zwariowanego milionera (jak większość twierdziła), gdyż żył tak jak przedtem i mieszkał tak jak przedtem, prawie w ogóle nie podejmując zarobionych niespodziewanie bogactw.

Off znał go mało. Widział tylko nieraz, jak do mieszkania Yerdny wchodziła aktorka z rtaetu Griffsa, ponoć jedna z najpiękniejszych boydanek, Olya Cesor. Wspinanie się po tych krętych schodach nie było lekką pracą, więc gdy inspektor stanął wreszcie pod swymi drzwiami, był lekko zasapany i nieco spocony. Nacisnął dzwonek. Nikt nie odpowiadał. Nacisnął jeszcze raz, mocniej i dłużej. Usłyszał lekkie kroki i dźwięczny głos Terii: - Kto tam?

- To ja, Off. Otwórz...

Zgrzytnął zamek i drzwi uchyliły się ostrożnie. Inspektor zamknął za sobą drzwi bardzo dokładnie, na oba zaniki i zdjął płaszcz. Dopiero teraz popatrzył na dziewczynę. Oniemiał. Teria stała przed nim ubrana w półprzezroczysty szlafrok Ennany. Była bardzo piękna. Stali dobrą chwilę naprzeciw siebie w zupełnym bezruchu. Off patrzył jak zaczarowany. Pod światło widział doskonale kontury jej ciała. Cudowna, proporcjonalna sylwetka. Wydawało mu się, że ma przed sobą ucieleśniony ideał kobiety, boginię Ellus we własnej osobie. Terię rozbawiło trochę jego osłupienie i surminży wzrok.

- Co się tak wpatrujesz - zaśmiała się - jakbyś zobaczył batalion ciężkiej jazdy na pancernych surmingach?

- Co za rozkosz - odzyskał w końcu mowę - zetrzeć się z taką jazdą!

Roześmiali się oboje. Inspektor zamilkł nagle i spoważniał.

- Jesteś nieostrożna - powiedział. - Skąd wiedziałaś, że to ja stoję za drzwiami?

- Wiedziałam - odparła krótko.

- Mógł to być równie dobrze kto inny!

- Kochany - lekko przekrzywiła zgrabną głowę. - Nikt inny nie mógł stąpać po schodach jak pancerny surming i grzmieć za drzwiami takim strasznym głosem. Twój baryton poznałabym na końcu świata i to po kilku latach... może miesiącach... - zastanowiła się zabawnie marszcząc nos. - No, może... godzinach twojej nieobecności - dokończyła machnąwszy ręką. Roześmiali się znowu.

- Żarty na bok - inspektor wszedł do pokoju. - Sytuacja nie jest wcale wesoła i nie byłoby powodu do zabawy, gdyby...

- Wiem, wiem - przerwała mu. Cały Strapor już mówi o tym, jak to Taquanara wpakował Ins Offa w paskudną kabałę z Tajną Radą i że chyba kariera tego ostatniego na tym się zakończy.

- I co - zapytał zdejmując buty. - Nie przeraża cię perspektywa utraty kochanka, nim zdążył nim zostać?

Teria posmutniała nagle. Nie odpowiedziała na pytanie. Off trochę się zmieszał i uśmiech spelzł mu z twarzy.

- Przepraszam - wymamrotał - jeżeli cię czymś dotknąłem.

- To nic - szepnęła. - Tylko nie mówmy dziś więcej na temat tej ponurej historii.

- Dobrze - zapewnił ją pośpiesznie. - Nie będziemy o tym mówili.

Teria wzięła do ręki jego płaszcz, który powiesił na klamce i pokręciła głową z dezaprobatą.

- Czy to stałe miejsce tego płaszcza?

- Nie - powiedział Off wcale nie speszony. - Stałe miejsce ma w szafie.

- W ogóle, powiem ci, zastałam tu typowo kawalerski bałagan.

- Nie próbuj mnie uczyć porządku na starość.

- Ooo - wyrzuciła z siebie robiąc okrągłe oczy. - Jesteś taki stary, że na twój widok słabo mi się robi... Cudownie się reklamujesz - pokazała w uśmiechu równiutkie białe zęby.

- Czuję się zmęczony - usprawiedliwił się. - A kiedy jestem zmęczony, to naprawdę czuję się stary.

- Już ja się tobą zajmę. Najpierw kąpiel czy kolacja?

- Najlepiej jedno i drugie naraz.

- A może i trzecie? - dobiegł go jej głos z łazienki, gdzie puszczała wodę do wanny. Z kuchni rozległo się gwizdanie piecyka.

- Widać, że o kolacji pomyślałaś wcześniej.

- Tak - stanęła na progu łazienki opierając się o framugę. - Moja mama zawsze mówiła, że mężczyzn zdobywa się przy pomocy zapiekanych peforów, a nie sztuczek ze zbyt odkrytym dekoltem.

- Twoja mama - powiedział poważnie - była niewątpliwie bardzo mądrą kobietą. Jeśli do tej pory postępowałaś w ten sposób, to dziwię się, że naszych drzwi nie szturmują zastępy twoich kochanków.

- Sama jestem zdziwiona - odparła z udaną powagą. Roześmiał się.

- W tobie jest coś tak radosnego i nieco” dziennego, że bez przerwy muszę cię cieszyć.

- Ty się nie cieszysz, tylko naśmiewasz ze mnie - pogroziła mu smukłym palcem. - Ale mina ci zrzędnie, kiedy skosztujesz tego smakołyku i wtedy na pewno wyrzucisz mnie za drzwi. Powiem ci w sekrecie, że ja pierwszy raz dzisiaj spróbowałam sama przyrządzić kolację.

- Jesteś jednak odważna. Próbować na mnie swoje eksperymentalne danie. No, no. To duże ryzyko.

- Nie mów tyle, tylko włącz do wanny. Jest już pełna ciepłej i miłej, odprężającej...

- ...i czarodziejskiej - wpadł jej w słowo - cieczy, która pozbawi cię woli, a zada uroku - znów się śmiał.

- Niedługo to naśmiewanie się ze mnie wejdzie ci w krew. Szoruj do wanny i nie waż się o niczym myśleć w kąpeli. Masz odpoczywać.

Woda była rzeczywiście ciepła i miła. Kiedy wyciągnął się w niej z rozkoszą, ogarnęło go dziwne uczucie. Tak chyba muszą wyglądać wszystkie wieczory w domach spokojnych, ustabilizowanych ludzi, których dzień i noc mają swój ustalony porządek i rytm - niezmienny, niezachwiany. Z kuchni słychać było szczerk garnków i sztućców, z pokoju łagodną muzykę, woda stała w bezruchu, nagrzane ciało spoczywało leniwie w wannie, myśl błądziła wokół czegoś nieokreślonego i przyjemnego zarazem. Tylko gdzieś w podświadomości, w zakamarkach mózgu kołatały się sprawy mające decydować, sprawy toczące się poza tą nierealną sytuacją, jaka miała teraz miejsce. Końce włosów wpadły w pianę. Co chwilę z niedosłyszalnym trzaskiem pękały dziesiątki pieniastych bąbli. Off zamknął oczy. Głowę wypełniała mu pustka i cisza. Mógłby tak pozostać do rana. Usłyszał szmer za drzwiami łazienki. Otworzył oczy i odwrócił głowę w tamtym kierunku.

- Czy mogę wejść? - usłyszał.

- Wejdz - powiedział i było w tym coś zupełnie naturalnego, niewymuszonego.

- Wejdz i posiedź ze mną.

Teria była jakby nieco zakłopotana jego nagością. Z początku starała się patrzeć gdzieś w bok. Usiadła dosyć sztywno na brzeżku wanny wypatrując czegoś pilnie na podłodze łazienki. Offowi wydawało się, że trochę posmutniała. Szlafrok przywarł do ciała, dokładnie obrysowując smukłą sylwetkę. Off wyciągnął mokrą dłoń w kierunku zagłębienia, jakie tworzył łuk pleców i bioder. Moment się zawahał, lecz dłoń ruszyła dalej i poczuł dotyk śliskiego materiału na końcach palców.

Teria wyprężyła się nagle. Odwróciła głowę w jego kierunku, strząsając na boki rude pukle. Patrzyła mu w oczy długo i jakoś bardzo poważnie. Potem uśmiechnęła się lekko. Dłoń Offa oparła się już mocno na talii dziewczyny. Była jak zahipnotyzowana, skupiona tylko na jego oczach, jakby nie zauważając, do czego zmierza dłoń coraz mocniej ją oplatająca.

- Chodź - szepnął.

- Dokąd? - zapytała również szeptem.

- Chodź do mnie - powiedział i przyciągnął ją mocniej.

Teria przechyliła się gwałtownie, zobaczył jeszcze jej okrągłe oczy, po czym zatrzepotała rozpaczliwie rękami i tracąc ostatecznie równowagę runęła do wanny. Na podłogę chlusnęła fontanna wody, a zaraz za nią fontanna śmiechu trysnęła z łazienki do pokoju i pomieszała się z muzyką. Spletli się w uścisku, przedzieleni tylko atomami wody i wąską warstwą półprzezroczystego materiału. Usta przywarły do ust, piersi do piersi.

Trwali moment w bezruchu. Teria pierwsza oprzytomniała.

- Wychodzimy? - zapytała ze śmiechem.

- Jak chcesz...

- Chciałam zupełnie inaczej - parsknęła, udając zagniewaną. Wyglądała jak zmoknięta kura. Z włosów sączyły się cieniutkie strumyczki; - Jesteś zupełnie niemożliwy.

- A wydawało mi się - stwierdził - że dobrze wiedziałś, do czego zmierzam.

- Nie demaskuj mnie tak bezlitośnie. Może troszeczkę chciałam.

- Przyrzekam ci, że od tej chwili ściśle będziemy się trzymać planu.

- Więc teraz zjesz kolację...

- Sam?

- Nie przerywaj, ze mną, jeżeli przez ten czas nie wymyślisz znów jakiejś atrakcji, która mogłaby mnie kosztować życie. Potem spokojnie wypalisz sobie papierosa i dopiero wtedy...

- ...od 24.45 do 24.57 będziemy...

- ...znów mi przerwałś. Jesteś niepoważny i 'w ogóle okropny!

- A ty nieskończenie piękna, kiedy się złościś.

Teria zdjęła z siebie mokry szlafrok i weszła do kabiny, zatraskując za sobą na wpół przezroczyste drzwi. Ciemnozielone kafle pokryte były parą wodną. Duże lustro na ścianie odbijało jej postać. Stała zaskoczona rumieńcem na własnej twarzy. Zdziwiło ją, że wygląda dzisiaj tak ładnie. Odkręciła kurki. Z sufitu trysnęła pachnąca woda. Długo stała z twarzą uniesioną do góry, czując narastające ciepło i niepokojące bicie serca. Czekwała nie zdając sobie sprawy, na co czeka. I wtedy usłyszała go. Zrozumiała od razu, że on także czekał. Cofnęła się o krok, robiąc mu miejsce.

- Czy wiesz, dlaczego musiałem zostać z tobą dzisiaj? - szeptał jej do ucha, podczas gdy niecierpliwie dłonie przygarniały coraz gwałtowniej smukłe ciało dziewczyny. - Bo dzisiaj właśnie otwarły mi się oczy. Zrozumiałem, że czas ucieka nie wiadomo gdzie i jak, nie wiadomo kiedy. Jesteś...

- Jestem ci potrzebna - powiedziała to z dziwną intonacją.

Robiło mu się coraz bardziej gorąco.

- Jesteś mi konieczna do życia i sam nie wiem, jak do tego doszło.

Lekko kręciło mu się w głowie. Nie był pewien dlaczego. Zdarzyło mu się to po raz pierwszy. Może to wzbierająca para.

- Off - wyszeptała. - Nie myśl o niczym... - jej głos był niebywale miękki, jednak władczy.

Poczuł, że nie powinien już myśleć. Powinien zapomnieć się, zagubić w niej, w tym co ma nadejść, bez żadnych hamulców.

- Nie myśl - powtórzyła. I myśli zgasły.

Było jeszcze ciemno, kiedy na schodach rozległy się kroki. Powolne, ledwo słyszalne stąpanie. W chwilę potem przez skrzynkę na drzwiach wpadła do

mieszkania kartka brefu i spłynęła na podłogę przedpokoju, odwracając się charakterystycznym znaczkem do góry.

Ktoś delikatnie zastukał. Off ocknął się i otworzył oczy. Poruszył się niespokojnie. Pukanie dotarło do jego świadomości. Uniósł gwałtownie głowę. W pozornym chaosie stukotu obowiązywał pewien charakterystyczny rytm, nie dopuszczający najmniejszego dysonansu, najmniejszej dysharmonii. Inspektor wyciągnął ostrożnie dłoń spod głowy Terii; odsunął brzeg kołdry. Czym prędzej narzucił na plecy ciepły szlafrok. Wyszedł do przedpokoju, zamykając za sobą drzwi. Jeszcze tylko ostatni raz rzucił okiem na śpiącą, żeby upewnić się, czy nie zbudził jej przypadkiem. Po raz nie wiadomo który stwierdził przy tej okazji, że jest nadzwyczaj piękna.

Schylił się i podniósł żółtą kartkę. Pokryta była regularnymi literami szyfru. Tak. I ten szyfr był w zupełnym porządku. Jedną część kartki sklejono z dwóch warstw i dokładnie sprasowano. Poślinił to miejsce i położywszy braf na blacie pod lustrem, począł systematycznie pocierać. Za drzwiami ktoś poruszył się niecierpliwie. Inspektor usłyszał westchnienie. Spod pierwszej warstwy powoli wychynęła druga, a na niej ów znaczek, ostateczne potwierdzenie. Inspektor wyprostował się i odetchnął. Twarz mu pojaśniała.

- Jesteś tam? - zapytał niemal szeptem przez skrzynkę w drzwiach.

- Tak. Zaczekam na dole - odpowiedział znajomy głos.

- Nie - zaoponował Off. - Bądźcie obaj za godzinę w barze. Tym samym co ostatnio w Coloi.

- Inspektorze - rozległo się zza drzwi.

- Co?

- Przed domem stoi chyba jakiś lancetnik.

- Tan mały karzeł?

- Tak.

- Musicie go załatwić. Od wczoraj depcze mi po piętach.

- Dobra - usłyszał.

I zaraz potem ponownie rozległy się na schodach ledwo słyszalne stąpania Agisa. Off wszedł do pokoju. Stał przy oknie i spojrzał w dół. Karła nie było nigdzie widać. Może się ulotnił? Dla kogo naprawdę pracuje ten człowieczek? Chyba nie dla Borsy Tyki? Nawet najodważniejszy nie rzuciłby się na posiadacza Srebrzystych Wyciorów, wprawiających całą knajpę w osłupienie i niemy zachwyt. Dla kogo pracuje Bors Tyka? Nieważne. Za oknem jeszcze szaro. Która mogła być godzina? Czwarta? Wpół do piątej? Mury domów wraz z chodnikami, zielenią krzewów i drzew oraz szaro seledynowym niebem zlewały się w jedną płaszczyznę. Teria nie obudziła się jeszcze. Tej nocy nie spała wiele, ale będzie musiała już wstać. Musi dzisiaj opuścić miasto.

Inspektor nakręcił numer biura wynajmu i zamówił bobons. Miał przylecieć za pół godziny. Nachylił się nad nią i delikatnie pocałował we włosy. Poruszyła się. Długie rzęsy zafalowały. Dotknął wierzchem dłoni jej policzka.

- Wstawaj - szepnął tak, że poczuła ciepłe powietrze w uchu. - Wstawaj.

Otworzyła oczy i lekko się uśmiechnęła.

- Wstawaj - powtórzył. - Za kilkanaście min jesteśmy umówieni na ulicy Nerga i koniecznie trzeba tam iść. Wstawaj.

- Tak wspaniale... - Tak wspaniale budzisz, że mam ochotę jeszcze zasnąć. Przeciągnęła się podkurczając nogi.

- Naprawdę trzeba? - zapytała.

- Tak - odrzekł. - Chcę, żebyś wyjechała.

- Co? - zerwała się. - Ani mi się śni!

- Wyjedziesz - zabrzmiało to twardo i nieprzyjemnie.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Zrozum mnie - zmienił ton. - Zrozum, że muszę być pewny, że nic ci nie grozi. Dlatego wyjedziesz i będziesz tam czekać, aż wszystko się wyjaśni.

Spojrzał na nią wyczekująco.

- Zgadzasz się?!

Teria jakby przygasła. Opuściła głowę i ramiona.

- Jeśli ci tutaj przeszkadzam, to wyjadę.

- Teria - przytulił ją do piersi. - Wyjedziesz. Ale nie tylko dlatego, że mi przeszkadzasz. Wyjedziesz, żebym mógł cię jeszcze kiedyś zobaczyć zdrową i całą. Wyjedziesz, żebyśmy mogli po tym wszystkim...

- Wiem, wiem... Masz rację... Wyjadę - to było westchnienie. - Wyjadę...

Wstała i poszła do łazienki wziąć prysznic. Inspektor patrzył chwilę za nią, podziwiając to sprężyste, gładkie ciało, tak różne od jego własnego, a zarazem tak bliskie jak jego własne. Ubrał się prędko w jakieś spodnie, pierwsze, które wpadły mu w rękę, w pośpiechu zapinał koszulę. Teria wróciła z łazienki i wciągnęła przez nogi opięty zielonkawy lunis. Kręciła przy tym biodrami, usiłując je przepchnąć przez materiał. Wreszcie się to udało. Przez chwilę stała nieruchomo.

- O czym myślisz? - zapytał miękko. Spojrzała na niego, już po raz drugi dzisiaj zaskoczona jego tonem.

- O niczym - powiedziała z roztargnieniem. - O niczym ważnym.

- Wszystko, co myślisz, jest dla mnie ważne. Powiedz.

- Nie. Zresztą... - zarumieniła się. Nie nalegał. Wiedział, że coś ją nurtuje, że nad czymś, się zastanawia od momentu, w którym powiedział jej o wyjeździe. Widać nie nadeszła jeszcze chwila na podzielenie się z nim tą myślą.

- Gotowa? - zapytał.

- Tak. Możemy iść.

Inspektor powkładał do kieszeni płaszcza wszystkie potrzebne drobiazgi. Teria także narzuciła lekką wiosenną sergę. Inspektor zamknął mieszkanie i włączył system.

Bobonsu jeszcze nie było. Niebo powoli jaśniało. Nabierało coraz ostrzejszych, czystych barw. Nad Termi, nad dachami strzelistych, dziwaczych w kształcie instytutów, tonących podstawami w ciemnej zieleni, zamajaczył czarny punkcik. Punkcik powiększał się systematycznie. Rósł w ciszy, zawieszony prawie nieruchomo. Zatoczył nad ich domem dwa koła i wylądował. Połyskująca oksydowana kula odbijała promienie wschodzącego słońca, śląc w zmrozoną po nocy przestrzeń długie, rude refleksy.

Wtłoczyli się w fotele. Automat czekał na rozkazy.

- Ulica Nerga - rzucił Off.

Pojazd bezszelestnie uniósł się w powietrze, zatoczył łuk i wziął kurs na południowy zachód, w stronę Są Sout. Za nim, niemal niewidoczny, oderwał się od ulicy smukły cień. Inspektor spojrział w dół. Na o wiele mniejszej wysokości pędził z hałasem niewielki strad. Przez przezroczystą kopułkę inspektor dostrzegł skurczoną za sterem postać karłowatego lancetnika.

Zdenerwował się. Co za przebiegły karzeł! Zbyt przebiegły jak na zwykłego rzezimieszka. Znów powróciło pytanie - dla kogo on pracuje? Inspektor wyłączył automat. Musi go zgubić. Bobons wzniósł się gwałtownie. W dole zmaląła nieco sylwetka nieruchawego w powietrzu stradu. Off dobrze wiedział, że tylko zwrotnością może go wywieść w pole. Ostry zakręt w lewo wtłoczył ich w fotele.

Teria nic nie mówiła. Śledziła z napięciem mknący za nimi uparcie czerwony strad. Teraz był on trochę z boku. Wykręcał w ich kierunku szerokim łukiem, na pełnym gazie. Off zastanawiał się przez moment, co robić dalej. Karzeł czuł się bezkarny i niemal jawnie ich atakował. Strad był na pewno szybszy od bobonsa, lecz mniej zwrotny. To jednak nie dawało zbyt dużych szans na zgubienie go w otwartej przestrzeni nieba. Pozostawało do wykorzystania tylko to, że bobons mógł się wznosić bardzo wysoko, a strad najwyżej na 50-60 metrów nad ziemię. Gdyby było ciemno, albo gdyby zasłoniły ich obłoki lub gęste chmury, zgubiliby go bezboleśnie, jednak niebo pozostawało zupełnie czyste, seledynowe.

- Leć nad instytuty - zaproponowała Teria. - On jest mało zwrotny. Zmusimy go do kluczenia na dużych prędkościach.

Miała rację. Instytuty będą za wysokie dla stradu. Czerwona smuga już ich dopędzała. Wyraźnie zobaczył twarz karła. Nabiegłe krwią małe oczka. Dłonie zaciśnięte na kole. Dłonie o zbiegłych kostkach, kurczowo wczepione w gładki ster. Z tej odległości Off bez trudu rozpoznał markę pojazdu i zaczął mieć wątpliwości, czy tak łatwo uda mu się pozbyć natręta. Był to sportowy Gallix

Super. Jego paszcza rosła z tyłu bobonsa z każdą sekundą. Walił pełną mocą prosto na nich.

Off nacisnął reduktor. Bobons zachwiał się i runął w dół. Gallix omal nie otarł się o dach oksydowanej kuli i jak pocisk pomknął dalej. Uderzony falą gazów bobons gwałtownie zawirował. Stabilizator z trudem pochwycił równowagę. Strad hamował z potwornym jazgotem wstecznego przyspieszacza. Wykonywał szeroką pętlę.

- Off! - krzyknęła przerażona Teria.; - On cię chce zabić!!!

- Wiem - wyrzucił przez zaciśnięte szczęki. Nacisnął pedał. Kula ruszyła pionowo w górę. Gallix ostrym ślizgiem usiłował przeciąć ich linię wznoszenia. Znów wyminęli się o centymetry. Rozgrzane powietrze zadrgało wkoło kabiny. Bobons stracił oparcie pod sobą i runął w dziurę rozrzedzonego powietrza. Inspektor docisnął gaz i wyrwali do przodu w stronę widocznych na horyzoncie instytutów.

- Niebezpieczeństwo! Niebezpieczeństwo - szeptał niemal czule automat i migotał czerwonymi lampkami na pulpicie, gdy dwukrotnie przekroczyli dozwoloną na terenie miasta prędkość.

Mimo to strad pędził za nimi, stale się przybliżając.

- Nie złapie nas przed rzeką? - zapytała z nadzieją w głosie Teria.

- Chyba nie - odpowiedział.

Szli skosem w górę. Strad uparcie ich gonił. Trzymał się nadzwyczajnie. Przekroczyli już 70 metrów i wznosili się wyżej. Czerwony Gallix znów był tuż, tuż.

- Cholera! Chyba przerabiany - zaklął inspektor.

Wnieśli się jeszcze wyżej. Tamten wyraźnie zostawał w dole. Niebo rozbłysło na ułamek sekundy. Off odruchowo wykonał manewr i zredukował wysokość. Następny błysk. Ins zadarł w górę prawie świecą, czerwone światełka jarzyły się teraz bez przerwy i automat bez przerwy bełkotał pieszczotliwie. Znów błysk! I tym razem nie trafił. Gallix ostrzeliwał ich z promiennika. Inspektor miał wprawdzie w kieszeni kufę, ale nie mogła się na nic w tym wypadku przydać.

Wtem. niebo pojaśniało na dłużej. Trzy strzały pod rząd zwały się na bobons niczym lawina. Off wyrwał jeszcze do przodu, lecz powstrzymał ich automatyczny bezpiecznik. Tył kuli zniknął zmieciony salwą. Boki, nadtopione wysoką temperaturą, pofalowały się i bobons stracił równowagę. Krajobraz zawirował im przed oczami. Pojazd przekoziółkował kilka razy i bezwładnie runął w dół. Wiatr pędu wył w Jego porozrywanej powłoce. Off szarpał wszystkie uchwyty, usiłując wydobyć pojazd z pionowego wiru. Silnik zaskakiwał od czasu do czasu i z bezkształtnym rykiem zamierał. Ins jeszcze raz nacisnął starter.

Nagle olśniło go. Włączył automat. Bobons zadrżał i jęknął. Silnik zaczął pracować. Ciągnął pełną mocą w górę. Pojazd spadał jednak zbyt szybko. Silnik nieco wyhamował ten pęd, lecz zaraz trzasnęły wszystkie bezpieczniki; nie mógł wytrzymać takiego obciążenia.

- Pasy"-wrzasnął inspektor, Rozgorączkowane dłonie odruchowo odnalazły zatrzaski. Teria już była zapięta. W ostatnim - momencie spojrzął na niebo. Po stradzie nie pozostało ni śladu.

Chyba ktoś to wszystko widział - przemknęło mu przez myśl.

Potem zdążył tylko rzucić wzrokiem pod siebie. Zobaczył zbliżającą się z błyskawiczną prędkością płaszczyznę wody. Objął Terię. Przytulili się i potworny cios niemal spłaszczył oksydowaną kulę. Podskoczyła jak kamień, kilka razy odbijając się od fal. Zaryła w zimną ochłań i poszła pod powierzchnię nabierając wody.

Na nabrzeżach stał już zaalarmowany Strapor i jednostki ratunkowe. Steraxy natychmiast ruszyły do miejsca, w którym zanurzył się bobons. Nurkowie zaciągali zamki loistrów. Nad punktem, w którym, jak wyliczono, bobons spocznie na dnie, zawisły cztery bobonsy z podwieszonymi płaszczyznami. Bezbłędnie wstrzelono pionowe ściany w dno, tworząc zamknięty sześcian. Steraxy już tam były. Podłączono ssawy. Sprężarki zassały pierwszą partię wody. Ubywało jej w zaskakującym tempie. Tymczasem wzmacniano konstrukcję, wstrzeliwując drugi ochronny sześcian. Wkrótce ratownicy ujrzeni spłaszczony dach zarytego w muł po sam czubek bobonsa.

Do tej chwili upłynęło trzydzieści sekund od momentu, gdy kula zetknęła się po raz pierwszy z lustrem wody. Na dno zeszli nurkowie w obcisłych czarnych lostrach, zapiętych pod brodę. Opuszczano ich ze steraxów na linach, z platform umieszczonych przy ścianach. Oplatała. bobons siatką stalowej konstrukcji. Teraz podpięto liny do wszystkich czterech bobonsów, które nieco uniosły kulę, wydobywając ją z mułu. Wyciągnięto dwa dała. Oplecione w kokon, wędrowały do sanitarnego steraxa. We wnętrzu pojazdu otwarto kokon. Ułożono rannych na kojach. Lekarze spoglądali na podłączone stymulatory i manometry. Elektroniczny diagnostyk badał po kolei każdą kość, każdy mięsień. Wróciło tętno i oddech. Off otworzył oczy.

- Ale mieli szczęście - powiedział jeden z lekarzy. - Uratowała ich woda i pasy. Są tylko lekko potłuczeni. A dziewczyna trochę zszokowana.

- Co to za bandzior ich ostrzelał? - zaciekał się inny.

- Na pewno Strapor go złapie. Pewnie ten sam, który rozwalił Instytut Lotów. Teria także się poruszyła. Inspektor podniósł głowę.

- Co się stało? - zapytał.

Wydawało mu się, że jego czaszka rozpadnie się zaraz na tysiąc kawałków. Poza tym przeszywał go nieznośny ból w prawej ręce.

- Nic takiego - odpowiedział jeden z lekarzy. - Trochę za gwałtownie łądownaliście na Termi. Ale mieliście szczęście. Obeszło się nawet bez zwichnięcia kostki. Lekki wstrząs. Za chwilę wyjdziecie z uniwermedu, potem przesłucha was Strapor i możecie iść do domu.

Na nabrzeżu czekał inspektor Under. Kiedy, jeszcze lekko się chwiejąc, wyszli z wnętrza steraxa, natychmiast się na nich rozwrzeszczał.

- Sportowcy, psiakrew! - ryczał. - Akro-baci zasmarkani!

Off wyciągnął z kieszeni suchego ubrania legitymację i tylko machnął nią przed nosem tamtego, nie zatrzymując się nawet. Taquanara wiedział już oczywiście o całym zajściu i chciał się z Offem natychmiast widzieć. Off myślał jednak, że to raczej formalne zainteresowanie ze strony zwierzchnika, zagrywka mająca mu wyrobić dobrą markę wśród pracowników, a nie faktyczna troska o los Offa. Poza tym inspektor nie miał czasu. Teraz zwłaszcza miał go niewiele. Na spotkanie na ulicy Świętego Nerga spóźnili się już dziesięć minut, a zanim tam dojdą, minie dalszych dziesięć. Powiedział więc Taquanarze, że zjawi się u niego później.

- A złapaliście tego, który do mnie strzelał? - rzucił w mikrofon.

Po drugiej stronie zapanowała cisza.

- Nie - odezwał się wreszcie Taquanara. - Mam meldunek, że odnaleźli strad, ale facet zniknął.

- Pewnie strad stał w uliczce bez kamery Mózgu.

- Tak - odpowiedział Taquanara. - W rejonie bez kamer.

- To na razie dziękuję ci - zakończył Off. - Mam teraz pilną sprawę.

Wezwali ixar. Zjawił się natychmiast. - Na Świętego Nerga - rzucił inspektor i ixar ruszył.

Tymczasem karzeł zatrzymał się na rogu Efanal w wielkiej cienistej bramie, pośród dziesiątek biegnących od początku do końca tej ulicy, jak wszędzie w Coloi, wystaw sklepowych. Stał tak, aby dobrze włądzić szepiającą w pewnym, miejscu na wysokości pierwszego piętra obie strony ulicy, klairnrę elektrycznej gazety. Po jej płaszczyźnie mknęły szeregi liter. Coraz to nowe informacje przesuwwały się nad zatłoczoną ulicą, pełną sunących pojazdów, tętniącą gwarem i krzykami natrętnych sprzedawców.

Karzeł stał oparty o mur, wpatrując się z napięciem. w płaszczyznę gazety. Czekał. Wreszcie barwa liter zmieniła się z białej na czerwoną i popłynęły słowa informacji z ostatniej chwili. „PRZED PÓŁ GODZINĄ W POBLIŻU LINII ZERO PLUS OSTRZELANY ZOSTAŁ PRZEZ NIEZNANEGO OSOBNIKA INSPEKTOR STRAPORU OFF PROWADZĄCY SPRAWĘ NAPADU NA

INSTYTUT LOTÓW. ŻYCIU INSPEKTORA I PASAŻERKI NIE ZAGRAŻA NIEBEZPIECZEŃSTWO. STRAPOR PRO...”

Człowieczek nie czekał dalej. Ze złością zgniótł tutkę mafafy. Roztarł ją o chodnik i zniknął w ciemności bramy.

Ixar zatrzymał się przy Świętego Nerga 35. Wyszli i weszli do niezbyt wytwornej bramy zaniedbanego budynku. Na piętro zaprowadziły ich drewniane skrzypiące schody. Off przypuszczał, że były one specjalnie skrzypiące. Właściciel musiał widać słyszeć, czy ktoś nadchodzi. Gdy doszli do piętra, otworzyły się na wprost nich drzwi. Stał w nich niechlujnie ubrany, krostowaty człowiek.

- Proszę do środka - powiedział i skłonił się z wprawą zawodowego lokaja.

Weszli. Korytarzyk, wąski i ciemny, cały zagracony, zaprowadził ich do ponurego staromodnego pokoju. Za biurkiem, rzeźbionym bogato, lecz mocno zniszczonym, siedział pałac fajkę sam ślepiec Bajo.

- Spóźniłeś się... - zaczął podrasowując patrzydła i z ciekawością przypatrując się Terii.

- Mały kłopot. Ktoś chciał ustrzelić moje Srebrzyste Wyciory.

Off zauważył, że Teria rozgląda się po pomieszczeniu ze strachem. Bajo także to spostrzegł.

- Nie bój się, panienko. Jesteś w” dobrych rękach mimo złych pozorów. Nikt cię nie skrzywdzi. Chyba... - zawahał się.

- Chyba że co? - zaatakował twardo inspektor.

- Chyba że twój pan i władca - zwracał się dalej do niej z coraz szerszym uśmiechem - nie zapłaci w umówionym czasie umówionej sumy - zarechotał.

- O to - Off rozluźnił się - bądź spokojny.

- Jestem. Choć następnym razem ktoś może ci ustrzelić Wyciory.

- Byle nie był to ktoś, o kim ty wiesz.

- Podejrzewasz mnie o działanie na własną szkodę?

- Tak sobie tylko mówię. Popatrzyli na siebie.

- Mam coś dla ciebie - zmienił temat ślepiec.

- Co?

- Informację za tysiąc lunów. Inspektor aż gwizdnał.

- Nie mam tyle i nie dam tyle.

- To sporo, ale opłaci się. Wiadomość z Sov. Teria drgnęła na dźwięk tej nazwy.

- Dotyczy pewnego dziwnego wypadku w drukarni - kontynuował Bajo stale kręcąc trybikami patrzydeł. Zdawało się, że przewierca nimi człowieka na wylot. - Zapłacisz? - popatrzył na Offa z wyczekiwaniem.

Inspektor wahał się chwilę.

- A domyślasz się, jakie cenię informacje? - zapytał z niedowierzaniem.

- Inspektorze! - obruszył się Bajo. - Wiem kim jesteś i wiem także o tyle więcej, że mogę ci pomóc lub zaszkodzić.

- To i dobrze. Wobec tego wiesz również, czego chcesz. Więc wal. Daję te luny.

- Zdarzył się tajemniczy wypadek. Jakiś facet napadł na drukarnię i w dziwny sposób sterroryzował pracowników. Sami się powiązali i zakneblowali, a on z jednym tylko redaktorem drukowali całą noc nie wiadomo co. Musisz jechać do Sov, inspektorze.

- Jesteś pewien, że ta informacja jest dla mnie?

- Widzę, że wiem więcej o twojej sprawie od ciebie samego. Kiedyś to zrozumiesz. Już niedługo zresztą. Na razie tyle. Płacisz tysiąc lunów. I wracamy do tematu. Z człowiekiem, o któregoś pytałeś, zobaczysz się w Pomniku Niewidzialnych - znów zarechotał. - A raczej usłyszysz go. Dziś, za półtorej godziny. Za dwadzieścia minut macie próżniowiec z Coloi. Ją - ciągnął wskazując palcem Terię - odbierze na dworcu mój człowiek ze Srebrzystym Wyciorem, takim jak twój. Możesz się nie obawiać. To wszystko.

Bajo zadzwonił i do pokoju wszedł krostowaty. Wskazał im drzwi z lekkim ukłonem.

- Jeszcze jedno - zatrzymał Offa Bajo. - Nie żałuj tego tysiąca, zrobiłeś naprawdę cudowny interes.

Off przytaknął, lecz miał poważne wątpliwości. Weszli w znany już korytarz, skąd krostowaty zaprowadził ich przez przechodnie podwórze na sąsiednią ulicę i przywołał ixar.

Ixar zatrzymał się w Coloi pod automatycznym barem, gdzie jedli tamtego pamiętnego ranka. Ranka, od którego zaczął się dla Offa inny świat.

- Zostań tutaj - powiedział do Terii wysiadając z pojazdu.

W milczeniu skinęła głową. Widział, że jest niezadowolona i lekko wystraszona planowanym wyjazdem. Najbardziej złościł ją upór Offa, ale na to nie umiała już nic poradzić. Ins wiedział, co robi i Teria czuła, że ma on rację. Mimo wszystko była na niego zła. Któż pojmie kobietę?

Wewnątrz baru siedziało jedynie kilkanaście osób. Agis i Dager w samym rogu, usadowieni na wysokich krzesłach, wywijali nogami w powietrzu, sącząc copeauskie. Na widok inspektora Dager machnął ręką.

- Witaj - powiedział niemal wesoło. Nutka napięcia przedarła się jednak przez ten wesoły ton i Off zrozumiał, że chłopcom jest w tej chwili ciężko.

- Cześć - rzekł siadając obok nich.

- Może żółtgo z Copeau? - zapytał Agis.

- Nie, nie - zaprotestował gwałtownie Off. - Mam bardzo mało czasu. Za dziesięć min - spojrzał na światełka zegarka - za dziesięć min mam próżniowiec. Po tym, że was widzę, wnioskuję, że jesteście gotowi na wszystko.

Obaj podinspektorzy skinęli tylko głowami.

- Posłuchajcie więc - zaczął Off. - Jadę zobaczyć się z Revaparem, tym zwolnionym, którego tak ukrywali w InLu. Dostałem jego adres za 300 lunów.

- Skąd weźmiesz taką forszę? - zdziwił się Dager.

- Z kasy Straporu po zakończeniu sprawy, ale nie o to teraz chodzi. Nie powinno mi to zająć dużo czasu. Tymczasem prowadźcie śledztwo zgodnie z przyjętymi zasadami, klasycznie, starajcie się niczego nie pominąć. To jedyne, co możecie dla mnie zrobić. Pewnie na coś się przyda. No, to cześć.

Przy ostatnich słowach Off już stał. Teraz odwrócił się tylko i zniknął w drzwiach baru. Wyszedłszy zatrzymał się na moment i spojrzał w słońce, przysłaniając oczy dłonią. Wspaniała pogoda. We Florey na pewno jest podobna. Jeszcze raz spojrzał na słońce, lecz natychmiast odwrócił wzrok. Na niebie, przed oczami pojawiła się mu zielona, okrągła plamka.

Wzdrygnął się. Co to? Pewnie efekt porażenia ostrym światłem. Ruszył w stronę ixara. Nie ma czasu na domysły. Otwierając drzwiczki pojazdu znowu popatrzył w górę. Plamka przesunęła się na zachód. Wsiadł. Widać źrenica jeszcze nie przyszła do siebie.

Ixar ruszył. Off obrócił się, spojrzał w tylną szybę. Zielona plama przesunęła się jakby niżej nad horyzont, nieco urosła.

- Co tam widzisz? - zaintrygowała się Teria.

- Nic - odpowiedział wracając do normalnej pozycji. - Za długo patrzyłem w słońce i teraz latają mi płatki przed oczami.

Jednak znowu się obejrzał. Niebo było czyste.

- Już mi przeszło - uspokoił się.

- To normalne - stwierdziła Teria. Ixar dojeżdżał do dworca, którego białe kopuły raziły wzrok.

. Szesnastego komara. Florey o tej porze roku... Bezchmurne, niemal jaskrawe, zielone niebo. Kwiaty, w których toną wszystkie ulice i place. Białe płatki, gdzie spojrzysz. Dachy domów rozrzuconych nieregularnie na wzgórzach. Ani jednej poziomej płaszczyzny. Wszystkie aleje i bulwary w większym lub mniejszym pochyleniu. Posrebrzane wieżyczki centrum, błyskające już z daleka niczym latarnie morskie. Florey o tej porze roku to przepojona świeżością fontann perła podzwrotnikowa.

Próżniowiec, sunący teraz wewnątrz przezroczystej rury z gigantyczną prędkością, zwolnił, przemykając kolejnymi śluzami, rozrządu głównego dworca i można było przez podwójne szkło i plastik oglądać krajobraz.

Off wpiął w klapę migoczący znaczek. Ludzie wstawali z miejsc, pompy nieco wolniej przetłaczały rozrzedzony gaz, smukły, rybi kształt próżniowca coraz majestatyczniej sunął poprzez kolejne stawidła. Za ścianami słychać było syk wypełniającego rurę powietrza. Z każdą następną śluzą ruch pomp zamierał, aż wreszcie ucichł zupełnie i ssanie przejęły pompy stacji. Pojazd toczył się już niewiele szybciej od stradu i zbliżał się do podziemnego peronu dworca Florey-Vylla.

Wkrótce zza okien zniknęły budynki i przepojone zielenią ulice miasta, a zastąpiła je szara czerń tunelu. Za pojazdem zamknęła się ostatnia śluzka i z cichym sapnięciem szarpnął nim sprężysty bufor odpychający. Światła przygasły na sekundę, nim zdążył je przejąć zasilacz stacji. Przez perony, odbity wielokrotnym echem, popłynął głos spikera, oczywiście automatycznego: ANIZORP S VALACOA OT FLOREY. AN NEROPU SEDZ i w sekundę później w in-terze: PRÓŻNIOWIEC Z VALACO DO FLOREY NA PERONIE SZÓSTYM.

Cisnienie doszło już do normy i zapłonęły zielone światła. Ludzie wysypali się jak ziarnka erbasate na błyszczące posadzki peronu, w których odbijały się lustra sufitów. Rozległ się gwar powitań. Śmiech i łzy mieszały się ze sobą - samotność i bliskość. Ktoś oczekiwał - nikt nie oczekiwał. Nowe wieści ze starych miejsc. Stare wieści ze starych miejsc. Jak zwykle. Od wieków.

Teraz dopiero Off zaczynał doceniać taką atmosferę... Nie, nie doceniać... Od kilku dni zaczął zauważać istnienie takich sytuacji, jakie towarzyszą powitaniu po rozłące i długiej nieobecności, co więcej - zaczął je rozumieć, a to pociągało za sobą fakt, że coraz bardziej ich potrzebował. Wydawało mu się od wczoraj, że stał się jakiś inny, ludzki, po prostu normalny.

- Miałem się zgłosić - przerwał rozważania Offa wysoki człowiek w błyszczącym garniturze. W klapę miał wpięte identyczne Wyciory.

- Zgadza się - odpowiedział inspektor.

- Gdzie towar?

- Tu - Off wskazał głową Terię.

- Idziemy - skinął na nią mężczyzna i ruszył przodem.

Teria zawahała się. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, lecz zrezygnowała. Przytulili się tylko, krócej niż to zwykle bywa przy pożegnaniu ustabilizowanych par i pobiegła za swoim przewodnikiem, znikającym już w tłumie pasażerów podążających w stronę eskalatora.

- Pamiętaj! - krzyknął Off. - Możesz się ruszyć tylko na osobiste zezwolenie Ślepca!

- Pamiętaj! - odkrzyknęła poprzez szum wypompowywanego powietrza.

Wkrótce zniknęła, zginęła w tłumie różnobarwnych, różnojęzycznych przybyszów. Zastanowił się, co chciała mu powiedzieć. Czy to, o czym myślała

dzisiaj rano, czy też zupełnie coś innego? Przez całą drogę prawie nie rozmawiali ze sobą. Był w ich rozstaniu jakiś nieokreślony smutek, może żal, a może tylko niepokój.

Został teraz sam. Peron pustoszał. Otwarta śluza ziała ciemną pustką. Próżniowiec już odjechał. Off nie usłyszał nawet zapowiedzi. Skierował wzrok ku przeciwległej ścianie. Poszedł za wędrującą, jaskrawo pulsującą strzałką, która wskazywała kierunek do centrum. Strzałka wprowadziła go na eskalator wijący się ostro pod górę.

„Przypominamy - rozległo się z głośników - że temperatura wynosi dzisiaj 33°, jest bez-chmumie i niemal bezwietrznie”.

„...Wietrznie” - powtórzył hali eskalatora, „...etrznie” - niosło się przez opustoszały peron, „...nie” - westchnął głos z ciemnego tunelu.

Na górze jaskrawe, białe światło słońca niemal poraziło mu oczy. Przypomniał sobie, że jest w płaszczu i zdjął go natychmiast. W słońcu było gorąco. Takie upały zdarzały się w Vala-co tylko przez kilka dni w środku lata. Spojrzał na zegarek i przyspieszył kroku. Do spotkania pozostało zaledwie dwadzieścia min. Na szczęście do pomnika stąd niedaleko.

Wciągnął w płuca powietrze przepojone zapachem białych liliowcówapełniających rabaty. Zapach, który tak dobrze zapamiętał w zupełnie innych okolicznościach. Florey nie kojarzyło mu się w tej chwili z błoigim spokojem. Kolor nieba był jakby bardziej ostry, płaszczyzny białych ścian budynków mniej stabilne, ruch i głosy bardziej agresywnie, zapach ulicy nieprzyjemny.

Minął przyspieszonym krokiem kilka niedużych uliczek i znalazł się na placu Niewidzialnych. Pod kolorowymi parasolami gracyami siedzieli ludzie, popijając grac. Dzieci sączyły przez słomki pastelowe płyny, skrzące się bąblami gazu, lizaly wielkie czerwone lizaki.

Pomnik z zewnątrz wyglądał nie nadzwyczajnie. Kilka kamiennych słupków wyznaczających okrąg. Wewnątrz okręgu nie dostrzegano się niczego. Normalny pejzaż po drugiej stronie placu. Pomnik sprawiał wrażenie, że jest przezroczysty. W rzeczywistości jego wnętrze było po prostu niewidzialne. Off przez chwilę obserwował wejście do pomnika. Lecz nikt się do niego nie zbliżał. Wreszcie wsunął się do środka. Otoczyła go pustka. Kiedyś już tu był, jednak wrażenie, jakiego obecnie doznał, było niesamowite. Wkoło kompletna nicość. Pusta przestrzeń bez koloru, cisza, brak też jakiegokolwiek zapachu. To, co najmocniej utkwilo mu w pamięci z wrażeń jakich doznał wówczas wchodząc do pomnika, to dziwne uczucie rozpląnięcia się w przestrzeni. Kiedy spojrzął na swoje dłonie, nie zobaczył ich! A nogi? Także ich nie było! Czuł je.

Tym razem nie nastąpiło owo rozprzestrzenienie się. Widocznie ten fenomen występował tylko przy pierwszej wizycie we wnętrzu pomnika.

Nagle, tuż nad uchem, usłyszał głos:

- Jestem Revapar.

Nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć, tak poczuł się zaskoczony. Wyręczył go niewidzialny rozmówca.

- Czekam na pana od dobrej chwili. Chciał pan ze mną rozmawiać?

- Tak.

- Usiądźmy na ławce.

Inspektor poruszył się niezdecydowanie. Nie miał pojęcia, gdzie znajduje się ta ławka. Poczł dotyk czyjejś dłoni. Tamten delikatnie pociągnął go za sobą i posadził. Off usiadł ze zbyt wielkim impetem na kamiennej ławie.

- Słucham - odezwał się znów Revapar.

- Znalazłem się w trudnej sytuacji. Powierzono mi sprawę napadu na Instytut Lotów w

Valaco.

- I co ja mam z tym wspólnego?

- Skradziono dokumenty dotyczące przygotowywanego lotu do Achinora w Sol. Pan uczestniczył w ustalaniu programu.

- I co z tego?

- Potem pan zniknął, a dyrektorzy instytutu ukryli przede mną ten fakt. Jednocześnie OS prowadzi śledztwo. Zostałem za pomocą sprytnej intrygi wpłątany w całą sprawę i muszę ją ciągnąć niejako wbrew swojej woli.

- Niech pan radzi sobie beze mnie.

- Pan mnie nie całkiem zrozumiał. Ja mam na pieńku z Tajną Radą i teraz, powierzając mi to śledztwo, chcą mnie wykończyć. Dlatego jednocześnie prowadzi je OS. Oni wiedzą o wiele więcej ode mnie, bo udostępniono im tajne dokumenty zawierające program lotu. W ten sposób postawiono mnie na z góry przegranej pozycji. Wiem jednak tak dużo, że będą musieli mnie usunąć, jeżeli to oni znajdą napastnika. Pozostaje mi tylko jedno wyjście. Muszę go znaleźć pierwszy.

- Widzę jeszcze jedno wyjście, inspektorze.

,- Nie rozumiem.

- Może pan zrobić to, co ja.

- O nie. To byłoby zbyt pasywne posunięcie. Zupełnie mi nie odpowiada. Jakie pan ma w tej chwili perspektywy?

- No, cóż. Nie najlepsze, istotnie. Czekam na przerzut na Salvirę.

- A widzi pan - powiedział Off. - Nie chcę reszty życia spędzić na Salvirze. Zresztą są ludzie, którzy nawet tam nie zdołają się ukryć. Pan właśnie do takich należy. Bąjo może pana ukryć rok, dwa, może dać panu nowe nazwisko, papiery, nawet twarz, ale nie usunie ludzi, którzy brali w tym udział, a dopóki ich nie usunie, nie będzie pan miał chwili spokoju.

- A jakie pan ma perspektywy?

- Na razie zbyt mało orientuję się w zagadnieniu. Wiem, że mogę wygrać dochodząc do sedna na przelaj, a jeżeli przegram...

- To co?

- To przynajmniej nie przejdę przez etap oczekiwania na dzień, który musi nadejść, nie będę się trząsał po nocach słysząc skrzypienie schodów czy uderzenia framugi okna potrąconej wiatrem. Moja śmierć będzie nieporównanie lżejsza od pańskiej. Uprzedzę ich.

Przez chwilę panowało milczenie. Pustka nabrała przytłaczającego ciężaru. Wreszcie Revapar odezwał się.

- Chętnie bym panu pomógł. Ale wydaje mi się, że to nic nie da. Poza tym całym sercem solidaryzuję się z człowiekiem, który napadł na instytut. Tamta sprawa to bagno. Pan również w pewien sposób chce z nimi walczyć, choć z zupełnie osobistych pobudek. Dlatego chciałbym panu pomóc.

- Niech pan posłucha - przerwał mu inspektor. - Jeżeli wygram, zrobię taki szum wokół tej sprawy, że całą Tajną Radę i OS diabli wezmą. Tylko to mnie uratuje. Mnie i pana.

- Pan chyba się porywa z motyką na słońce.

- Ten człowiek w moich rękach to klucz. Klucz, który pozwoli mi otworzyć dla świata walizeczkę Tajnej Rady. Tajną walizeczkę z tajnymi wiadomościami.

. Znów zapanowało milczenie. Revapar wyraźnie wahał się.

- Dobrze - westchnął ciężko. - Powiem panu, co wiem, ale pod jednym warunkiem.

- Tak?

- Że nie poświęci pan tego człowieka, który dokonał napadu.

- Mogę tylko przyrzec, że poświęcę go w ostateczności.

- Niech i tak będzie - zgodził się niespodziewanie łatwo. - Niech pan słucha. Wie pan na pewno o zwiadzie, jaki przeprowadziły sondy automatyczne w układzie Achinora. Otóż opinię publiczną poinformowano o niektórych tylko faktach. Część danych została zatrzymana wyłącznie do dyspozycji Rady. Jej członkami, jak pan wie, są również dyrektorzy instytutu, Foy i Hargis. Przekład danych z automatów odbywał się w ścisłej tajemnicy. Brało w tym udział zaledwie kilka osób. Między innymi ja. Przez pewien czas byłem prawą ręką Hargisa, darzył mnie całkowitym zaufaniem - W pewnym sensie uważał mnie za kontynuatora swojej idei, za swego następcę. Faktem jest, że ulegałem wówczas jego wpływowi, widziałem w nim niedościgły ideał naukowca. Podobało mi się w nim najbardziej to, że potrafił wszystko podporządkować nadrzędnemu celowi - wynikowi eksperymentu. Wkrótce jednak spostrzegłem, że ta zasada nie zawsze służy szlachetnym celom. Co prawda nie moją rzeczą było się nad tym zastanawiać, a może właśnie moją...

W każdym razie w pewnym momencie, zwłaszcza od chwili, gdy nieco samodzielniej stanąłem na nogach i wyzwoliłem się dzięki wynikom w pracy spod kurateli Hargisa, zacząłem mu delikatnie dawać do zrozumienia, że z pewnymi jego metodami się nie zgadzam i że nie może na mnie liczyć jako na swego następcę. Myślałem przy tym coraz częściej i poważniej o przeniesieniu się do innej pracy. Niestety. Moje plany pokrzyżował lot sond do Achinora. Zostałem wciągnięty w wir analiz danych, systematyzowania, gorączkowego opracowania hipotez. Sam się nawet nie spostrzegłem, jak została nas nieliczna garstka. Nie wiedziałem jeszcze wtedy, do czego Foy z Hargisem zmierzają. Foy właściwie nie jest ortsenikiem. Ma częściowe wykształcenie ortseniczne z oycostylą demograficzną. Zna pan doskonale naszą sytuację demograficzną. Pełno tego w gazetach. Może pan nawet pamięta, co pisano przy okazji założenia instytutu. Między innymi wyrażano nadzieję, że instytut przyczyni się walenie do rozwiązania naszych ludnościowych problemów. Specjalistą od tych spraw był Foy. Już od dawna prowadzono pod tym kątem poszukiwania.

I wreszcie zdecydowano się na Achinor. Achinor wydawał się im obu doskonałym miejscem. Wspólnie z innymi członkami Rady przedyskutowali sprawę i doszli do wniosku, że projekt, który opracowali, należy wprowadzić w życie. Przy zachowaniu odpowiedniej ostrożności cała ludność żyłaby w przekonaniu, że sprawa była czysta, kryształowa.

Na czym polegał ten plan? Otóż chcieli przesiedlić część ludności Phasangu na trzecią planetę w układzie Sol. Idealne warunki. Prawie takie jak u nas. Zielona roślinność, niebieska woda, dużo wody, całe oceany, odpowiedni przedział temperatur, nieco tylko niższy niż u nas. Wszystko grało. Zapisaliby się złotymi zgłoskami w historii ludzkości. Gdyby tylko się udało utrzymać w tajemnicy jeden niewielki szczegół... Przy projekcie obecnej wyprawy zatrudniono samych pewnych ludzi. Jeśli nie oddanych, to w jakiś sposób od nich uzależnionych. Jestem jedynym, któremu udało się zniknąć i to dopiero tydzień temu. Zapewme są na moim tropie. Początkowo ja również zachwycałem się tym projektem. Planeta rzeczywiście wspaniała, myślałem, i nadaje się idealnie. Ale któregoś dnia z kolejnej sondy odebrano sygnał tamtejszej radiostacji. Rozumie pan? Nie naszej, lecz ich. Tamten układ i planeta okazały się zamieszkałe.

Czasami zastanawiam się, jak mogło dojść do podobnego absurdu. Ta inna cywilizacja w kosmosie to coś, na co usiłowaliśmy natrafić bardzo długo, na co cały Phasang czekał. Aż tu okazuje się, że istnieje grupka wszechwładnych, którzy potrafią utrzymać taką wiadomość w tajemnicy, okłamać wszystkich i na dodatek zniszczyć ową odnaniezoną cywilizację w imię nadrzędnego celu, jakim jest swobodny i niczym nie ograniczony rozrost naszej rasy. Okazuje się, że szczęście ludzi według niektórych godne jest każdej, nawet najkrwawszej, ceny. Nie, proszę

pana. Ja nie mogłem się zgodzić z takim stawianiem sprawy, nie mogę się pogodzić z podobnymi kontrastami. Supertechnika i ptasi mózdzek. Przerazający mariaż. Za dwa miesiące oficjalnie, a za dwa tygodnie nieoficjalnie miała wyruszyć niszczycielska ekspedycja. Wśród jej członków przeważnie uciekinierzy z Salvtry i męty z valacańskiego Czarnego Kwadratu. Niech pan sobie wyobrazi owych emisariuszy, szczytowy pułap naszych możliwości kulturowych. Gdyby nie powaga sytuacji, mógłbym się najwyżej śmiać z podobnego pomysłu.

Inspektor słuchał tego wszystkiego bez najmniejszego ruchu. Czuł, że wzbiera w nim wściekłość. Powoli ostatnie wypadki zaczynały układać się w jeszcze dość mgliście zarysowaną, Jednak logiczną całość. Nie słuchał już Reva-para. Wstał i skierował się do wyjścia. Teraz informacja Bajo o wydarzeniach w Sov nabierała rzeczywiście wartości. Dałby dużo więcej niż 1000 lunów za to, żeby być w Sov. Tak, musi tam pojechać.

Promienie słońca poraziły go niemal i prawie ze zdziwieniem stwierdził, że znowu ma ciało. Energicznym krokiem ruszył w stronę dworca. Szedł nie zwracając uwagi na przechodniów i pojazdy, skoncentrowany na jednym zagadnieniu. Jak zwykle w takich wypadkach zdawało mu się, że ociera się o ostateczne rozwiązanie, jest tuż, tuż. Niby wszystko wydaje się jasne, a jednak nie pasuje do siebie, nie przylega z tą doskonałością typową dla prawdziwego sedna, jeszcze nie jest całkowicie gładkie i jasne.

Karzeł zatrzymał się pod łukiem, przy wielkim kamiennym słupie wspornikowym. Rozluźnił kołnierzyk. Było mu gorąco. Oczy wciąż nie mogły przywyknąć do bieli, ostrego blasku słońca w tym mieście. Zobaczył Offa, gdy po raz kolejny sięgał do kieszeni, by wyjąć chusteczkę, którą ocierał pot z czoła.

- Inspektor wyszedł - szepnął do umieszczonego w klapie fonu.
- Czekaj na drugiego - odezwał się głos z klapy.

Czekał. Z pomnika nikt nie wychodził. Słońce lało żar z nieba. Ani jednej chmurki. Plac nagle zaroił się od młodzieży. Jakaś szkolna wycieczka kierowała się w stronę pomnika.

Zaniepokoił się. Czyżby zamierzali wejść do środka? Podeszedł mimowolnie kilka kroków do przodu, wpatrzony w tamto miejsce. Nagle poczuł uderzenie.

- Przepraszam - wyjąkał jakiś drągał. - Bardzo przepraszam, nie chciałem.
- Odczep się pan! - ryknął.

- Ależ nie... - drągał zastąpił mu drogę. - Nie mogę pozwolić, aby pan tak odszedł, muszę to jakoś panu wynagrodzić. Pobrudziłem taką śliczną, białą koszulę tym przeklętym sokiem - paplał.

W tym momencie karzeł zauważył człowieka wymykającego się z wnętrza pomnika i szybkim krokiem ruszył w stronę przecznicy po przeciwległej stronie placu. Chciał ominąć drągała, ale ten uporczywie zastępował mu drogę.

- Niech pan poda mi swoje nazwisko albo adres, a natychmiast przyślę panu dziesięć białych, ślicznych koszul.

- Zjeżdżaj! - warknął.

Już zdawało mu się, że umknie natrętowi, lecz gdy mijał drągala, ten złapał go za klapy.

- O nie - powiedział. - Nie możemy tak się rozstać. Karzeł znieruchomiał.

Czyżby - pomyślał - te dwa kroki do przodu były błędem?

- Czego? - pogardliwie wydał wargi patrząc w górę spod lekko przymrużonych powiek. - Czego?! - powtórzył wrogo.

- Wymieńmy adresy.

- Nie widzisz, że nie mam czasu?

Człowiek, który opuścił pomnik, dochodził już do rogu i karzeł zrozumiał, że za chwilę straci go z oczu bezpowrotnie. Drągala także obejrzał się w tamtą stronę. Jego mocne dłonie nie wypuszczały ani na moment klapy marynarki.

Muszę coś zrobić - pomyślał karzeł i kopnął tamtego z całej siły w kostkę. Drągala zawył, rozluźnił chwyt. Mały szarpnął się i już kłusował przez płytę placu, roztrącając zdziwionych ludzi. Drągala biegł tuż za nim.

- Proszę pana, proszę pana - wołał - pan zgubił jakiś papier!

Byli na rogu. Człowiek z pomnika jakby rozpląnął się w powietrzu. Karzeł obejrzał się i w tym momencie żelazne palce wczepiły się w jego kołnierz.

- - Nie trzeba się było tak rzucać - wysapał mu do ucha drągala wykręcając rękę.

Na twarzy małego malowało się przerażenie. Drągala popychał go w stronę najbliższej bramy. Karzeł szarpnął się jeszcze raz, lecz bezskutecznie. Chciał krzyknąć. Ludzie przechodzili koło nich obojętnie. Czarna czeluść bramy zbliżała się nieuchronnie. Głos uwiązł mu w krtani. Powiało chłodem korytarza. Długa igła ze świstem przecięła powietrze. Karzeł skurczył się i oklapł. Drągala przytrzymał go chwilę, po czym opuścił bezwładne ciało na chłodną posadzkę. Rozprostował poły marynarki i przygładził włosy. Wyszedł na rozgrzaną płytę placu, mrużąc oczy przed oślepiającymi promieniami słońca.

Ależ dziś gorąco - pomyślał i zmieszał się z tłumem różnobarwnych przechodniów.

Piątkowe popołudnia Era spędzała zwykle w domu. Niemal każdego tygodnia w ten dzień przychodził do niej Foy. Wiedziała, że ma bardzo pilne zajęcia w jakimś tam instytucie i że w związku z tym nie mogą się widywać częściej. Było jej to na rękę. Nie przepadała za owym starszym grubawym facetem, nudnym aż do mdłości. Woląла młodsze towarzystwo. Ale rówieśnicy nie zapewniliby jej prowadzenia tak lekkiego i przyjemnego trybu życia. Trzeba by zrezygnować z luksusów i wygod, na jakie stać ją było dzięki podstarzałemu adoratorowi. Czasami

czuła do siebie wstręt i miała wyrzuty sumienia. Na szczęście takie chwile zdarzały się rzadko i dość łatwo wracała do normy.

W ostatnich czasach coraz trudniej zdobywała się na miłe traktowanie Foya, który stał się jakby bardziej skąpy i chyba jeszcze nudniejszy. Wiedziała jednak doskonale, że musi w stosunkach z nim pozostać za wszelką cenę przyjemnym, uległym kociakiem. Płaszczyzna łącząca ich, była bowiem zbyt krucha, aby Era mogła sobie pozwolić na przeciąganie struny.

Cóż, kiedy ten. związek zaczynał ją prawdziwie męczyć i powoli stawało się jasne, że niedługo nadejdzie chwila, kiedy dłużej nie wytrzyma: będą musieli się rozstać, a wraz z tym momentem przestanie dla niej istnieć Zagłębienie Dłoni z jej obecnym mieszkaniem, cudownym apartamentem, wyściełanym draperiami i dywanami, wypełnionym najdroższymi ubraniami i biżuterią.

Teraz siedziała w głębokim, samoukładającym się fotelu, który miękko oplatał ciało, i czekała: Do spotkania z Foyem miała jeszcze sporo czasu.

Zastanawiała się, dlaczego tak łatwo przyszło jej z nim zostać. Była przecież wtedy zupełnie inną dziewczyną. Momenty rozterki, które dziś od czasu do czasu przeżywała, były jakby pozostałością po tamtej, dawniejszej Erze, młodej, pełnej zarówno rozterek, jak i wielu złudzeń.

Poznała Foya w delańskim Inbulcu. Razem z Hyalem, miłym wiecznie rozczochranym chłopakiem, któremu tak bardzo się podobała, a który do tego stopnia był nieśmiały, że nawet nie przytulił jej mocniej w tańcu przez cały okres ich znajomości.

Hyal, Hyal. Wybuchnął dopiero wtedy, kiedy ktoś mu powiedział, że ona zamieszkała w Zagłębieniu Dłoni za pieniądze jakiegoś fagasa. Biedny chłopak nie mógł się z tym w żaden sposób pogodzić.

Wtedy wydawał się jej obojętny, teraz już by go tak nie traktowała. Może jeszcze coś do niej czuje? Może pomógłby się stąd wyrwać? Tylko gdzie go szukać? Wyjechał wówczas do jednego z obserwatoriów na Lagarenie. Szczeniackie pomysły! Zachciało mu się lodów i krajobrazów podbiegunowych. Potworny szczeniak. Gdyby choć trochę znalazł kobiety, wiedziałby, że ona, Era, chce z nim zostać. Ale cm, pełen jakichś zabobonnych zasad i przesądów, miał wyidealizowany obraz kobiety pod tą swoją wiecznie rozwichrzoną czupryną i nie wytrzymał zderzenia marzeń z rzeczywistością. Gdyby okazał się trochę doroślejszy... Gdyby oboje choćby trochę... Ech... Gdyby! Gdyby!!! Brała ją złość na samą siebie.

Kanapki „przyrządzone własnoręcznie” czekały już, misternie ułożone na stole. Całe przedpołudnie paprała się nimi. Foy uważał, że w dobie, kiedy wszystko można dostać gotowe, w dobrym tonie jest przyrządzać wszystko własnoręcznie. To jego snobistyczne upodobanie przypominało styl życia sprzed II Rewolucji,

zresztą on cały opętany był przez tamtą epokę i pozował na eleganckiego, uprzejmego, lecz twardego faceta. W rzeczywistości okazał się słaby i mały, ale to wiedziała dopiero teraz. W momencie, kiedy go poznała, wydawał jej się faktycznie bardzo męski. Szybko zorientowała się, że tak nie jest. Jednak wtedy czuła się już omotana przepychem i wygodami, którymi ją otoczył.

Zerwała stosunki z dawnymi znajomymi, przestała studiować. Po prostu bawiła się. Jej życie stało się pasmem zabaw i szaleństw. Jakoś nie potrafiła, nie chciała tego oddać, mimo że wiedziała, jaki Foy jest naprawdę. Woląca poświęcić swoje ideały. Jakież w Inbuku był elegancki i rycerski! To ją ujęło. Nikt dotychczas jej - w ten sposób nie traktował.

Pamięta - w dość dużej sali, w podziemiach, szalała awangardowa grupa turboakustyków z Nenam Midlachim na czele. Kompletna ciemność. Siedzieli z Hyalem na podłodze. Hyał jak zwykle w przyzwyczajonej odległości. Dźwięki pełzały po pomieszczeniu, więzły nagle gdzieś w środku sali, milkły, gaśły, znów się rozpały w promieniach reflektorów pod sufitem, rozpędzały się, nabierały szybkości i intensywności, wibracji zatykającej uszy, rozpędzone do granic możliwości zderzały się ze ścianami, jakby muzycy chcieli te ściany staranować, przebić na wylot i zdawało się, że rzeczywiście w zgiełku i grzmotach ściany walały się na słuchaczy, rozbite z furją przez zmaterializowane dźwięki. Raptem ze zgiełku wyłaniała się spokojna melodia o przedziwnej konstrukcji, melancholijna, sentymentalna, wyciskająca z oczu łzy. Tony osypywały się teraz po ścianach, po ubraniach słuchaczy, więzły w połowie drogi, natrafiając na niemal widoczne elektroniczne bariery, zapadały się, melodia zaczynała się dławić i ginąć, umierać pod naporem narastającej, fizycznej ciszy. W końcu słyszało się już tylko ją, dobiegającą z daleka, jakby z jakiejś nieskończonej głębi, z zaświatów. I wreszcie ostatni akord, ciche westchnienie agonii, skurcz, wibracja, która popłynęła ze wszystkich kątów z każdego punktu pomieszczenia. Obezwładniająca cisza.

Zapaliły się światła, ludzie szurali krzesłami, rozlegały się westchnienia. Opuszczano salę.

Pokłóciła się wtedy z Hyalem, który uważał Midlacha za miernego kompozytora, a cały występ za nieudany. Ten bałwan zepsuł zupełnie cały nastrój, toteż gdy Foy zaczął ją adorować miał ułatwione zadanie. Przez resztę wieczoru bawiła się tylko z nim i w końcu wymknęli się razem do ekskluzywnej restauracji, w której Era czuła się jak kopciuszek. Nie zabawili tam zresztą długo. Zatańczyli kilka razy. Era mimo zawrotów głowy piła nadal, do oporu. Zupełnie się rozkleiła przy „Pozwól mi dotrzeć do Tristin” i przylepiła się do Foya na dobre.

Potem pojechali do niego. Z dalszej części wieczoru nie pamiętała wiele. Rano zbudziła się w jego łóżku. Było jej trochę wstyd. Okazało się jednak, że już ma wynajęte mieszkanie w Zagłębienu. Przyjęła ten dar z niedowierzaniem i

postanowiła kontynuować rozpoczęty romans, żeby przekonać się, co jej dalej przyniesie.

W ten prosty sposób została z Foyem do dzisiaj. Na szczęście widywali się rzadko. Inaczej byłoby to nie do zniesienia. Rzadkie spotkania traktowała jako niezbyt wysoką cenę za luksus. Nigdy o nic go nie pytała ani on jej. Cały tydzień z wyjątkiem piątku żyła swoim własnym życiem. Tyle że w niczym nie przypominało ono życia, jakie prowadziła przedtem. Ale i to dało się wytrzymać. Pragnienie wygody górowało nad wszystkimi niedogodnościami.

Włączyła dyskretne oświetlenie, muzykę i poszła się kąpać. Przeglądała się długo w lustrze. Jasne włosy o zielonkawym odcieniu spadały na plecy i piersi. Wiedziała doskonale, że jest piękna i może z Foyem zrobić prawie wszystko, co zechce. Prawie wszystko. Spięła włosy na czubku głowy i weszła do wanny. Letnia woda o zapachu aykrukangu objęła ciało. Miała ochotę popływać, ale wkrótce zmieniła zamiar. Wanna była zbyt krótka, aby porządnie się w niej rozpędzić. Już dawno prosiła Foya, aby przebudował łazienkę, ale dotąd tego nie zrobił. To właśnie był przykład owej bariery, o którą rozbijały się niektóre jej kaprysy. Wyszła z wody otrząsając się jak zwierzątko. Szybko podbiegła do suszarki, pozostawiając na posadzce mokre ślady. Fala ciepłego powietrza opasała ją natychmiast układając się w powyginane linie o kształtach kobiecej głowy, ramion, brzucha i nóg. Skóra przestała już być wilgotna. Ubrała złocisty, długi szlafrok. W pokoju położyła się wygodnie na olbrzymim, wpuszczonym w podłogę tapczanie i zaczęła przeglądać dzisiejsze magazyny. Dochodziła dziewiąta. Wkrótce zadudnił bas dzwonka. Ależ punktualny... - pomyślała i nastroszyła się wewnątrz.

Spojrzała jeszcze raz w lustro i zerknęła przez wizjer. Za drzwiami stał Foy przysłonięty od pasa w górę bukietem oyabońskich lilii.

- Jak się masz, kochanie! - rzucił wesoło wtłaczając się w wąskie drzwi.

- Bardzo dobrze - odpowiedziała uśmiechnięta nieco zbyt sztucznie.

Przeczuwała już, że będzie to piekielnie nudny wieczór. Jak w każdy piątek usłyszała kolejne, niezbyt wyszukane komplementy, całą serię pochwał dla swego, wiedziała to dobrze, niezbyt wysokiego kunsztu kulinarnego, kilka mało znaczących zwierzeń, parę mało znaczących rad.

- Stale myślę o pewnych sprawach - zaczął po chwili Foy. - Wydaje mi się...

Dalej nie słuchała. Jego głos płynął gdzieś obok, to, co mówił, zlewało się w bezkształtną masę. Nie interesowały jej problemy kochanka.

- Może włączymy holo? - przerwała mu. Zająknął się, urywając w połowie rozpoczęty monolog.

- Dobrze - zgodził się natychmiast. Kiedy podeszła do odbiornika, pod sufitem rozległ się ponownie bas dzwonka. Foy zamarł.

- Spodziewasz się kogoś? - zapytał. Była nie mniej zaskoczona od niego.

- Nie - wyszeptała. - Wiesz dobrze, że ten wieczór zawsze należy tylko do ciebie, nawet jeżeli nie przychodzisz.

- Mniejsza z tym - rzekł. - Idź, zobacz, kto to i odpraw go jak najszybciej.

Weszła do hallu. Zerknęła przez wizjer. Przed drzwiami stał mężczyzna dość wysoki, o prawie białych włosach, wąskich ustach i oczach mających nieokreśloną szarą barwę. Kiedy Era otworzyła stało się coś dziwnego. Mężczyzna nakazał jej iść przed sobą. Poczowała nagły zawrót głowy, przyływ strachu, nie była „w stanie sprzeciwić się jego woli.

Bez słowa ruszyła przed nim do pokoju. Wiedziała, że musi tak zrobić, mimo że nie padło ani jedno słowo.

A potem zaczęła paplać. Usta jej się nie zamykały. Z potoku wykrzykników zapamiętała tylko kilka urywków. Mówiła o jakimś morzu, o wspólnych wakacjach, o tym, jak szalenie się cieszy, że wreszcie przyszedł. Nie mogła przestać i nie mogła, nie starała się nic zrozumieć.

Nie była w stanie pojąć tego, co się z nią dzieje.

Tak doszli do pokoju. Foy siedział w fotelu. Na ich widok zerwał się. Nie zdążyła nawet otworzyć ust, kiedy już było po wszystkim.

Mężczyzna wyjął coś z kieszeni, Foy ruszył w jego stronę. Gość przycisnął głowę Ery do swego ramienia. Poczowała przedziwny zapach materiału jego płaszcza. Przypominał spalone drewno. Krótki błysk zatrzymał Foya po pierwszym kroku. Zatoczył się i upadł. Nieznajomy odepchnął ją od siebie i, odwróciwszy się, wybiegł z mieszkania. Usłyszała tylko stukot drzwi.

Foy leżał nieporuszony z rozcapierzonymi rękami obok przewróconego fotela.

Pochyliła się nad nim. Nie wyczuwała pulsu. Teraz dopiero wpadła w histerię. Co robić, co robić?! W końcu rzuciła się do fonu. Drżącymi palcami nakręciła kod Straporu.

- Słucham - odezwał się dyżurny.

- Popełniono morderstwo! Belgaz Nolda 645. Zamordowano dyrektora Foya!

- Kto mówi?

- Era Hater.

- Już jedziemy.

Szczęknął przełącznik. W fonie zapanowała cisza, w pokoju również. Central przeselekcjo-nował dane i po kilku sękach odezwał się fon u Agisa.

- Zamordowano Foya. Zagłębienie Dłoni 645.

- Przyjąłem - rzucił Agis i skinął na Dagera. - Słyszałeś?

- Tak, słyszałem. Zdaje się, że nasz uciekinier znów szaleje.

- Skoczę po inspektora, a ty zadzwoń do

Drugiego Dyrektora Insytutu.

Wyszedł trzasnąwszy zamasyżycie drzwiami. Dager łączył się przez wewnętrzną linię bezpieczeństwa:

- Dyrektor Hargis?

- Słucham.

- Mówi Dager ze Straporu. Zamordowano Foya.

W słuchawce dobrą minutę panowała cisza.

Dager rzucił okiem na ekran. Twarz Hargisa tkwiła tam nieporuszona, zupełnie jak wykuta z marmuru. W końcu przedłużające się milczenie zaczęło Dagera niecierpliwić.

- Zrozumiał mnie pan?

- Tak - wydusił z siebie Hargis. Wydawało się, że za chwilę zemdleje.

- Niech pan posłucha - mówił Dager. - Proszę wsiąść w strad, spotkamy się w Belgaz Nolda. Numer 645. To taki nieduży placyk w Zachodniej Kwaterze.

- Dobrze - wyszeptał tamten i wyłączył się. W tej samej chwili Dager zobaczył w drzwiach inspektora z Agisem i bez słowa, chwyciwszy w locie kurtkę, podążył za nimi. Zbiegali po schodach jak za najmłodszych lat. Agis częściowo zjechał po poręczy. Nie czekali na windę. Zbyt mało mieli czasu. Każda minuta mogła być teraz bardzo cenna.

Już w stradzie Off wydał polecenie blokady dzielnicy. Wszystkie oczy Supermózgu Straporu skierowały się na Zagłębienie Dłoni. Większość patrołowców z terenu całego miasta blokowała potrójnym pierścieniem, nieliczne uliczki wyjazdowe. Patrole krążyły w najbliższych sektorach, gotowe w każdej sekundzie do akcji. Eskadra bobonsów taktycznych miała lada moment wyruszyć z lądowiska Mem-Kahar. Porządkowi rozpoczęli przetrząsanie każdego domu od obrzeży dzielnicy.

Strad sunął ścinając zakręty i raz po raz wznosił się w powietrze. Rzekę pokonali niemal wplaw. Za nimi kilka stradów z Nadzwyczajnej, z dosyć przypadkową obsadą. Przeciężone silniki wyły niemiłosiernie.

- Czy OS już wie? - rzucił Off do dyżurnego.

- Nie, nic nie wie - głos dyżurnego wydał mu się znajomy.

Spojrzał na ekran. Ach, to Watir.

- Słuchaj, Watir - inspektor mówił niemal spokojnie.

Był opanowany i zdecydowany już co ma robić. - Pamiętaj! Niech nie wiedzą jak najdłużej! Jasne?

- Zrozumiałem!

Z wyciem wstecznych zajechali na nieduży placyk, zabudowany z wszystkich czterech stron. Wjeżdżało się nań tylko od tej, od której wpadli. Pozostała część placu otoczona była schodami. Szerokie i wąskie, zdobione bogato i mniej bogato, czasami wręcz surowe, ascetyczne, z grubych, prymitywnych bloków lub z

misternych murów. Schody prowadziły w różnych kierunkach, bieły na różnych płaszczyznach, wielopoziomowe, łączące się z innymi schodami, przez podwórka domów wśród zawiłych nieraz pasaży i tunelików.

Ani jednej poziomej ulicy. Wyjątek stanowiło trzydzieści ulic dojazdowych, które kończyły się na obrzeżu dzielnicy małymi placzkami. Otaczały je z czterech stron domy prawie identyczne jak te tutaj, nowe, lecz stylizowane na stare, istne cacka. Każdy wydawał się inny, a jednak wszystkie miały podobny charakter. Były one nowsze od całego Delanu, jednak nawet te najpóźniej zbudowane na pewno powstały dobre dwa wieki temu. Z czasem przerobiono ich wnętrza na mieszkania luksusowe.

Najdroższa dzielnica miasta.

Na pierwszym piętrze spostrzegli uchylone drzwi.

To tutaj... - pomyślał Off i skierował się w tamtą stronę. Agis powstrzymał go w ostatniej chwili.

- Uważaj - syknął - na wycieraczkę! Istne чудо.

- Nic w niej nie widzę szczególnego - Off pochylił się., - Ostatni krzyk mody - mówił właściwie do siebie Dager, podnosząc ostrożnie wycieraczkę. - Po stąpięciu zachowuje odcisk buta.

I oto go mamy.

Weszli dalej. Przedpokój malowniczy, utkany na fioletowo. We wszystkich pomieszczeniach puchy i boazerie, tapety, woale, miękkie meble. Powietrze przesycone aykrukangiem.

Na podłodze Foy. Ręce rozrzucone. Włączone holo. Na talerzu nie dojedzone kanapki. Pozornie żadnego śladu na ciele zabitego. Twarz stężała. Bez wyrazu. Wiadomo.

- Trup - mruknął inspektor. - Flesze! Operatorzy zrobili konwencjonalne ujęcia- Teraz inspektor zajął się resztą szczegółów. Dziewczyna siedziała na kanapie czy tapczanie, diabli wiedzą, niewątpliwie ów mebel służył do spania. Nieruchoma niczym Foy. Jakby to ją zabito, nie jego. Wpatrzona w twarz zmarłego.

- Czy pani jest w stanie rozmawiać? - zwrócił się do niej Agis.

Nie zareagowała nawet mrugnięciem powiek.

- Zostaw ją - powiedział Off - lepiej wezwij pogotowie. Typowy szok. Doktorze! - zawołał do lekarza. - Może pan da jej na razie coś na wzmocnienie. Zaraz będzie pogotowie.

Off ruszył na obchód mieszkania. Technicy zajęli się odciskami, zbieraniem próbek i tym podobnych bzdurek. Nieraz nawet ważnych, ale nie decydujących przecież.

Dzielnice tym razem szczelnie zablokowano - myślał. - Jeżeli nie uciekł do tej pory, to już się nie prześliznie. Chyba jednak zdążył zniknąć na czas. Taki przewidujący fachowiec - niepodobne, żeby się nie zabezpieczył. Kim jest?...

Nie po raz pierwszy Off myślał nad tym, -kim jest nieuchwytny przeciwnik? Zrozumieć wroga to niemal pokonać go. Ten wymykał się zwykłym regułom gry. Był zbyt wielowarstwowy. Coś, czego Off jeszcze Sobie w pełni nie uświadamiał, kazało mu strzec się tego przeciwnika. Tkwiła w nim jakaś obca, nieznaną siłą, niezwykła aktywność, genialne wprost szczęście i niesamowite opanowanie sztuki. Operował dużą wiedzą i znajomością narzędzi obezwładniających.

Off zbliżył się do okna i wychylił na ulicę. Sześć stradów Straporu stało w równiutkim szyku, błyszcząc niebieskimi lakierami. Zza za krętu wypadły dwa inne strady i wyhamowały z jękiem.

Jednym z nich przyjechał zapewne Hargis - pomyślał Off.

Ludzie kręcili się jeszcze po mieszkaniu, na dole stali inni, skupieni w pobliżu pojazdów. Pierwszym z nowo przybyłych okazał się rzeczywiście Hargis, z drugiego stradu natomiast... Nie!! No nie!! Off myślał, że krew go zaleje. Z drugiego wysiadł Gulm. To cholerne OS już wiedziało.

Kto? - zastanawiał się Off. - Kto im dał znać? Watir? Nie. Na pewno nie Watir. Hargis?

No, jasne.

Hargis stał przy swoim luksusowym Endeo, wycierając w chusteczkę spocone dłonie. Czekał na Gulma. Razem, podeszli do grupki ludzi i pytali o coś. Pokazano im okna. W jednym z nich zobaczyli Offa. Wzrok Gulma wędrował za dłonią wskazującego człowieka. I trafił wprost na zimne jak ostrza lanc oczy Offa. Gulm na chwilę stracił fason, ale bardzo szybko go odzyskał.

Nie spuszczali z siebie oczu.

Gulm - pomyślał Off. - Ty padlino. Jeszcze dzisiaj muszę się z tobą liczyć. Jeszcze dzisiaj. No, może i jutro. Jeszcze kilka dni.

Gulm uśmiechnął się szeroko, jakby czytał w myślach inspektora, jakby znał każde jego odczucie związane ze swoją osobą. Doskonale pamiętał „Banderę”. Do dzisiaj sycił się tamtym. Zdemaskowanie Offa i to, co potem z nim zrobił, dotąd było dla niego źródłem radości. Teraz doszła satysfakcja, że siedzi mu się pod nosem, i można kpić. Kpić po tym, co się uczyniło, z niego, Offa, stróża sprawiedliwości z bożej łaski i w ogóle z całej jakiejś tam sprawiedliwości.

Trzeba wiedzieć, jak się dalej ustawić. Istnieją wyższe racje niż normalna ludzka sprawiedliwość.

I wtedy właśnie to się stało. Było to tak nagle, że Off dopiero po sekundzie zrozumiał i ogarnął całość sytuacji. Krótki błysk trafił w grupę. Nie. W jednego człowieka z tej grupy. W Hargi-sa! Hargis leżał bez ruchu. Reszta zwijała się. Obraz nędzy i rozpacz.

Skąd strzelał? - Off powlókł wzrokiem po ścianie przeciwległego domu. Nic. Ani ruchu. Ale to pewne, że cios padł stamtąd. Off zrobił krok w lewo i w tym momencie drugi błysk rozjaśnił niebo. Framuga została przebita na wylot, a ściana porządnie nadtopiona. Inspektor zbladł, pot zrosił mu czoło. Pobledli również pozostali ludzie znajdujący się w tym pokoju.

- Nie trafił - powiedział Agis.

- Nie - odparł Off przez zaciśnięte gardło. - Oszczędził mnie. To było ostrzeżenie.

Zrobiło mu się gorąco i poczuł, że nogi się pod nim uginają. Uratował go porządkowy, który wpadł z wrzaskiem!

- Doktora!! Szybciej!!

Lekarz już zbiegł na dół ze swoją nieodłączną walizeczką. Akurat nadjechało też pogotowie.

- Pościg!!! - ryknął zupełnie bez potrzeby Off.

Razem z Dagerem i Agisem popędzili na dół. Lekarze krążyli między rannymi.

- Nic groźnego, lekkie udary, oparzenia, przygłuszenia.

- A ten? - Off wskazał na wijącego się Gulma.

- Ten stał najbliżej. Trochę gorzej, ale wyjdzie z tego.

- Szkoda - mruknął do siebie inspektor.

Zebrał pozostałych ludzi. Rozdzielili się na dwa skrzydła.

- Odbezpieczyć kufy! - wydierał się Agis bardziej dla dodania sobie animuszu niż z faktycznej potrzeby.

Wpadli w bramę. Off niósł przed sobą chwytacz aktywności. Drugi miał Dager prowadzący następną grupę. Posuwali się ostrożnie.

- Eskadra w drodze - usłyszał Off z nadajnika umieszczonego w klapie. Coś sobie przypomniał.

- Uwaga wszyscy porządkowi! Zablokować dokładnie kanały i inne podziemne przejścia!

Niedobrze - pomyślał. - Napastnik zapewne pamiętał o kanałach. Jeśli nie skorzystał, to znaczy, że bawi się ze mną w ousę i ontellę.

W słuchawkach zachrobotało. Podniósł rękę. Zatrzymali się. Złapał trop. Teraz szli już szybciej. Przez pasaż na wysokości pierwszego piętra wyszli na sąsiednią ulicę. Stąd ślad biegł prosto do następnej kamienicy, przez podwórze i krótki tunel na trzecie piętro nad następną przecznicą.

Insowi serce biło mocniej. W dłoni ścisnął kufę. Jeszcze jeden zakręt. Nieduże podwórko. Bo-bons unosił się właśnie z murawy.

Off przyklęknął. Wycelował. Nacisnął spust. Bobons odbił się od ziemi jak piłka, po czym z wielką chyżością zaczął wznosić się do góry. Pocisk plasnął o murawę, opryskując ją jakby smolistą czarną cieczą.

- Padnij! - wrzasnął Off i sam przypadł ostatni.

Zaraz będą wióry - przemknęło mu przez myśl.

I były. Powietrzem tylko targnęło. Fontanna gorącej ziemi wzniosła się na kilka metrów i opadła. Off zerwał się. Na niebie widać tylko niewielki oksydowany punkt.

- Eskadra! - ryczał Off. - Gdzie jesteście!

- Widzę go! Widzę go! - w głosie dowódcy brzmiało podniecenie.

- Atakuj!

Gdyby Off nie był zdenerwowany w tej chwili, nie wydałby takiego rozkazu. Teraz to sobie uświadomił i pojął, że wszystko zależy od tamtego, od napastnika, który musi precyzyjnie działać. Jeżeli przegra, przegrają obaj.

- Bierzemy go w sferę! - informował dowódca eskadry. - Teraz nie wyjdzie!

- Bierzcie - mruknął Off bez zachwyty. Wszystko rozegrało się w kilka sekund. To wyglądało niesamowicie, wprost niewiarygodnie. Bobons zbiega lawirował między pociskami niczym akrobata w slalomie. Przy tym nie pozostawał milczący. Niebo poczerniało, potem zżółkło, wreszcie zbieła od kondensatu wybuchów, lecz w tej bieli dalej lawirował nie-chwytny bobons. Jego strzały budziły grozę. Nie dlatego, że czyniły aż tak olbrzymie szkody. Były straszne, bo trafiały tam, gdzie on chciał. Unieruchomiwszy ostatniego bobonsa eskadry, zbieg odleciał.

Niebo poróżowiało. Bojowe bobonsy z trudnością lądowały na placykach Zagłębienia Dłoni.

- Wracamy do stradów! - zakomenderował Off. - Prowadzi go teraz Supermózg. - I rzucił do fonu: - Uwaga, wszystkie zdolne do ruchu pojazdy! Kierować się według wskazówek Supera. Super przejmuje dowództwo.

Po chwili dowlekli się do swoich stradów.

- Dager - odezwał się Ins do idącego obok współpracownika. - Co masz taką ponurą minę? Pojedziesz do InL-u i wyciągniesz choćby spod ziemi Estora. Zamkniesz go.

- Co - Dager stanął jak wryty.

- Aresztujesz i zamkniesz na najwyższym poziomie pod całodobową strażą. Nikogo do niego nie wpuszczaj. Nie może mu spaść włos z głowy!

Dager z Agisem wsiadali już do pojazdu.

- Stary zwariował - wysapał Dager, gramoląc się przez niskie wejście. - Kazał mi zamknąć i pilnować Trzeciego Dyrektora InL-u.

- InL, InL, Instytut Lotów - mamrotał Agis. - Co za dźwięczny skrót.

Dager popatrzył na niego niemal ze zgrozą, po czym gwałtownie włączył dociskacz. Ruszyli jak z procy. Agis aż się przestraszył, że nie zakręca przed murem. Pokiwał głową ze zrozumieniem.

Off usiadł na przednim fotelu w swoim stradzie i włączył rozrusznik.

- Niech się pan odsunie! - wrzasnął na jakiegoś gapia, który mu stał na drodze.

Siwy człowieczek, bardzo stary, skwapliwie skorzystał z tak nietypowo nawiązanej znajomości.

- To ćwiczenia, panie komendancie?! - zapytał biorąc się pod boki.

- Tak - odpowiedział Off zmęczonym głosem. - Bardzo ostre ćwiczenia.

I ruszył. Jechał do komendy, by śledzić dalszą akcję prowadzoną przez Supera. Czuł, że ścigany znowu im się wymknie. Prawie wiedział to.

Bardzo ostre i niezbyt udane ćwiczenia... - pomyślał jeszcze.

Super prowadził uciekający bobons, śledząc go bez przerwy tysiącem swych oczu. Zbieg ani na chwilę nie umknął kamerom. Wzdłuż trasy przelotu zaalarmowano wszystkie posterunki. Tylko od czasu do czasu Super informował o dotychczasowych posunięciach. Poza tym działał zupełnie samodzielnie. We wszystkich sektorach trwał gorączkowy ruch. Pojazdy i patrole nieustannie przemieszczały się i coraz mocniej, coraz pewniej wzdłuż trasy ucieczki zacieśniały się pierścień obławy. Agis z Offem siedzieli w centrali, przyglądając się temu wszystkiemu w ciszy.

Bobons zaczynał krążyć. Zbieg widział doskonale, co się pod nim dzieje. Zrozumiał, że nie znajdzie tu miejsca, na którym mógłby wylądować bezpiecznie. Na chwilę zawisł, widocznie zastanawiając się, co dalej.

Off obserwował i starał się rozumować jak tamten. Jakie miejsce można wybrać, aby lądować z najmniejszym ryzykiem? Jest jednak takie miejsce. Bobons ruszył teraz zdecydowanie. Bez wahania ciągnął prosto w stronę alei Lim.

Tak. Off się z nim zgadzał. To doskonałe wyjście. On postąpiłby tak samo. Tylko aleja Lim. Jej hotele wiecznie pełne gości, domy towarowe, centra rozrywki, gigantyczne parkingi stradów, ixarów i bobonsów. Off wiedział o tym. Super chyba także.

Patrowce, wysłane przez Mózg, ruszyły natychmiast za uciekającym. Lokalne oddziały krążyły wokół co większych hoteli. Ludzie rozglądali się niespokojnie,

jedni przypatrywali się drugim, jakby czuli, że obok nich dzieje się coś niezwykłego.

Bobons nagle zawrócił. Wykonał gwałtowny skręt i obniżył lot.

Więc jednak nie zdecydował się - pomyślał inspektor. - Jednak nie tu. Uznał to pewnie za zbyt ryzykowne.

Uciekinier leciał teraz niemal tuż nad dachami, w kierunku północno-zachodnim. Agis rzucił okiem na świetlny plan miasta. Off również popatrzył w tamtą stronę. Chyba osiedle Plomsów albo może Linia?

Znów spojrział na ekran. Ścigany bobons wylądował przy Linii Wielkich Jezior! To rejon bez patroli lokalnych. Strady Straporu blokowały właśnie ostatnie wyloty z tego kwadratu.

Nagle ekran rozplątał się i Super dał zbliżenie. Wśród dziesiątek postaci idących ulicą Re-derina jedna była prowadzona w czerwonym kółku.

To On. Po raz pierwszy udało im się ujrzeć człowieka, którego szukali. Obraz z odległej kamery, ale mocne zbliżenie pozwalało rozróżnić ważniejsze szczegóły sylwetki. Człowiek ten poruszał się niezgrabnie. Był wysoki. Ubrany na szaro. Kamera ujmowała go tylko z 'tyłu, dlatego w ogóle nie widzieli twarzy.

- Super! Dane!

- Wzrost 194, ubranie szare 86%o cornis - 14% lunis, buty miękkie, wytwórni prywatnej spoza Valaco, numer 43, budowa szczupła, włosy siwe, waga przypuszczalna 78 kg, lekka niezborność, lekkie pochylenie.

Tyle Mózg. Zrobił, co mógł. Uciekinier znajdował się już poza jego zasięgiem, jednak dzięki niemu został osaczony. Resztę musieli wykonać ludzie. Sądząc z rozgromienia eskadry, nie przyjdzie to łatwo.

Off nie wierzył, że uda się unieszkodliwić tego człowieka. Zaczynał rozumieć coraz więcej r nie był już tak pewien, czy chce go unieszkodliwić. Z obecnego punktu widzenia Offa unieszkodliwienie owego człowieka było w tej chwili niekorzystne. Od rozpoczęcia całego pojedynku Ins przeszedł bardzo długą drogę. Nie. Nie należy teraz tamtego unieszkodliwiać. Kimkolwiek był, działając tak, jak działał, miał rację. Żadna, inna metoda nie przyniosłaby skutków, jakich oczekiwał. Jakich oczekiwali obaj! Nawet jeżeli okazałoby się, że jest osaczony ostatecznie i nie potrafi się wyrwać. Off wiedział, że w końcu tamten się wyrwie. Ktoś mu pomoże; I wiedział nawet, kto. Uśmiechnął się spoglądając na rozświetlony plan miasta.

Agis siedział nieruchomo. Przypominał gumową zabawkę, z której wypuszczono powietrze. Może zastanawiał się, czy tym razem złapią zwierzyne. Belgaz Nolda także było otoczone, a jednak się wymknął. To prawda, że nie całkowicie; Teraz, przez swoją nierozważną akcję na pastnik został zlokalizowany, niemal uwięziony. Wprawdzie trudno go złapać, ale nikt go przecież nie próbował zniszczyć. Zniszczyć można w każdej chwili. Zniszczyć coś zawsze jest łatwo. To nigdy nie nastęrczało zbyt dużych trudności...

- Uwaga! - rozległa się komenda inspektora. - Uwaga wszystkie patrole operacyjne! Skierować się w kwadrat E1367. Rozpocząć przeszukiwanie!

Agis popatrzył na niego lekko zdziwiony, ale nic nie powiedział.

- Tak musi być - powiedział Off, jakby próbując się usprawiedliwić.

- Wiesz, co robisz - odrzekł Agis. - Widocznie masz inne plany.

- Tak. Mam inne plany.

Świadomie pozostawił ściganemu furtkę. Teraz teren całego miasta był wolny od patroli.

Za zakrętem rzeki stały trzy czarne drzewa. Tak olbrzymie, że ledwo można je było objąć wzrokiem. Łódź kołysała się nierówno. Wiosła z ledwo uchwytnym pluskiem zanurzały się w ciemnej toni. Po powierzchni pływały tłuste plamy jakichś smarów.

Płynęli w absolutnej ciszy. Na dziobie, pochylony nad wodą, prawie ciągnąc po niej nosem, przewodnik. Napięty. Czujnie wsłuchany w otoczenie. Łowiący każdy szmer, inny od plusku wiosła, w swe niezawodne ucho. Hebanowa skóra lśni, grubo namaszczona olejkami hevoi.

Dwaj pozostali wiosłarze to tubylcy. Purpurowoskórzy, z przepaskami na biodrach. Mocne mięśnie z wprawą obracają drągi, pchające łódź do przodu po szerokiej rzece. Tubylcy mają błyszczące oczy i lekki, drwiący uśmiezek na ustach. Chcą tym uśmiezkiem dodać sobie otuchy. Ale to nie takie łatwe. Sytuacja nawet dla nich jest niecodzienna. Nie boją się. To nie strach wyziera z ich ruchów, to nie strach spogląda z zachmurzonych czoł. Oni są zbyt prymitywni. Nie wiedzą, co to strach. Potrafią za to dobrze wiosłować. Wiosłują rzeczywiście dobrze. Najlepiej, jak potrafią. Tak jak przy podchodzeniu do rozwścieczonego durandoka, kiedy gryzie ziemię i łamie potężnym, łuskowatym ogonem drzewa sur. Urodzeni łowcy.

Przewodnik to zbieg. Jego skóra świadczy o tym najlepiej. Niebieskawo-czarny leży teraz wyprężony jak struna, z uchem nad wodą... Życie nauczyło go sztuki nasłuchiwania. Tylko dzięki niej jeszcze żyje i płynie z nimi w łodzi. Brzeg jest porośnięty gęsto i dziko. Można by powiedzieć bujnie. Ale to jakaś dziwna bujność. Ani jednej barwy, do jakiej wzrok przyzwyczaja się w dżungli. Nic żółtego, pomarańczowego czy czerwonego, ani jednego zielonego kielicha. Nie ma również ta puszcza nic z kniej północnych regionów Vollu. Ni jednego zielonego liścia czy grama błękitu. Ciągle tylko czern. Czern i szarość. Trochę popielatego, zwłaszcza w trawach, trochę przyprószanego brunatu.

A jednak w tej czerni, pozorującej śmierć, tai się życie. Nawet nie tai. Ono faktycznie kipi bujnie, lecz jakoś niezauważalnie dla niewprawnego w tym pejzażu oka. Łódź przezornie trzyma się blisko brzegu. Niemal ocierają głowami o skrzypiące, spopielale witki arbelozu. Nieba z łodzi prawie nie widać. Przez gęste, zbite korony poprzerastane epifitami przeziera tu i ówdzie jasnoszary przestwór. Niebo tutaj jest zawsze takie. Wiosłarze z wprawą utrzymują drewnianą skorupkę przy brzegu. Wkoło absolutna cisza. Nie słyhać w tej dżungli normalnego gwaru, gwizdów aktacamów, pomruków ous, zawodzeń kinteifów, nerwowego tupania aguczamów czy posapywania przedzierającego się z łopotem przez zbitek czerwieni drzew sur bassol bassa. Tutaj panuje cisza. Bezludna, nieprzyjazna.

Dzisiaj nawet nie wieje wiatr. To oczywiste. Przewodnik wie, co robi. Nie wypłynąłby w wiatr. Jeszcze mu głowa miła. Nie po to uciekał z Hy, żeby wpadać na patrol z byle powodu. Każdy głupi wie: „Nie wypływaj w wiatr, choćby w żagle”. Przysłowia nie kłamią. Tworzyły je pokolenia.

- Czy tutaj kiedykolwiek świeci słońce? - zapytał Off.

Przewodnik zbył go milczeniem. Wioślarze wyszczerzyli zęby w bezrozumnym uśmiechu. Muskulary grały im pod skórą. Wiosła tonęły w ciemnej otchłani z ledwo słyszalnym szmerem. Zbliżali się do kolejnego zakola. Off wiercił się niespokojnie na sękatej ławce. Uwierały go sprzączki szarogranatowego kombinezonu, uwierał skórzany берет. Przebranie piekielnie niewygodne, ale konieczne. Pomyślano nawet o oryginalnej bieliźnie.

- Na wszelki wypadek - powiedział Dager. Teraz Off wiercił się jak na szpilkach. Gryzły go lolronowe kalesony, całe ciało swędziało. Pilnował się, żeby nie drapać podrażnionej skóry.

Gdzieś na brzegu trzasnęła gałązka. Off rozejrzał się niespokojnie. Przewodnik nie zareagował. Łódź płynęła dalej. Równo, miarowym rytmem, rytmem oddechów purpurowoskórych. Trzaski powtórzyły się, tym razem bliżej. Off nerwowo przygryzł wargę. Nie chciał myśleć o wpadce. Taka wizja mogła przyprawić o dreszcze. To zresztą niemożliwe. Ma najlepszego przewodnika i najlepszych wioślarzy. Trzeba trzymać na wodzy rozdygotane nerwy.

Czy jeszcze daleko? Jak długo można wytrzymać takie napięcie? Skoro przewodnik nie reaguje, widać nic się nie dzieje. Tym razem trzaski powtórzyły się tuż, tuż. Off czuł, jak oblewa go pot i drętwieją koniuszki palców, kurczowo zaciśniętych na długiej kufie. Wpatrzył się w zarośla, lecz przez sieć szarych witek nic nie dojrzał. Na skarpie, prawie nad ich głowami, rozległo się teraz głucho stęknienie i ktoś jakby sapnął czy westchnął.

- Co to? - Off nie wytrzymał.

Czuł, że wymówił pytanie drżącym głosem. Przewodnik nie odpowiedział. Tubylcy szczerzyli się jeszcze szerzej.

- Co to?! - powtórzył natarczywie. Czarny uciekinier, dawny niewolnik z wielkiej odkrywkowej kopalni ololanu, zaszczyił go krótkim spojrzeniem i znów skupił się na mętnej, „zaolejonej powierzchni rzeki. Wtem o jakieś pięć metrów nad nimi coś stoczyło się z pagórka i z głośnym pluskiem wpadło w głębię jak kamień. Na wodzie pozostały tylko kręgi.

- Zapóźniony rurk - stwierdził przewodnik nie odwracając nawet głowy.

Off powoli przychodził do siebie po tym incydencie. Widać udzielił mu się nastrój otoczenia. Musi się koniecznie wziąć w garść. To dopiero początek. Co będzie dalej? Nie wystarczy bezpiecznie dotrzeć do celu. Trzeba jeszcze działać. Musiał przyznać, że wszystko wyglądało o wiele prościej w zaciszu gabinetu w Valaco. Sądził, że przygotował się dostatecznie. Plan wydawał się jasny i łatwy. Nie wziął jednak poprawki na krajobraz ani na ludzi. To nie ten pejzaż, który się zna, który się czuje, bezpieczny i realny. Nie ci ludzie o normalnych, jasnych i zrozumiałych reakcjach, dających się z góry, w mniejszym lub większym stopniu,

przewidzieć, o normalnych i oczywistych problemach, o normalnych doświadczeniach. Doświadczenia, które tych tutaj kształtowały, leżały gdzieś poza przepaścią, poza przeciętnym obszarem pojmowania.

Bo cóż znaczy dla nas słowo Hy. Pusty dźwięk. I wcale go nie ożywimy dodając, że jest strasznym miastem. Trzeba przeżyć jego koszmar. Wtedy nigdy nie pomyli się Sov z Hy, czy Hy z Piorą. Życie w każdym z tych miast stanowi odrębną udrękę, odmienne, realne doświadczenie.

Offa dziwiła dawniej małomówność tych, którym udało się stąd wyrwać, rozbiegany wzrok, służalcza postawa. Spotkał ich zresztą w swoim życiu niewielu. Może dwóch, może najwyżej trzech, a i to nie wiadomo, czy tylko się nie podszywali pod byłych mieszkańców Hy, chcąc uchodzić za bohaterów. Potem trochę lepiej ich zrozumiał, o ile można to zrozumieć nie przeżywszy. Przestał się dziwić. Wiele się nasłuchiwał. Ale co innego słyszeć, a co innego czuć na własnej skórze.

Przewodnik uniósł rękę. Wiosła zamarły w pół ruchu. Łódź sunęła bezszelestnie. Off wyteżył słuch. Przewodnik wyprężony jak struna dramindy usiłował rozszyfrować to, co słyszy. Off nie słyszał nic mimo wielkiego wysiłku. Wioślarze wpatrywali się w głowę tamtego o poskręcanych, twardych jak druty, siwych włosach, prawie bezmyślnie. Z tępą pustką w oczach oczekiwali rozkazu. Jak dobrze wytresowane człiekopodobne obbibony.

- Do brzegu - rzucił szeptem przewodnik, wpatrując się w pustą powierzchnię wody przed sobą. - Tylko ostrożnie - dodał po chwili.

Tubylcy sprawnie wyciągnęli łódkę na brzeg. Bez jednego zbędnego ruchu, bez przypadkowego stąpienia na suchą gałązkę zawlekli skorupę w krzaki. Przewodnik przyjrzał się krytycznie maskowaniu, poutykał szpary, gałęzią zakrył mokre ślady na trawie o ostrych jak lance źdźbłach.

- Teraz schować się i ani pary, bo szrama! Wpadli w niewielką nieckę. W gęstwinie przewodnik utorował lufcik. Widać przezeń było mały wycinek rzeki. Mniej więcej miejsce, do którego dopłynęli.

- Gdzie ja to już słyszałem? - zastanawiał się Off. - „Ani pary, bo szrama?” Ależ tak - przypomniał sobie. Słowa ślepeca Bajo. - I raptem spelunka przepełniona tłumem potencjalnych mieszkańców Salviry wydała mu się czymś bliskim i niemal miłym, a ponure twarze rzezimieszków nawet sympatyczne. - Tak, to przepaść - pomyślał.

- Nic nie widać - szepnął do przewodnika.

Purpurowoskórzy leżeli przyklejeni do dna wądołu, ze wzrokiem wbitym w korony drzew.

- Stul pysk! - warknął przewoźnik. - Stul pysk, bo długo nie pożyjesz!

Off wpatrzył się w powierzchnię wody. Teraz doleciały go jakieś szmery zza zakrętu.

- Patrol? - zapytał.

- Stul pysk. Patrol.

Na wodzie pojawił się najpierw nieznaczny wir, potem długi, spiczasty cień. Off miał ochotę powiedzieć, że to żaglowiec, ale w porę ugryzł się w język. Za cieniem ukazał się stateczek. Niewielki żaglowiec patrolowy poruszający się w zupełnej ciszy. Pod warunkiem oczywiście, że jest wiatr. Dzisiaj wiatru nie było. „Służba w bezwietrzny dzień to tupańczy grosz” mawiali pod - i nadkomendni z Patrolu.

Rzeczywiście. Kilku podkomendnych w szarych maskujących drelichach obracało wiosłami w takt znaków dawanych przez „starszego” pałeczką. Sflaczały żagiel wisiał bezużytecznie jak niepotrzebna dekoracja. Na dziobie ponad nadbudówką, na niewielkim mostku, a właściwie żelaznej kładce, stał „wzrokowy”. Uważnie przeczesywał każdy metr terenu, wpatrując się w wodę i poszycie. Obok „lunetowy” badał wskazane przez „wzrokowego” szczegóły i wątpliwe miejsca. „Wzrokowy” rzucił okiem na zegarek. Przewodnik także.

- Mamy szczęście - szepnął przewodnik. - Dawno nie miał zmiany.

Rzeczywiście. „Wzrokowy” robił wrażenie zmęczonego. Przypatrywał się terenowi z wyraźnym znudzeniem i niechęcią.

- Teraz sza - ledwo wyszeptał przewodnik. Przepływali obok ich kryjówki. Spojrzenie „wzrokowego” spoczęło na maskującym ślady konarze.

- Coś mi się tu nie podoba - powiedział do „lunetowego”.

Offa przeszły ciarki. „Lunetowy” skierował lunetę w ich stronę. Zamarli. Przestali nawet oddychać. Zdawać by się mogło, że przemienili się nagle w kamienie lub ulecieli jak obłoczki pary. „Lunetowy” zatrzymał się na moment na ich kryjówce, lecz zaraz oderwał wzrok od okularu i machnął podenerwowany ręką.

- Zdaje ci się, Łypst. Masz już przywidzenia. Czas na zmianę.

- Mówię, że coś tu jest inaczej - upierał się tamten.

- Przestań mnie wkurzać! Jazda dalej! „Wzrokowy” jeszcze raz przyjrzał się zarośłom.

-? - Dam głowę - powiedział - że te krzaki inaczej wyglądały, kiedy płynęliśmy w tamtą stronę.

.- To uważaj na głowę - wypalił „lunetowy” ;..

Żaglowiec popłynął dalej. Przez chwilę słychać jeszcze było cichy plusk zanurzonych w wodzie wiosł, aż ucichł.

Off odetchnął z ulgą. Przewodnik również. Tak się musiał chyba czuć uciekający po napadzie na InL człowiek, w momencie kiedy dopadł kanału i strad Straporu, przejechał nad jego głową nie zatrzymawszy się. Off także czuł się już raz podobnie. Było to wtedy, gdy udało mu się umknąć z „Bandery”. Leżeli jeszcze długą chwilę, zanim przewodnik pozwolił wyciągnąć łódź i znów wiosła zanurzyły się w ciemnej czeluści wody. Lekki wiatr zakręcił gałęziami, zaszeleścił lancetowatymi źdźbłami, pochylił wiotkie pnie. Woda, zmarszczona powiewem, z chlupotem uderzyła o margłowaty brzeg. Pociemniało jeszcze bardziej. Wioślarze rozglądali się niespokojnie. Nie minął nastrój przygnębienia, choć minęło niebezpieczeństwo.

Off również czuł się nieswojo. Mimo wszystko postanowił, że nie da za wygraną. Najpierw była krótka lecz męcząca podróż przez ocean. Pełny luksus, a jednak czuł się zmęczony. Z próżniowca, którego trasa przechodziła w pobliżu Salviry, wysiadł na pełnomorskiej stacji paliwowej, gdzie próżniowce sunące w kierunku Tropsu zatrzymywały się zawsze dla uzupełnienia paliwa, a ludziom pozwalano wyjść do niewielkiej kawiarni na coś mocniejszego niż serwowane podczas jazdy lekkie musujące soki. Tutaj musiał się w sprytny sposób przeszmyglować. Jego akcja miała charakter całkowicie tajny. Nie wolno było ryzykować. Kto wie, czy jakimś dziwnym sposobem nie wypatrzyliby go celnicy, gdyby wspomniał choć jednym niepowołanym słowem o zamierzonej podróży.

Wszystko udało się dosyć gładko. Nie zauważony przez obsługę, dostał się na pokład wielkiego ololanowca zdążającego do Transgextl ulókował się w opróżnionym luku. Transgex nie był mu' specjalnie po drodze, ale Off nie miał wyboru. W ciemności oświetlając latarką mapę, ustalił, gdzie najlepiej opuścić ololanowiec. Wybrał okolice wyspy Glar leżącej niedaleko Puszczy Wschodniej i miejsca, które wskazał jako punkt kontaktowy Bajo. Miał nadzieję, że dopłyną tam nocą. Wszystko szło tak, jak mówił Bajo. Była to ponoć najprostsza droga do brzegów Salviry. Czasem urządzano na niej obławy. Jednak ślepiec nie otrzymał żadnych sygnałów ostrzegawczych.

Okolo północy olbrzymi ololanowiec wszedł w sztorm. Off czuł lekkie chwanie na boiki. Obawiał się, czy nie pokrzyżuje mu to planów, ale łajba nie zwolniła ani na chwilę. Widać szyper spieszył się do rodzinnego portu.

Off przebrał się w przygotowane jeszcze w komendzie łachy. Wszystko piło go i uwierało. Czekał. W zakręcanym zbiorniczku miał tlen. Sprawdził zawory. Poprawił busołą. Luk na szczęście pozostawiono uchylony. Do trzeciej miał sporo czasu. Teraz opadły go wątpliwości. Zmęczenie i niewyspanie dawały znać o sobie. Chwilami drzemał, ale zawsze budził się, nim jeszcze głowa zdążyła mu opaść na kolana, czujnie spoglądając na fosforyzujące wskazówki.

W majakach widział Terię. Zastanawiał się, na wpół przebudzony, co teraz robi, gdzie jest. Czy jest bezpieczna? Usiłował sobie wyobrazić jej pokój, ją samą, ale wszystko się rwało i zniknęło. Nie mógł się na niczym skupić. Nerwowo liczył miny.

Wreszcie nadszedł ten moment. Dochodziła trzecia. Zawyla syrena obwieszczając skrawek łądu, który mijali. To wyspa Glar. Off zręcznie niczym tupang, a może jeszcze zwinniej, po cienkiej linii regularnie zasuplanej w węzły wdrapywał się ku otworowi luku. Niebo bez gwiazd zlewało się z łądem i wodą w jedną czarną płaszczyznę. Popatrzył na busołą.

Ma chwilę skrył się za węglem messy. Szła zmian-a wachty. Minęli go, skuci w stalowe kamizelki, tłukąc w pokład ciężkimi butami o zbrojonych podeszwach. W powietrzu zapachniało ololanem, a raczej ludzką skórą przesiąkniętą tym motałem, ololanowym potem. Omal go nie zemdlilo, myślał już, że nie powstrzyma nadchodzącej z żołądka fali.

Przewiesił bagaż na piersiach, jeszcze raz spojrzął na busołę i, przechyliwszy się przez burtę, dał susa w wodę. Morze było lodowate. Właściwie tylko przez chwilę tak mu się zdawało. Na pokładzie powstało zamieszanie. Zatu-potały okute buty, zapłonęły światła, przeciągły gwizdek i syrena wyrwały majtków ze snu. Klęli i sarkali. Dopinali w biegu gacie. Oficer robił zbiórkę. Na wodę puszczone reflektory. Off zanurzył się i przekręciwszy zawór popłynął w kierunku wyspy, na której miał spotkać przewodnika.

Przewodnik znów dał znak. Natychmiast wiosła uniosły się nad wodę, a purpurowoskórzy wpatrzyli się w zwichrzoną czuprynę swego opiekuna.

- Tutaj puszcza się urywa - powiedział ten do Offa.

- Tak. I co dalej? - Off ocknął się z zamyślenia.

- Dalej przydałaby się burza.

- Nie zamawiałem jej.

- Wracajmy - zwrócił się przewodnik do niecierpliwie przestępujących z nogi na nogę Wioślarzy.

- Łódź odbiła i wyruszyła w drogę powrotną. Przewodnik stał teraz na rufie. Pomachał inspektorowi ręką.

- Pamiętaj! - krzyczał jeszcze z daleka. - Prosto do krawędzi zarośli, stary czarny strad, „Yerayher ze złotym napisem „Skład Trantona” będzie stał na wprost miejsca, w którym wyjdiesz...

- Pamiętam!

- Powodzenia!

Off wzniosł dłoń w geście pożegnania. Stał chwilę, po czym namierzył kierunek i ruszył przez zarośla. Były lepkie i szorstkie. Zbliżał się zmierzch. W szarości zmroku otoczenie zdawało się być bardziej przyjazne, nie raziło tak swymi niecodziennymi kształtami i barwami. Tylko ta lepkość pozostawała nadal obca i przypominała, że nie jest się u siebie...

Wkrótce Off przekonał się, że wysadzono go niemal na wprost umówionego miejsca. Na szosie stał z wygaszonymi światłami Verayher. Ins odczekał kilka minut. Nie zauważył niczego podejrzanego. Postanowił jednak na wszelki wypadek jeszcze poczekać. W stradzie nie spostrzegł nikogo. Na szosie nadal spokój.

Zdecydował się. Ruszył przez płaską, porośniętą czymś gąbczastym łakę w kierunku pojazdu. Na niebie zawisły ciężkie chmury i spadły pierwsze grube krople deszczu. Padało ich z każdą sekundą coraz więcej. Z cichym początkowo, potem coraz intensywniejszym plaskaniem, przechodzącym w dziwaczny, rytmiczny szum, rozbijały się o gąbczaste podłoże.

Noc pochłaniała szczegóły krajobrazu i stapiała rzeczy w jedną wielką, czarną masę. Zlepiała liście, trawy i pnie w jednolitą ciemną plamę lasu, zagarniała ją, łącząc z łaką, czarną w tym momencie jak smoła, obejmowała wszechogarniającym obszarem królującej ciemności wstęgę szosy i majaczący cień Verayhera, anektowała wszystko, aż po najdalej widzialny horyzont, gdzie błąkała się jeszcze jasna szrama pobitego przez noc dnia. Szparka, przez którą słońce usiłowało wetknąć swe oko, zmniejszała się ciągle, bardzo szybko, aż wreszcie zniknęła

zupełnie i w okolicy zapanowała pusta ciemność, wypełniana jedynie dudnieniem i mlaskaniem kropli ciepłego deszczu.

Wszystko to stało się tak nagle, że Off przystanął zaskoczony, zapominając na moment, gdzie jest i jakie grożą mu niebezpieczeństwa. Było coś zachwycającego w tej groźnej, pustej, salvirańskiej nocy. Takiej nocy, takiego intensywnego, krótkiego zachodu Ins nie widział nigdy i nigdzie, i pewnie już nie zobaczy.

Absolutną, lepką ciemność rozświetlił nagle biały ogień. To kierowca Verayhera podpalał widocznie kolejną fajkę, zniecierpliwiony przedłużającym się oczekiwaniem. Off dojrzał wreszcie do pojazdu, przechylonego na prawe koła, którymi wrył się w miękkie pobocze. Kierowca go zauważył, drzwi uchyliły się lekko. Z wnętrza buchnął ciepły strumień skondensowanego zapachu mafafy i rozgrzanych kabli. Na drzwiczkach zamajaczył dużymi, pochyłymi literami wyciśnięty napis „Tranton, Skład i Wyprzedaż”.

Ins wtoczył się do środka i zapadł w miękkie fotele. Spojrzał na następnego przewodnika w swej niecodziennej podróży. Praca, którą wykonywał od lat, przyzwyczała go do niejednego. Wiele zaskakujących przeżyć miał za sobą, jednak nawet niezwykłość posiada swoje skale i odcienie. Ta podróż była najniezwykleszą z niezwykłych. Człowiek przy kierownicy baczenie mu się przypatrywał. Odnosiło się wrażenie, że patrzył wzrokiem zimnym i obojętnym. A może nie. Może wydawał się taki przez oświetlenie zielonkawym blaskiem szybkościomierza. Rysy dosyć delikatne. Dłonie o smukłych, wiotkich palcach spoczywały na sterze. W zębach trzymał fajkę, którą ssał rytmicznie, wypuszczając kłęby dymu.

- Co za dziwne spotkanie - powiedział.

- W istocie miałem szczęście. Właśnie zapada zmrok.

- Niech się pan nie martwi - przewodnik mówił miłym, melodyjnym głosem. - Ten strad nie jest taki stary, na jaka wygląda.

- Ale czy będziesz w mieście przed świtem?

- Pan pierwszy raz w tych stronach?

- Zupełnie możliwe.

- Widać. Do miasta nie więcej niż godzina jazdy, a wliczając strażę najwyżej pięć.

- Czy wyglądam na kogoś, kto mógłby się tu znajdować nielegalnie?

- W porządku - przewodnik skinął głową. - Hasło bez zarzutu. Ins Off. Prawda?

- Zgadza się.

Człowiek z brzękiem zamocowanych na przegubie bransolet włączył starter. Warknął silnik. Przewodnik mocniej nasunął na czoło kapelusz z szerokim, sombreroowym rondem i zwolnił złą-czniki. Strad runął w czarną przestrzeń z humem i jazgotem. Szybkościomierz z miejsca zanotował 20 y, a po sekundzie już 22 y. Kierowca musiał być raeczywiście niezłym fachowcem. To stwierdzenie podtrzymywało trochę Offa na duchu.

- Jestem Ordez - przedstawił się, nie wypuszczając cybucha z zębów.

- Widzę, że dawno przewodzisz?

- Na nocnych trasach znam każdy wybój i każdą pułapkę. Trzeba sunąć, póki się da. Potem to tylko ciężka harówka.

- Spotkanie przygotowane?

- Tak.

Pędzili przez salviriańską noc do Sov. Strad ciął ciemność, wgryzał się w nią smukłym pyskiem, przerabiał przy pomocy swych silników na gęstą papkę i wyrzucał za siebie w postaci szarej smugi. Jechali ciągle przy wygaszonych światłach, sunąc prawie tuż przy nawierzchni. Ordez milczał, nonszalancko wsparty na sterach. Wydawało się, że nie patrzy przed siebie, a jego umysł zajęty jest czymś zupełnie innym, nieporównanie ważniejszym niż głupia przejażdżka do Sov z jakimś „nie wiadomo kim” na pokładzie. Lekko podrzuciło ich na pagórku i zaraz ukazały się całkiem niedaleko wysepki świateł - małe, jasne atole w ciemnościach, rozlewające się w coraz większe skupiska, jednak bardzo słabe i tłące się jakby ostatkiem sił, drżące w zmaganiach z czernią, wyczerpane.

Ordez zwolnił teraz. Zapalił krótkie światła. Jechali już tylko czternastką. Światła przybliżyły się i spotężniały. Można było rozróżnić zarysy kominów, wyciągów, ponurych hal bez okien, z których wentylatory wiecznie wysysały trujące wyziewy, rozpylając je po okolicy. Pompy stale tłoczyły tlen, aby pracujący tam ludzie mogli przetrwać wymierzoną z precyzją dawkę życia, ani dłużej ani 'krócej, 20-25 lat i kropka.

Po obu stronach drogi zaczęły pojawiać się parterowe okrągłaki z małymi, owalnymi jak dziury w serze, okienkami. Na ulicy ani jednego przechodnia. Okienka świeciły z rzadka, przeważnie domy były ciemne. Tu, na przedmieściach, mieszkali jak zwykle i wszędzie ci pracujący najciężej, w najgorszych warunkach. Przewodnik zwolnił jeszcze bardziej. Teraz posuwali się już ledwie siódmką.

Gdzieś na końcu prostej błysnęły zielone reflektory i Ordez zastopował gwałtownie. Strad zarył z cichym piskiem i prawie równocześnie zaczął cofać się z wysiłkiem i sapaniem. Zielone reflektory przybliżyły się.

Off spojrzął na przewodnika. Na czole tamtego rysowała się wąska zmarszczka między brwiami. Wycofali się w przecznicę i cały czas jadąc tyłem wjechali za zakręt. Tutaj Ordez rozejrzył się nerwowo. Między szopą a kulistym budynekciem znalazł trochę miejsca. Wtłoczyli się w tę szczelinę i wyłączyli światła. Przez moment panowała zupełna cisza. W chwilę potem, nie dłuższą niż mrugnięcie powieką, usłyszeli chrzęst kół patrolowca. Obłą, ciężka maszyna wtaczała się w przecznicę.

- Spokojnie, spokojnie - uspokajał szeptem nie wiadomo kogo Ordez. Zwilżał przy tym nieustannie wargi, oczy mu błyszczały. Ręka drżała, zaciśnięta na starterze. - Spokojnie - powtarzał. - Tylko nie za szybko.

Wyglądał na skupionego. Patrolowiec był tuż, tuż. Rozbłysła ściana przeciwległego budynku omieciona zielonym reflektorem. Zza rogu ukazał się długi przód pancernego stradu.

Teraz wypadki potoczyły się jak grom. Zanim jeszcze zielony reflektor skierował się w ich stronę, a już w momencie gdy kabina patrolowca wyłoniła się

zza muru, Ordez włączył pełne, białe światła błyskowe i jednoczesnym ruchem wcisnął starter. Reflektor jakby się zawahał, przez ułamek sekundy nic się nie zdarzyło. Strażnicy byli jeszcze lekko zaskoczeni, a Yerayher nie nabral odpowiedniej mocy. W sekundę potem rozległ się szcęk długiej serii i równocześnie strad Ordeza, spięty sterami, ruszył z miejsca 26 y i wzbil się na tyle w powietrze, że mógł się wedrzeć i prześlizgnąć po dachu kabiny patrolowca na jego drugą stronę. Będąc nad pojazdem strażników uniemożliwiał im otwarcie ciągłego ognia.

Seria na moment umilkła lub utonęła w zgiełku trących po sobie blach. Verayher przetoczył się po kabine patrolowca, lekko ją wgniatając, i ostro zadarłszy do góry przeszedł w balansujący zygzak. Serie rozległy się teraz ze zdwojoną siłą. Płaska maska drgnęła i przekrzywiła się w dół.

Jak wicher wypadli na główną szosę, waląc prawym reflektorem w róg budynku. Dopędziła ich jakaś seria z ciężkiej broni. Rozbębniły się tylne blachy i szyba. Off skurczył się odruchowo, Ordez ani drgnął.

- Szyby są zbrojone - rzucił nie odwracając głowy. - Teraz tracą trochę czasu, żeby się wycofać z tej przecznicy, a my tymczasem wydostaniemy się poza ich strefę.

- Ale przecież dadzą znać innym.

- Do tego się nie kwapią. To konkurencja. Jeżeli nie złapią nas w swojej strefie, nie pisną ani słówkiem, nie będą chcieli innym ułatwić zdobycia nagrody. Co innego, gdyby ogłoszono obławę. Wtedy już gorzej. Trudno byłoby wyjść.

Przewodnik rozgadał się, najwyraźniej wyłaził z niego w tej chwili strach. Jasne włosy wysunęły mu się spod przekrzywionego na bok kapelusza i spłynęły na ramiona. Wyglądał teraz zupełnie jak dziewczyna. Gładka twarz bez zarostu, delikatne rysy. Gdyby nie charakter, typowo męski, hartowany w długich latach samotnej „walki o byt”, można by pomyśleć, że rzeczywiście za sterami stradu siedzi kobieta, która wyjechała na nocny spacer czy zabawę. Ale spokój i zdecydowanie, malujące się w oczach tego człowieka, nie miały nic wspólnego z kobiecością. Był to chłód i pewność siebie człowieka, przygotowanego absolutnie na wszystko.

Off obejrzał się. Na końcu prostej sunęły, maleńkie z tej odległości, zielone reflektory.

- Nie złapią nas - z dziką sytysfakcją stwierdził Ordez. Wargi rozsunęły mu się w szerokim uśmiechu. - To granica ich strefy! Granicaaa!! - wrzasnął.

Reflektory zbliżały się jeszcze czas jakiś, lecz rzeczywiście w pewnej chwili znieruchomiały, za to przed nimi pojawiły się następne. Ordez zacisnął usta i docisnął przyspieszacz. Nie miał wyjścia. Dla zmylenia wyłączył zielone światła. Off patrzył z przerażeniem na licznik: 26y, 26-5, 26-8, 27!!!

Patrolowiec sunął jednak środkiem. Ordez posłał mu kilka błysków w specjalnym systemie. Nic. Powtórzył z niewielką modyfikacją. Tamten jakby się zastanawiał. Ordez zmniejszył nieco prędkość. Pędzili wprost na siebie niczym

dwa huragany. W wylotach świstało rozbijane powietrze, maszyny wyły, hałas burzył ciszę nocy i roznosił się echem po okolicy.

Patrowiec był może z 300-400 metronów od nich, kiedy kierowca tamtych nie wytrzymał i ręka drgnęła mu w lewo. Przewodnik podkręcił lekko w prawo. Tamten runął w tym kierunku, świadom pozostawionej luki, a wtedy Ordez zarzucił wozem na lewą stronę i docisnąwszy do maksimum możliwego na powierzchni 28y wyminął ze świstem ciężki pancerny wóz.

- Dlaczego nie strzelali? - myślał głośno Off.

- Gdybyśmy się w nich władowali, nic by im nie pomogły pancerze. Mogli nas tylko straszyć, a teraz będą nas gonić. Na pewno są przygotowani na taki manewr. Ale oni zawsze albo kogoś nie doceniają, albo zrobią jakiś błąd i nie poradzą sobie.

- Może by się wzbić wyżej?

- Nie. To byłby koniec. Verayher jest najlepszy tuż nad powierzchnią, a poza tym lepiej kluczyć, niż uciekać po otwartej przestrzeni. Mamy moc lotu nie wyższą od 45y i to na krótkim dystansie. Oni mają 60y, 65y, ale za to kosztem prędkości naziemnej. Mamy 1-2y przewagi i większą zwrotność - Ordeza znów opanowała fala odprężającej gadatliwości.

Zielone reflektory sunęły równo za nimi. Wjechali w teren o wyższej nieco zabudowie.

Budynki smuklejsze, przyuliczne latarnie. Coraz więcej wyboistych przecznic nadających się do kluczenia.

Ordez tylko na to czekał. Gdy zbliżali się do kolejnej z nich, szarpnął gwałtownie stery i wjechali w wąską uliczkę bez chodników. Wzniesli się nieco wyżej, gdyż w jezdni widniały głębokie dziury i wyrwy. Off zastanawiał się przez chwilę, dlaczego ich prześladowcy nie wzbijają się w powietrze, aby ich złapać z góry. Są tam szybsi, a poza tym mieliby widok na cały swój sektor. Nie pytał jednak o to Ordeza, bo właśnie skręcali w następną, jeszcze węższą przecznicę, a z tyłu pojawił się patrołowiec.

Ulica, na której się znaleźli, okazała się tak wąska, że z trudem mieścili się między stojącymi po obu stronach słupami latarni. Światło, jakie one dawały, było dosyć nikle, żółtawe, większość lamp rozbita. Musieli poruszać się bardzo ostrożnie. Off oglądał się nieustannie, wypatrując ścigających ich strażników. Na szczęście z tej krótkiej uliczki wypadli na trochę szerszą i gładszą, krętą aleję, przy której znajdowało się parę sklepików, przyozdobionych wyblakłymi nitkowatymi neonami. Zabudowa nadal parterowa, ale jakby smuklejsza, wyższa, w stylu bardziej klasycznym, przypominała stare budynki Ohoy.

Stradem kołysało na wszystkie boki z powodu nierównego podłoża, mimo to Ordez nie zwalniał. Płynęli teraz dosyć szybko. Tak im się przynajmniej wydawało do chwili, gdy rozległa się krótka seria i o tył Verayhera znów zabębniły odbijające się od pancerza pociski. Ordez zaklął pod nosem. Docisnął przyspieszacz.

- Tutaj niedaleko jest kryjówka, musimy w niej przeczekać - powiedział.

Pędzili przez chwilę na złamanie karku. Mijali prawie identyczne budynki, które zlewały się w długie, szare pasmo. Wreszcie zatrzymali się koło jednego z

nich. Przewodnik cofnął pojazd na platformę umieszczoną wzdłuż ściany i wygasił silniki. Platforma z sykiem wypuszczanego powietrza zjeżdżała w dół. Gdy się zatrzymała na dnie wąskiego wykopu, Ordez zjechał stradem do tyłu i platforma rozpoczęła powrót na swoje stałe miejsce.

Mężczyzna otworzył drzwiczki. Wstał ciskając kapelusz na tylne siedzenie. Długie, białe włosy rozsypały mu się po plecach i twarzy. Odgarnął je dłonią brzęczącą bransoletami i podbiegł do peryskopu. Off stanął obok.

- Niech pan patrzy - odezwał się po chwili Ordez. - Mam nadzieję, że to przypadek.

Off przyłgął do chłodnego okularu. Na zewnątrz, przy chodniku, na wprost platformy zatrzymał się patrolowiec. Wewnątrz siedział tylko kierowca. Pozostałych pięciu nie było widać.

- Przeczesał? - zapytał Off.

- Może... - Ordez stał oparty o ścianę i nabijał swą nieodłączną fajkę.

Off znów przyłożył okular do oczu. Ujrzał teraz trzech strażników. Częstowali się cukierkami gumowymi.

- Ma pan broń? - zapytał nagle przewodnik.

- Mam kufę.

Ordez skrzywił się z dezaprobatą.

- Nie najlepsza to broń w tych warunkach. Podeszedł do stradu, otworzył bagażnik i zaczął w nim grzebać. Przez moment szamotał się z jakimś przedmiotem, wreszcie wydobył go i oparł o błotnik.

- A tym umie się pan posługiwać? - zawołał potrząsając długą, błyszcząca laską, zakończoną trójkulistym bąblem.

- A cóż to jest?

- Myślałem, że pan się na tym zna.

- Niczego takiego jeszcze nie widziałem.

- Proszę to obejrzeć dokładnie - powiedział Ordez, rzucając z wprawą w kierunku Offa trzymany przedmiot; Off złapał go niezbyt zręcznie. Chwilę przyglądał mu się uważnie. Obracał w dłoni chłodny metal. Po drugiej stronie trójkulistej powierzchni, na końcu owalnej laski, znajdował się przycisk i pokrętło.

- Niech pan naciśnie - zachęcał Ordez. - Tylko ostrożnie, najlepiej w ścianę.

Off nacisnął. Trójkulista głowica rozżarzyła się i wytrysnęła z niej prosto w ścianę żółty, skondensowany promień.

- To lagownicą! - wykrzyknął zdumiony inspektor. - Jak żyję, takiej nie widziałem!

- Ostatnia nowość - pochwalił się Ordez. - Pokrętło reguluje moc uderzenia i zasięg zmian.

- Z jaką dokładnością można nią operować?

- Zależnie od umiejętności. Ja na przykład - mówił przewodnik obracając sprawnie w palcach laskę - operuję z dokładnością do 30 minut.

- Niemożliwe! - Off był zaskoczony. - Dużo jest takich egzemplarzy?

- Wiem o dwóch. Jeden mam ja. Drugi powinien być na kontynencie, ale dokładnie nie mogę powiedzieć, u kogo.

Ordez znów nachylił się do peryskopu.

- Pięciu... - mamrotał do siebie. - Stoją i palą... - Oderwał się od lśniącej tuby i chwilę patrzył gdzieś przed siebie. Westchnął ciężko. - Poszukamy tu czegoś dla pana - rzekł zanurzając rękę w bagażniku.

Po chwili wyciągnął stamtąd uniwersalną dwururkę.

- Powinna pasować do kufy.

Off nakręcił ją na końcu broni. Pasowała.

- A teraz pozostaje tylko się przy peryskopie i czekać.

- Ile to może trwać?

- Godzinę, dwie, jeżeli oczywiście nie idzie im o nas. Jeżeli na nas czekają, potrwa znacznie dłużej. Wreszcie wpadną na ślad i dotrą tutaj.

- Dlatego ta broń?

Ordez spojrział na Offa nieco zirytowany. Widać nieczęsto zdarzały mu się takie sytuacje.

- Pan raczej przyzwyczajony jest do łatwych sukcesów - zauważył Off.

Ordez nie odpowiedział. Po prostu całą uwagę skupił na wypuszczaniu kłębow czarnego niczym salvirańska noc dymu i zdawało się, że świat przestał dla niego w tym momencie istnieć. Off usiadł koło peryskopu i od czasu do czasu rzucał okiem w chłodny okular.

Na zewnątrz nic się nie zmieniło. Gdzieś w kącie słychać było spadające regularnie na posadzkę krople wody. Dym równie regularnie wydobywał się z płuc przewodnika. Off regularnie przeczesywał ciemność na zewnątrz. I strażnicy w patrołowcu regularnie żuli gumowe cukierki.

Tak trwało to przez najbliższe godziny.

Pokój do którego weszli, zaskoczył Offa. Był piękny. Szary i odrapany ze wszystkich stron budynek, z wyzierającymi spod odpadającego tynku cegłami, nie zapowiadał takiego cudu wewnątrz.

Ściany różowobrazowe, we wnęce szafy o półokrągłych drzwiach, w tym samym kolorze co ściany. Lustro w prostych, ciemnobrązowych ramach wisiało na wysokości wzroku, poniżej z prawej strony, na nocnym stoliku wspartym na złotej, kolumniastej nodze stała lampa z ażurowym kloszem, zdobionym żółtymi esami. W rogu, koło szafy, w czerwonej donicy palma o brązowozielonych liściach, a między nią i lustrem, na miękkim puchowym dywanie w odcieniu intensywnej czerwieni, stał fotel pleciony ze słomy. Przez okno zasłonięte firankami wpadały promienie porannego słońca i łączyły wszystko w tak harmonijną, jednolitą całość, że wydawało się, iż patrzymy na obraz faloplastyczny, gdzie wszystkie szczegóły rozmywają się i wylaniają jedne z drugich, dzięki falistości struktur. Była to jednak rzeczywistość, a nie faloplastyka...

Przed lustrem, odwrócona od nich plecami, stała kobieta. Jej różowy szlafrok leżał na plecionym fotelu, a ona sama, posągowo naga, jedynie w turbanie, którego

zawój opadał zmieszany z brązowymi włosami na plecy, wzdłuż linii kręgosłupa, wpatrzona w swe odbicie, wydawała się nad czymś zastanawiać. Może nad własną urodą? Bo kogoś tak pięknego Off nie widział Jeszcze nigdy.

Stanęli obaj jak wryci. Ordez uśmiechnął się do siebie. Off momentalnie pomyślał o Terii. Jej ciało na pewno nie było stworzone z tak regularnych i miłych dla oka linii, jednak ta dziewczyna, choć piękna, nie wzbudzała w nim owego nieopanowanego pożądania, nie mówiąc już o emocjach innego, wyższego rzędu. I znów, po raz któryś od rozstania, Teria powróciła w jego myślach jako osoba upragniona, jedyna, dla której mógłby zrobić więcej niż dla siebie samego.

- Hej, Behe! - zawołał radośnie Ordez. - Nad czym tak dumasz?

Odwróciła się, wcale nie zaskoczona.

- Czekam na ciebie od dobrych czterech godzin. Gdzie się włóczysz?

Teraz całe piękno z niej wyparowało. Głos miała matowy, lekko ochrypły, brwi za wysoko zadarte, policzki zbyt wypukłe, usta zbyt wąskie, piersi zbyt spiczaste. Przestała w ogóle robić na Offie wrażenie. Może dlatego, że w niczym nie przypominała już Terii.

- Miałem małą robotę. To człowiek, z którym pójdziemy do drukarenki. Nazywa się Off i pochodzi z Valaco, Boyd, kontynent Voll.

Behe popatrzyła na nieznanomego z nieukrywaną antypatią dając tym do zrozumienia, że zepsuł jej wieczór z Ordezem i sięgnęła po szlafrok.

- Zaraz będę gotowa - powiedziała zmienionym głosem. - Zaczekajcie na dole.

Czar pokoiku prysł. Słońce oświetlało go już inaczej i sprzęty jakoś nieprzyjemnie ze sobą kontrastowały. A może tylko tak się Offowi wydawało?

Zeszli po kręconych schodach. Po chwili wraz z Behe, ubraną w typowy, nie rzucający się w oczy kombinezon o wyblakłych, niebieskich mankietach, wsiedli już do stradu i jechali w kierunku centrum.

W powietrzu unosił się przykry zapach, który wydobywając się z kominów pobliskich fabryk zatruwał całą okolicę. Grunt pod nogami drżał nieustannie i tętnił rytmem pracujących maszyn. Niebo, zasnute na całej powierzchni rdzawą mgiełką, sprawiało wrażenie ciężkiego, z trudem utrzymującego się na swoim miejscu kawałka ololanu.

Ruch na ulicach panował niewielki. Więcej widziało się strażników i patroli, niż zwykłych przechodniów. Ludzie sprawiali wrażenie przygnębionych.

To miasto nie przypominało miast innych kontynentów. Tutaj pracowano na dobrobyt tamtych. Nie wszystkie prace dało się zautomatyzować. Niektóre celowo pozostawiono ludziom. Było jeszcze wiele czynności, które musieli wykonywać własnymi rękami. Przez pewien czas przestępców skazanych na więzienie przywożono właśnie tutaj. Tu, w ciężkim zaduchu fabryk, wykonując swą pracę nadludzkim wysiłkiem, powoli wymierali.

Młasta-fabryki, otoczone z zewnątrz szczelnym kordonem, nie wypuszczały wessanych i nie wpuszczały nikogo bez zezwolenia. Ale rozrastały się. Potrzebowały wciąż nowych ludzi. Sytuacja zaczynała się odwracać. Korzystając z silnego kordonu, przestępcy przedzierali się na Salvirę. Uciekając przed ścigającym

ich prawem, tutaj pozostawali pod ochroną organów zacji wyspecjalizowanych w zmianach nazwisk, dokumentów, twarzy, linii papilarnych. Wszystkie te zabiegi chroniły ich przed pościgiem. Jednocześnie organizacje w zamian za to żądały haraczu w postaci znacznej części zarobionych pieniędzy. Sumy, jakich wymagano w zamian za ukrywanie zbiegów, były tak wielkie, że po rozłożeniu na raty spłacano je przez całe życie.

Wśród uczestników patroli pojawiło się coraz więcej członków tych organizacji. Organizacje żądały już wtedy od każdego, kto zjawiał się w mieście objętym ich działaniem, pieniędzy za przejazd, za prawo pobytu oraz prawo zakupu żywności. W tej sytuacji dopływ siły roboczej na wyspę zmniejszył się. Wówczas organizacje przestały specjalizować się w ochronie byłych przestępców, a zajęły się całkiem innym interesem.

Zaczęły się porwania. Nie masowe, co prawda, lecz za to systematyczne. Rocznie zniknęło z innych kontynentów około tysiąca osób. Za każdym razem, kiedy usiłowano ukrócić poczynanie bandy, miejscowe gangi doprowadzały do tego, że stawały salvirańskie fabryki. Organizacje te miały przemożny wpływ na całe życie owego dziwnego kontynentu. Patrole Rady zlikwidowano pod ich naciskiem.

Rozpoczęła się złota era dla „władców” Salviry, trwająca do dziś. W pewnym momencie owe organizacje wpadły bowiem na intratny, choć haniebnny pomysł. Przestano porwać ludzi. Zaoferowano im wysokie zarobki, wspaniałe warunki, pełny komfort, rozrywki, wypoczynek i możliwość powrotu w każdej chwili do rodzinnych stron. Niestety, tak tylko zapewniano w reklamach. W rzeczywistości niewielu z tych dziesiątek tysięcy ludzi, którzy dali się na to nabrać, powróciło do domów. Większość gangsterskie organizacje, przy pomocy nielegalnych i półlegalnych środków oraz szczelnych kordonów, uwięziły na wyspie.

Obecnie porwania zdarzały się tylko sporadycznie, ale Off był przekonany, że jeżeli za-szłaby potrzeba, natychmiast powróconoby do przerwanej przed laty procedury.

Reklamy z Salviry stale pokazywano w holo, laerach lub w świetlnych ulicznych gazetach, lecz już nikt nie dawał się na nie nabrać, a Strapor nie potrafił poradzić sobie przede wszystkim ze zdobyciem dowodów przeciwko poruszającym się swobodnie i bezkarnie przestępcom.

Istniejąca na Salvirze od lat sytuacja zbyt odpowiadała silnym i liczącym się osobom, aby można ją było radykalnie rozwiązać. Off nie wiedział dokładnie, co produkowały salvirańskie fabryki, ale sądząc z tego, że Tajna Rada i OS na wiele tutejszych sprawek przymykały oko, przypuszczał, że miało to coś wspólnego z TnL-em, Galaxem i innymi kosmicznymi organizacjami, rozwiązującymi obecnie problemy przeludnienia, czyli zagospodarowania innych planet, eksploatacji kosmosu itp.

Sytuacja rzeczywiście była krytyczna, ale według Offa i zapewne wielu jeszcze innych nic nie usprawiedliwiała stosowania wobec ludzi metod, jakimi tutaj się posługiwano. Opornych zmuszano do pracy torturami, posłuszeństwo wymuszano

również torturami. Próby oporu groziły utratą stanowiska, rodziny były prześladowane, dzieci bite, żony gwałcone, domy podpalane. Organizacja, w tej chwili już jedna i wszechpotężna, organizowała życie tych ludzi na swój własny sposób, według swojego uznania.

Behe i Ordez byli oczywiście członkami organizacji, o tym świadczył poziom ich życia, tyle że w tym momencie działali na własną rękę, bez wiedzy szefów i organizacji, przed którą musieli uciekać.

Zatrzymali się przed budynkiem z napisem DRUK I PIECZĘCIE DO UŻYTKU POWSZECHNEGO - A. DELISON SA.

Wysiedli. Off wyciągnął z kieszeni na piersi fon i włączył go. Otworzyli drzwi, dawniej zapewne oszklone, a teraz zabite pomalowaną na biało dyktą.

W środku panował niemiły odór. Zapach farby mieszał się z wonią świeżego brafu i lulecu. Jakaś skomplikowana maszyna sprzed co najmniej pół wieku, z kręcącymi się na zewnątrz wałkami i kółkami, hałasowała nieprzejętnie. Długi, metalowy wał sunął do końca krętej prowadnicy, wznecając kurz przy każdym uderzeniu w zamykający prowadnicę blok. Nad maszyną, skulony i wpatrzony w wędrujący wał, ślęczał niemłody już, piegowaty człowieczek w granatowym fartuchu. Był tak skupiony, że nie zauważył nawet ich wejścia.

- To on - powiedział odwracając się do Offa Ordez. - Pan Delison? - wrzasnął do człowieczka przekrzykując hałas.

Mężczyzna nawet nie drgnął, wpatrzony nadal w wałek. Ordez szarpnął go za ramię.

- Pan Delison?!!!

Delison popatrzył na niego nieprzytomnym wzrokiem.

- Pan jest Delison? - warknął poirytowany Ordez.

- Tak - wyszeptał tamten, przecierając nerwowym ruchem, okulary.

Przyglądał się nowo przybyłym badawczo, z uwagą, jakby chciał ich prześwidrować na wylot swymi wyblakłymi, niebieskimi oczkami.

- Tak. Delison to ja - powtórzył wyłączając maszynę, która wygasła z dźwięcznym świergotem. - Czym mogę służyć?

- Ten pan - Ordez wskazał Offa - ma kilka pytań.

- Słucham?

Off zwlekał małą chwilę. Zasadniczo nie był pewny, czy może zupełnie bezpiecznie mówić z drukarzem w obecności tamtych dwojga. Tacy ludzie jak oni zawsze mogli zagrać na dwie strony. W końcu jednak nie widział innego wyjścia, nie podobna przecież wyprosić przewodnika. Tamten stanął pod ścianą wspierając się niedbale o metalowe cielsko maszyny i zdawał się nie zwracać uwagi na toczącą się rozmowę. Off wiedział jednak, że pilnie notuje w pamięci każde słowo i być może robi to właśnie dlatego, że ma nadzieję coś na tym zarobić.

Postanowił mówić jasno. Owijanie w lunis nic by mu nie dało. Przyjechał tutaj, żeby dowiedzieć się jednego istotnego szczegółu: czy to ten sam człowiek włamał się do drukarni, który napadł na InL?.

- Zdarzył się tutaj dość dziwny napad...

- Tutaj, to znaczy w Sov, wszystkie napady są bardzo dziwne - przerwał mu drukarz, zwracając w stronę rozmówcy bardzo bladą twarz, na której piegi rysowały się z taką ostrością, że wydawały się prawie czarne.

- Wiem - rzekł Off. - Wiem. Ale ten napad był najważniejszy z tych, o jakich słyszałem. Interesuje mnie jeden, no, może dwa szczegóły. Jak wyglądał człowiek, który go dokonał?

- Jak wyglądał? Widzi pan, nie jesteśmy zgodni w opiniach na ten temat. W czasie napadu pracowaliśmy tu wszyscy, czyli w piątkę. Otóż każdy z nas zapamiętał inny szczegół rysopisu tego człowieka. Zgadza się o tyle, że był mężczyzną i to wysokim. Na pewno miał więcej niż 170j.

- Zaraz, zaraz - Off powstrzymał go gestem dłoni. - Przecież muszą istnieć jakieś stałe punkty jego rysopisu. Na przykład kolor włosów, oczu, barwa skóry, timbre głosu czy coś w tym rodzaju... No i chociażby ubranie, rękawiczki lub ich brak właśnie.

- Widzi pan - człowieczek był wyraźnie zakłopotany. - Niech pan nie pomyśli, broń Wielki Panie, że sobie kpię albo że zwariowałem. ^Nic nie poradzę na to, że zdarzyło się tak, a nie inaczej. Widzi pan...

- Proszę się streszczać - Off uciął tłumaczenia, a piegowaty jak uczeń, który rozgniewał profesora, międląc w palcach granatowy rękaw, popatrując bojaźliwie na Ordeza, wił się w ukłonach i przeprosinach.

- Najmocniej, najmocniej przepraszam. Już mówię wszystko po kolei. Z tym widzeniem to było tak, że dwojgu z nas wydawało się, że człowiek, który tu wtargnął, miał skórę niebieskawą, bardzo jasną, co wskazywałoby na jego mieszane tropsjańsko-vollańskie pochodzenie, natomiast pozostałej trójce wydawał się bardziej fioletowy, w każdym razie mocno niebieski; więc albo czysty tropsjańczyk, albo mieszaniec tropsjańsko-piunelijski. Dalej, według czworga z nas, oczy miał granatowe, a Libliju, mój zastępca, twierdzi, że wyraźnie ciemnożółte. Jeśli chodzi o włosy to również nie było zgodności. Każdy widział w tym wypadku co innego - drukarz przerwał, próbując wyczytać coś z nieprzeniknionego wyrazu twarzy Ins Offa.

Ordez żuł gumowego cukierka przypatrując się piegowatemu z rozbawieniem. Off był w tej chwili przekonany, że drukarz nie kłamie. Miał pewność, że nie kłamie, a jednocześnie to, co mówił, nie pasowało jakoś do stworzonej uprzednio, tuż przed wyjazdem, hipotezy. Powoli przestawał rozumieć. Im dłużej słuchał, tym mniej rozumiał.

- Ten człowiek - ciągnął drukarz - nie odezwał się do nas ani słowem. Wyciągnął kartkę, na której coś było napisane, i już wiedziałem, że trzeba mu to powielić i to natychmiast, odkładając całą swoją robotę na bok. W tym momencie zauważyłem, że Libliju już rozkręca prasę, a lbader rozkłada warsztat i zabiera się do składania tekstu. Ema zdejmowała ledwo rozpoczęty druk z maszyny i przygotowywała nowy lulec, Leiso cięła braf. Coś się wtedy we mnie zbuntowało. Pomyślałem, że nie można pozwalać byle jakiemu facetowi sobie rozkazywać, bo to do niczego nie jest podobne. I wtedy zauważyłem, że on patrzy na mnie. Serce

za biło mi gwałtowniej i podeszło prawie do gardła, zrobiło mi się tak zimno, że aż zacząłem szcząkać zębami i poczułem, że nie sposób cokolwiek zrobić. Trzeba się brać za drukowanie i to czym prędzej. Wzrok miał nieludzki. Kierował nami bez przerwy. Pracowaliśmy do samego rana i wyczerpaliśmy cały zapas brafu. Ulotka była niewielka.

- W ilu egzemplarzach odbiliście tę ulotkę?

- Dokładnie nie powiem, bo nie pamiętam, jaki mieliśmy wtedy zapas brafu. Na pewno ponad 50 000.

- I co dalej?

- Dalej kazał nam się powiązać sznurami do pakowania.

- Nic nie mówił?

- Kierował wzrokiem.

- Czy zgłosiliście to komukolwiek?

- Nie.

- Dlaczego?

- Widzę, że pan tu nie mieszka. Pan przyjechał z zewnątrz?

- Może.

- Mój drogi panie - z piegowatego drukarza wyparowała cała nieśmiałość. - Mój panie kochany. Tam, na wolności, jest na Gisgervantos...

Ordez znieruchomiał. Człowieczek przylgnął do Offa całym ciałem i szarpał go za klapy kombinezonu.

... - Mój panie, jedź do niej, tam na Gisgervantos... jest moja żona. Powiedz jej...

Off próbował się odsunąć. Oczy drukarza zaszły mgłą, a policzki zapłonęły nagle rumieńcem. Z jego ust wydobywał się potok, lawina, nieprzerwana kaskada słów, nieskładnych i pozornie niepowiązanych.

- Moja żona w Vestea na Gisgervantos... Powiedz - krzyczał mu niemal do ucha. - Musisz powiedzieć, że ja... ja tutaj - Offowi wydawało się, że drukarz zaraz się udusi, oczy wyszły mu na wierzch. - Mój panie, musisz... ja tutaj od szesnastu lat... powiedz jej, że żyję, żyję w Sov... por... - potężny cios drobnej, ale za to wprawnej dłoni Ordeza wbił Delisona w betonową podłogę.

Drukacz uderzył głową o ziemię z dużą siłą, ale nie stało mu się nic poważnego. Nie dawał za wygraną. Zakrywając dłonią rozbite usta, pełził w stronę Offa i powtarzał bez przerwy to samo. Ordez pociągnął Insa za rękę.

- Chodźmy - powiedział. - Już niczego się tutaj nie dowiesz.

Behe, której do tej pory nie było widać ani słyszać, oderwała się od ściany i kopniakiem powaliła Delisona na posadzkę.

- Milcz, ścierwo - wycodziła.

Off tak był tą sceną zaszokowany, że nie za-protestował, gdy wyprowadzili go na ulicę. Biegł za nimi charkot i błagalne wycie Delisona bełkoczącego z zapamiętaniem. Ordez otworzył drzwiczki. Kiedy je zatrząskiwiał za Offem, Delison ukazał się na progu.

- Panie!! - krzyczał. - Musisz jej!... Ordez włączył silnik. Warkot zagłuszył słowa. Delisoń uczeplił się drzwiczek. Strad ruszył gwałtownie. Drukarzem trzepnęło o chodnik. Off obejrzał się za siebie. Piegowaty człowieczek biegł za stradem, krzycząc coś i machając zakrwawionymi rękami. Nikt z przechodniów się nie zatrzymał ani nie zainteresował rozgrywającą się sceną. W chwilę później byli za zakrętem.

- To wariat - powiedział z niemal autentycznym przekonaniem Ordez. - Nie można wierzyć ani jednemu jego słowu.

- Wydawało mi się, że to, co mówi, brzmi logicznie - zaproponował Off, który zdążył już przyjść do siebie.

- Logicznie? - zaśmiał się przewodnik. - Ta cała paplanina o różnych kolorach skóry i nakazywaniu oczami? Chyba pan nie bierze poważnie takich bzdur?

- Zastanawiam się.

- Dobrze sobie. Tutaj nie ma nad czym się zastanawiać. Oczywiście nonsensy.

- A o co mu szło na końcu?

- Chyba dostał jakiegoś ataku.

- Owszem. Ja też myślę, że dostał ataku, ale nie był to atak choroby umysłowej.

- A czego?

- Histeria bywa reakcją na różne przeżycia. W jego sytuacji może być zupełnie uzasadniona.

- Co tam pan wie na ten temat! Nic. Mówię panu, że to wariat.

- Za bardzo chcesz, Ordez, żebym w to uwierzył. Jaki masz w tym cel?

- Ależ skąd - przewodnik gwałtownie zaprzeczył. - Co mnie to zresztą obchodzi. Nie mój interes. Może mu pan wierzyć, jeśli się panu tak podoba.

Prowadził dalej w milczeniu, uśmiechając się z lekka do siebie. Off czuł jednak, że przewodnik gra. W sobie tylko znanym celu stara się zbić Offa z tropu. Były to prymitywne i nieudane próby.

Behe siedziała sztywno na tylnym siedzeniu. Off ujrzał w lusterku jej twarz. Malowała się na niej z trudem tłumiona pasja. Ta kobieta naprawdę wyglądała w tej chwili odpychająco, Pobladła skóra, zaciśnięte aż do bólu wąskie jak szrama usta i oczy ciskające na wszystkie strony wściekłe spojrzenia. Off postanowił mieć się na baczności.

Od momentu zatrzymania Trzeciego Dyrektora Instytutu Lotów, Estora, Strapor przeżywał istną nawałnicę. Najpierw zwalili się dziennikarze wietrzący w tym oczywiście sensację, następnie pracownicy InL-u, którzy zresztą jako pierwsi poinformowali wścibską prasę o incydencie, potem, zaniepokojeni wyżsi funkcjonariusze Straporu, na czele z Taquanarą, wreszcie ktoś z OS, z wielkimi pretensjami.

Agis i Dager mieli według poleceń Offa za żadne skarby nie wypuszczać Estora aż do powrotu Insa z Salviry. Nie było to proste zadanie. Agis na wszelki wypadek opuścił posterunek, ruszając do miasta rzekomo w poszukiwaniu jakichś śladów tajemniczego napastnika. Dager wytrzymał jakoś sam napór pytań i interwencji, choć z wielkim trudem i poświęceniem. Nieocenione usługi oddawał mu Watir,

uprzedzający Dagera o każdym nadejściu szefa Straporu, który w furia usiłował znaleźć kogokolwiek, kto naważył tego bigosu. W gabinecie Taquanary toczyła się burzliwa dyskusja z udziałem OS, a spodziewano się także kogoś z Tajnej Rady.

Dager zastanawiał się, a właściwie próbował się zastanawiać w nielicznych wolnych chwilach, o co właściwie chodziło Offowi, gdy wydawał ten nakaz zatrzymania. Estor z pozoru pasował doskonale do roli głównego podejrzanego, lecz na pewno nim nie był. Czyż zdolny byłby do zorganizowania napadu i popełnienia tylu morderstw? Może miałby na to i możliwości czasowe, natomiast zupełnie nie przylegał charakterologicznie do owych zdarzeń. Zwłaszcza że musiałby mieć zleceniodawcę i w takim wypadku to nie o niego by chodziło, tylko właśnie o owego zleceniodawcę. Estor nie podjąłby się na własną rękę rozgrywki z tak potężnymi siłami. Albo więc nie maczał w tym w ogóle palców, albo jest jedynie pionkiem. Posunięcie Ins Offa stawało się tym bardziej niezrozumiałe.

Dager siedział w swym pokoju czujny, w postawie ustawicznej gotowości do skoku przez tajne drzwi, na najłżejszy dźwięk zapowiadający szefa Straporu. Jak na razie przez pełne dwa dni udawało mu się unikać kontaktu. Watir zasłaniał się niewiedzą. Taquanara, nie orientując się, czym dysponuje i czego chce Off, wolał do jego przybycia nie podejmować decyzji. OS cismęło, jak mogło, dziennikarze wzmagali ogólne zamieszanie, w kolorowych ulicznych gazetach pojawiały się ich wysrane z palca, coraz bardziej drastyczne i dramatyczne wersje zatrzymanie Estora, coraz więcej wizofonów od ludności docierało do komendy. Personel biegał z kąta w kąt, powtarzając sobie na ucho, że Off znowu narozrabiał. Taquanara, tym razem przekonany, że Off miał poważne powody, żeby zatrzymać Estora, występował twardo w obronie uprawnień Straporu i wymyślał coraz to nowe formalności, stające niespodziewanie na przeszkodzie zwolnieniu. Z drugiej strony czuł, że jeśli okaże się, iż Off nie ma nic nadzwyczajnego w zanadrzu, to grozi mu dymisja i jego kariera jest już skończona. Przerzucał więc częściowo winę na Offa.

Agis udawał, że nic nie wie. Płatał się po mieście, rozwiązując rysopis „Nieuchwytnego”, jak go w myślach nazywał, w stacjach wynajmu bobonsów i na parkingach stradów, gdzie w każdej chwili można wypożyczyć pojazd po krótkiej przymiarce.

Odwiedził też w szpitalu strażnika Redana, który powoli przychodził do siebie. Okazało się jednak, że pamięć z ostatnich tygodni ma dokładanie wyczyszczoną. Fragmenty retroskopów pozostałych ofiar Nieuchwytnego nie przynosiły nic nowego. Wielokrotne przesłuchiwanie taśm spowodowały jedynie ich szybsze zdarcie, nie przyczyniając się do rozszyfrowania zagadki.

Co zagorzalsi rewolucjoniści z Linii Wielkich Jezior nawoływali do obalenia Straporu siłą i rozpoczynali organizowanie wieców, co utrudniało „Porządkowej” zamykanie strzeżonego w tamtym rejonie sektora. Część sił skierowano do pilnowania demonstrantów w Nordica, których trzeba było chronić przed innymi demonstrantami z tak zwanej LIGI BYŁYCH FUNKCJONARIUSZY, co znacznie osłabiało kordon i opóźniało akcję dokładnego przeszukiwania Linii Wielkich Jezior, przy której teraz wrzało.

Na to wszystko napatoczył się Off po powrocie z Salviry. Rzecz jasna, tak jak przypuszczał, nie obeszło się bez pojedynku z przewodnikiem.

Udało mu się z tego wyjść cało właściwie tylko dzięki sprytnej mistyfikacji. Off udał bowiem, że zgadza się na współpracę z Ordezem, ale w interesie ich obu odpowiednie poręczenie da mu w ostatniej chwili. Ordez, przeceniając swoje możliwości i nie doceniając Offa, zgodził się na to. W pojedynku na szosie, w pobliżu miejsca spotkania z przewoźnikiem Ordez stracił pamięć, a Off zyskał lagownicę, którą wiozł właśnie ze sobą. Szczęśliwie udało mu się dotrzeć do swego gabinetu. Dager powitał go westchnieniem ulgi.

- Myślałem już, że nie żyjesz - zaczął, ale

Off nie pozwolił mu skończyć.

- Co słyhać w śledztwie?

- Prowadzi je Agis, od niego dowiesz się szczegółów. Ja toczę wyłącznie walkę o utrzymanie w areszcie Estora. Musisz wiedzieć, że rozpętała się tutaj batalia nie gorsza niż w czasie Drugiej Rewolucji.

- Zwalniamy go - powiedział Off. Powoli wracały mu siły. Był jednak porządnie niewyspany. Przetrzęsnał kieszenie w poszukiwaniu pastylki aspanolu i szybko ją połknął, popijając wodą ze szklanki Dagera. Dager otworzył już usta, żeby mu wygarnąć, co o tym wszystkim myśli, ale zrezygnował i osunąwszy się na fotelu, pogрузzył w zadumie.

- Nie chciałbym być w twojej skórze, a tym bardziej w skórze Taquanary. Będziecie mieli na karku niejedną grubą rybę, zwłaszcza OS...

- Idę do OS porozmawiać z nimi.

- Co?! - Dager wydawał się tak zaskoczony, jakby zobaczył ducha. - Po co?

- Nasz przeciwnik, a właściwie sojusznik okazał się kimś, o kim nawet przez sekundę nie pomyśleliśmy w swych rozważaniach.

- Któż to taki?

- Jeszcze za wcześnie na mówienie z całkowitą pewnością. W każdym razie...

- W każdym razie nie jesteśmy w stanie schwytać tego człowieka...

- Tak, bo to prawdopodobnie nie człowiek... Cisza po tym stwierdzeniu trwała bardzo długo. Rozlegało się tylko bzyczenie kręcącej się pod sufitem złotej muchy. Przedłużające się milczenie przerwał dzwonek fonu. Na ekranie pojawił się Watir.

- Stary chce rozmawiać z Ins Offem - powiedział.

- Łącz - zdecydowanie rzekł inspektor.

- Dostaniesz za swoje - burknął do siebie Dager.

Błyszno zielonkawo tło i wyłonił się z niego Taquanara. Minę miał posępną, oczy zaczerwienione. Musiał nie spać ze dwie noce. Z miejsca zaczął ostro.

- Czy wiesz, co wyprawiasz!! - wrzeszczał. Obwisłe policzki nadymały mu się przy tym i purpurowiały, a głos drżał niebezpiecznie.

- Czy ty nigdy nie będziesz się konsultował w sprawie swoich, zwłaszcza takich, posunięć?! Robisz z nas błaznów i narażasz na nieprzyjemności! Czy przynajmniej masz coś na swoje usprawiedliwienie?!

- Właśnie poleciłem wypuścić Estora. Przez chwilę zdawało się, że Taquanara wyzionie ducha. Ze zdenerwowania zabrakło mu tchu i nie był w stanie wykrztusić słowa. Off wykorzystał ten moment.

- Zasadniczo - powiedział spokojnym i rzeczowym tonem - zamknąłem Estora, ponieważ w pierwszej chwili wydawał mi się bardzo, najbardziej podejrzany. Ale tutaj nie trzeba zbyt dużej wnikliwości, żeby stwierdzić, że prędzej mógłby zostać ofiarą. Dlatego też zamknąłem go dla jego własnego dobra: aby uchronić przed zamachem. Spodziewałem się, że nastąpi zamach i na niego. Teraz wiem, że niepotrzebnie brałem taką ewentualność pod uwagę, ale to wiem dopiero teraz.

- A czy wiesz - Taquanara nie starał się panować nad swym głosem, który zmienił się w płaczący falset. - Czy wyobrażasz sobie, co nas teraz czeka?

- Nic. Najdalej jutro o tej porze już będzie po wszystkim i będziemy mogli spać spokojnie.

- A OS?

- Właśnie chcę z nimi porozmawiać, tylko jeszcze nie w tej chwili. Wcześniej muszę załatwić inną sprawę, znacznie ważniejszą. Na kiedy przygotowano start statku?

- Nie wiem. Dowiesz się od tego faceta z Tajnej Rady, który przyjdzie tu za godzinę, będzie też u mnie dwóch z OS, no i ty. Masz jedną godzinę na tę swoją sprawę.

Szef Straporu wyłączył się tak nagle, jak nagle się włączył.

- Dager! - powiedział nieco zbyt uroczyście Off. - Zbliżamy się do finału. Wydaj rozkaz zwolnienia Estora. Czy Agis rozmawiał z Erą?

- Nie wiem. W ogóle się tu nie pokazywał. Pewnie jest teraz w domu na obiedzie.

- Połącz mnie z nim.

Połączenie uzyskali błyskawicznie, pora obiadowa była najbardziej odpowiednią do rozmów fonicznych chyba na całym świecie i we wszechświecie. Agis napychał się lasurismem i jak zwykle popijał złotym copeauskim.

- Czy rozmawiałeś z Erą?

- Cieszę się, że cię widzę, już myśl...

- Odpowiadaj prędzej, zamiast się rozczulać. Nie mam czasu!

- Chwileczkę - Agis odsunął od siebie niemal opróżniony kielich. - Z jaką Erą?

- Z tą od Foya. Widzę, że wypadła ci z pamięci.

- Rzeczywiście - Agis puknął się w czoło. - Już tam lecę - zamierzał wstać.

- Nie trzeba - powstrzymał go Off. - Sam to załatwię, a ty masz tu być najdalej za dwadzieścia min, żeby zdać mi relację z tego, co zrobiłeś w śledztwie do tej pory.

Nim którykolwiek z jego współpracowników zdążył otworzyć usta, już go nie było w pokoju. Wyfrunął z niego niczym duch, porywając ze sobą ciemną smugę papierosowego dymu.

- Tak, tak, stary - powiedział w zamyśleniu Dager. - Za dwadzieścia min, dekwoni-ku, odpowiesz za pozostawienie mnie samotnego na polu walki.

- Może odpowiem, a może się przysłużę - odparł tajemniczo Agis.
- Widać masz coś w zanadru - Dager uśmiechnął się kwaśno. - Wiesz, że stary kazał wypuścić tego Estora?
- Właściwie spodziewałem się tego.
- Wiesz więcej, wiesz dużo więcej - stwierdził Dager.

Agis wyłączył się. Dager wyciągnął się w fotelu i zapalił papierosa. Po raz pierwszy od wielu lat znowu zapalił papierosa. Wnosił z tego, że jest zdenerwowany i napięty do ostateczności. Tylko taki stan mógł go sprowadzić na drogę stłumionego od dawna nałogu.

Na ulicy panował ruch. Off wyłączył automat stradu, ponieważ w tłoku jedynie tą metodą można się było posuwać w miarę bezkolizyjnie i szybko. „Mknął”, a właściwie pełzał w ciżbie innych pojazdów, naziemnych, podziemnych, powietrznych, podwodnych, nawodnych i Jasny Pan wie jeszcze jakich, ku Linii Wielkich Jezior, gdzie mieścił się szpital, w którym przebywała Era.

Droga do szpitala biegła w pobliżu hotelu

Trilf; wiecznie kręcili się tu przeróżni ludzie szukający kontaktu z cudzoziemcami. Dalej prowadziła przez nasłonecznione o tej porze rondo Hlar, z olbrzymim pomnikiem Ghelara pośrodku, koło monumentalnej fasady Muzeum Wnętrz Historycznych, wreszcie bulwarem Nutpen, który przecinał na dwie równe części wiecznie zielony Crap Minar, uchodzący za letnie artystyczne centrum miasta. Pozostawało jeszcze przejechać sześciopoziomowym mostem nad Termi na jej drugą stronę.

Tutaj rozpoczynała się już inna dzielnica, a wraz z nią zupełnie inne pejzaże. Nie widziało się tak wielkiego rozmachu w architekturze budowli i stradostrad, ulice stały się węższe, choć wcale nie były starsze, znikły instytucje kulturalne, pojawiły się natomiast zabudowania biur i organizacji ekonomicznych, produkcyjnych.

Mimo węższych ulic, panował tu ruch nawet większy niż po drugiej stronie rzeki. W miarę posuwania się wzdłuż tej linii coraz więcej było siedzib poważnych organizacji i instytucji, aż pod koniec alei dojeżdżało się do skupiska lokali liczących się i silnych koncernów, fundacji, zjednoczeń, czy ministerstw, z Zarządem Gospodarczym Phasangu na czele.

Tutaj strad Offa skręcił w wąską uliczkę wiodącą pod górę. Na wzniesieniu usadowiło się olbrzymie osiedle mieszkaniowe Eldeiso Plomsesa (Osiedle Plomsów). O trafności nazwy można się było przekonać podjeżdżając pod osiedle właśnie od tej strony - ostro wznoszącym się bulwarem Bools. Nawisie, baniaste konstrukcje, zawieszane na smukłych walcowatych podporach, wyglądały identycznie jak dojrzałe owocniki plomsa Harmala.

Inspektor przejechał dosyć szybko między budynkami osiedla i skręcił w. przecnicę, wąską i zarośniętą po obu stronach pnączami. Ulica ta krzyżowała się z Linią Wielkich Jezior. Stracił około pięciu minut na włączenie się w trójpozio- mowy węzeł. W końcu udało mu się to i jechał wzdłuż bajecznie kolorowej Linii.

Tutaj, między Linią a Główną, mieściło się olbrzymie zbiorowisko i półkoczownicze osiedle rzeczników Nowej Ofensywy.

W domach z dykty czy falistej blachy, w różnobarwnych namiotach lub wprost pod gołym niebem, osłonięci czasem tylko kocami i rzadkimi gałęziami zagajników sur i haloe, przy nieustającym śpiewie i zabawie, w ciągłym ruchu pędzili żywot najdziwniejsi ludzie, jakich wydała ta ziemia, ludzie odrzuceni przez społeczeństwo, niezrozumiani, nieszczęśliwi z jakichś niejasnych powodów.

Zapomniani geniusze w bajecznych strojach, kontestatorzy z byle powodu i również z ważnych powodów, a obok nich męty i kanciarze, robiący na tej całej zbieraniu interesy; wieszczowie, którzy nie mogli nic napisać, a także tacy, którzy nie potrafili sami zrozumieć tego, co piszą, muzycy, których nikt nie chciał słuchać i muzycy, których słuchanie sprawiało tylko ból; rzeźbiarze pozbawieni środków na realizację swoich rzeźb, malarze pozbawieni niezbędnych mecenasów swej sztuki, ponieważ w niczyich oczach nie znajdowali uznania.

Ludzie, uparcie trzymający się zasad dziwacznej sztuki i filozofii, mistycyzmu, badania zjawisk nieujętych żadnym programem naukowym, którzy swej prawdy nie chcieli dowieść inaczej, jak tylko za pomocą tych właśnie dziwacznych dyscyplin, zajmując się nimi nieustannie, bez pędzli i instrumentów, bez laboratoriów i czasem zwykłego notatnika, tutaj, pod gołym niebem, w rzadkich zagajnikach Linii Wielkich Jezior.

Nikt im tego nie zabraniał, nikt się nimi nie zajmował. To, co robili, było zawsze tylko ich sprawą. Mało kto się zastanawiał nad Linią Nowej Ofensywy, jak sami nazywali tę stradostradę.

Off nie miał pewności, czy to dobrze, że nikt się nie zajmuje mieszkańcami osiedla przy Linii Wielkich Jezior, myślał, że czasem dobrze byłoby ich posłuchać. Wyznawcy Nowej Ofensywy stanowili jednak zdecydowaną mniejszość i nie liczono się poważnie z ich zdaniem, nie mogli więc mieć prawie żadnego wpływu na ważniejsze zdarzenia, żyli bez wątpienia na marginesie.

Mimo wszystko stąd wyszedł na przykład taki Yerdna. To, czego dokonał, uznane zostało za wybitne. Czy dlatego, że obiektywnie naprawdę było wybitne, czy też dlatego, że zostało świadomie nagięte, spłaszczone do uznawanych form i wymiarów? Niełatwe problemy. Nieproste i niejednoznaczne pytania, na które trudno znaleźć proste, jednoznaczne odpowiedzi.

Phasang wyrósł już z prostoty czasów prymitywnych, przerósł je zasięgiem wiedzy. Ale czy jego sile intelektu towarzyszyła równie wielka siła moralności, etyki także?

Świadomość jednostek - tak się Offowi zdawało - jakoś nie nadążała za zmieniającą się w szalonym tempie cywilizacją i w miarę upływu czasu, im dalej technika szła naprzód, tym bardziej w tyle pozostawiała za sobą świadomość. Świadomość nie kształtowała się w swej zasadniczej części na bazie materialnych osiągnięć, lecz w sferze oddziaływań duchowych, indywidualnie, z indywidualną prędkością, charakterystyczną dla każdej jednostki i zależną przede wszystkim od

sposobu nastawienia tej jednostki do otaczającej ją rzeczywistości. Im bardziej nastawienie było konsumpcyjne, tym. bardziej rozwój świadomości powolny.

Dlaczego tak się działo? Off zastanawiał się nad tym i dawniej, ale teraz jego własne problemy etyczne, problemy indywidualnego widzenia, stosowania się do przyjętych norm, skłaniały go częściej do refleksji. Od momentu, kiedy zachwiał się świat hierarchii służbowej i regulaminów, kiedy poznał kogoś, z kim chciał się dzielić wszystkim, co było oczywiście zabronione i stawiało go automatycznie poza nawiasem, zaczął instynktownie czuć sympatię do tych kolorowych dziwaków.

Dlaczego więc rozwój świadomości był odwrotnie proporcjonalny do stopnia konsumowania? - rozważał. - Czyżby sam fakt konsumpcji? Nie. Na pewno nie. Rzecz - według Offa - nie tkwiła w samej potrzebie konsumpcji, lecz w metodzie jej zaspokajania.

Jak to wygląda? Większość ludzi, i to przytłaczająca większość, jest bezkrytycznie nastawiona na branie i to w zakresie jak najszerszym, tyle, ile tylko może znieść umęczone ciało. Bez żadnej selekcji, stałego ukierunkowania potrzeb. W takim człowieku mieszają się żółte copeauskie z filmami Kezara, filozofia Aykrucangu z wyścigami surmingów, wycieczki w Cieniste Góry z rozebranymi kobietami czy mężczyznami, owoce lasuris z tupangami, wrażenia wyniesione z pobieżnie obejrzanych rzeźb czy przeczytanej literatury z jakimiś pogłoskami naukowymi, strzępami informacji, szczątkami przeżyć, kawałkami kotletów.

Taka postawa mogłaby się zdawać pożądaną wszechstronnością. Wszechstronność! Bardzo pięknie. Ale ta wszechstronność, pozbawiona koniecznej harmonii, jest bezmyślnym wysysaniem każdego soku, a przecież nie każdy sok musi być koniecznie zdrowy dla danego organizmu.

Środki techniczne rozwinięte do niewyobrażalnych granic i środki wyrazu rozbudowane i zróżnicowane w walce konkurencyjnej stworzyły tak szeroki wachlarz możliwości, tak wielowarstwową i złożoną rzeczywistość w zbyt wczesnym stadium rozwoju psychicznego człowieka, że spowodowały tylko w jego umyśle galimatias. Człowiek zachowywał się jak dziecko w sklepie z zabawkami. Chciał mieć wszystko, co mogła mu dostarczyć mama-technika. Nie potrafił wybrać, brał to, co wpadło mu w rękę.

Dla rozwoju świadomości musiał to być hamulec, nie zaś bodziec, bo świadomość nie kształtuje się z galimatiasu, lecz ze starannie dobranych, wyizolowanych z rzeczywistości momentów, które w umyśle wiążą się w harmonijną całość, mogącą dopiero stanowić bazę do jej rozbudowywania.

Oto dlaczego świadomość pozostawała w tyle, oto dlaczego czasami kierowano się średniowieczną moralnością, ciasnymi zaściankowymi ambicjami, bo moralność nie rozwijała się, ambicje nie zmieniały swego charakteru w sytuacji nastawienia na niekierunkowaną konsumpcję.

Lecz przecież rzeczywistość nie dlatego jest tak wieloraka, że każdy powinien być wieloraki podobnie jak ona. Rzeczywistość jest wieloraka tylko dlatego, żeby każdy mógł dobrać z niej odpowiednie dla siebie budulce, czynniki pierwsze dla

budowy swego wnętrza i potem, w wyniku rozbudowy swych wewnętrznych wartości, odczuć i zdolności, dać rzeczywistości coś nowego, co jeszcze bardziej by ją urozmaiciło, dać jej coś, na czym ktoś inny będzie się mógł oprzeć jako na czynniku postawowym w budowaniu własnych wartości wyjściowych.

Niestety, na obecnym etapie większość, i to bardzo znaczna, chciała z dziecinnym uporem budować z niewłaściwych budulców. Do budowy domów (w przenośni, oczywiście) chciano używać papieru i słodkich cukierków, do wyrobu czekolady, gipsu i brązowej farby, do podróży kosmicznych przykładano miarę średniowiecznego phasangocentryzmu i postawy wojowników prosto z punelijskich buszów.

Strad samoczynnie wykołował przed szpitalem i zatrzymał się na parkingu. Off wysiadł i popatrzył na czarny, wysoki mur. Naokoło panował harmider jak w ogrodzie zoologicznym.

- Oni - pomyślał o koczownikach - są przynajmniej bardziej krytycznie nastawieni do cywilizacji, dlatego nie czerpią z niej byle czego, a to już jest coś, choć ich bunt ma formy także dziecinne. Ważniejsze, że zauważają, jeśli nie świadomie, to przynajmniej instynktownie, hamulce działające na ich rozwój. Chyba odeszli już daleko. Może to oni są przyszłością tej ziemi, a nie ich bezkrytyczni równieśnicy, przykładnie wpatrzeni w swych profesorów. Kto wie? - Off uśmiechnął się do tej przewrotnej myśli. - Kto wie?

Szpital był oczywiście ostatnim krzykiem. techniki. Nowocześnie skonstruowany mur neutralizował hałas. Chociaż na zewnątrz panowała wrzawa trudna do zniesienia, po drugiej stronie, na terenie szpitalnym, było zupełnie cicho. Park, do którego wchodziło się przez główne wejście, wypełniały intensywne, kojące zapachy. Kolor roślin, śpiew ptaków i brzęczenie owadów wydawały się być doskonale zsynchronizowane z otoczeniem. Pewnie bardzo starannie dobrano florę i faunę tego mikrorezerwatu.

Sam budynek mieścił się w głębi, między orzeźwiająjącymi fontannami i sadzawkami, rozmieszczonymi na wielu poziomach. Wokół sadzawek i baseników urządzono klomby i ustawiono kamiennne ławeczki dla odwiedzających. W każdym miejscu, we wszystkich zakątkach parku i wewnątrz budynku, rozlegała się przedziwna muzyka; dalekie poświsty, odległe dzwonienia, niknące frazy piamoni, dramindy, głuche odgłosy peraków.

Ściany szpitalnego budynku zbudowano z przezroczystego tworzywa. Widać było z zewnątrz poszczególne sale i poruszających się w nich ludzi. Dla celów terapeutycznych zastosowano tu proste odwrócenie: z zewnątrz do sal docierały obrazy wytłumione, rozmyte, natomiast to, co się działo w środku, było doskonale widoczne z ogrodu. Dawało to taki efekt, że większość chorych starała się uaktywnić, wychodziła, przebywała częściej w parku. Była to przedziwna reakcja psychologiczna. Może krył się w tym jakiś sens, w każdym razie Offowi nie wydało się to rewelacyjne. Budynek wyglądał jak przecięte poziomo jajko, którego połówka wystawała nad ziemię, a druga, niewidzialna spoczywała pod ziemią. Wszystkie gabinety i sale zabiegowe mieściły się z pewnością w podziemiach.

Kiedy inspektor przekroczył próg, zaraz przyczepił się do niego choinjsowaty parasol inforu.

- Czym mogę służyć? - mówił miłym barytonem. - Czym mogę służyć?

Było w tym barytonie coś z kobiecej uległości, prośba, której nie sposób odmówić, niemal błaganie o skorzystanie z usługi.

- Chciałem rozmawiać z panią Erą... - zawahał się, zapomniał nazwiska.

- Era? - powtórzył automat. - Jest tylko jedna pacjentka o takim imieniu. W tej chwili załatwia formalności związane z wypisaniem.

- Gdzie mogę ją znaleźć?

- Na pierwszym poziomie.

- Dziękuję - Off zawsze się wzdygał przed dziękowaniem elektronicznym pudłom, obojętne, jakie by nie były mądre, ale w końcu robił to odruchowo.

Infor pokłonił się i oklapł, oczekując, aż będzie znów komuś potrzebny.

- Jeszcze jedno - zatrzymał się w pół kroku.

- Czym mogę służyć? - infor wyprostował się i rozblił kolorem.

- Jaką postawiono diagnozę?

- Uraz, szok psychiczny, lekki. Już wszystko w porządku.

Off skierował się na pierwszy poziom. Przez chwilę myślał, jak długo taki automat przechowuje w pamięci rozmowę. Przecież nie powiedział, o kogo mu chodzi, a otrzymał odpowiedź. Dał sobie spokój. Już dawno przestał się interesować technicznymi nowinkami. Były mu obojętne do tego stopnia, że nie bardzo wiedział, jak to się dzieje, że tylko on może wsiąść do własnego stradu i nikt inny bez jego zezwolenia. Wiedział, że chodzi tu o odciski palców, ale w jaki sposób odbywa się ich zbieranie i selekcja w automacie, nie miał pojęcia. Z Erą zderzył się w drzwiach. Rzecz jasna nie pamiętała go.

- Pani ma na imię Era? - nazwiska dalej nie mógł sobie przypomnieć, a może nie znał go w ogóle?

- Tak. O co chodzi?

- Pani mnie sobie nie przypomina?

- Rzeczywiście - wyglądała teraz o wiele poważniej niż wtedy, kiedy widział ją pierwszy raz.

- Jestem Ins Off ze Straporu.

- Moglibyście dać mi spokój po tym, co przeżyłam... - cała się zjeżyła.

- Niestety, nie możemy dać pani spokoju - przerwał. - Nie chcę zresztą mówić z panią o samym Foyu - wypowiedział to nazwisko z lekką obawą.

Nie chciał jej urazić, ale musiał wrócić do rozpoczętej rozmowy.

- Chcę mówić o człowieku, który go zamordował.

Nie zareagowała tak, jak się spodziewał.

- Dobrze - powiedziała. - Z Foyem byłem związana raczej finansowo niż uczuciowo, ale takie zdarzenie, rozumie pan... - popatrzyła na niego wyczekująco.

- Tak, rozumiem - przytaknął.

- Więc o co chodzi?

- O rysopis napastnika i przebieg wydarzeń. Jest pani jedynym bezpośrednim świadkiem.

- Chyba nie podejrzewa mnie pan...

- Nie, nie - uśmiechnął się. - Ani przez chwilę nie pomyślałem o tym.

- Od czego mam zacząć? - była trochę napięta i zdenerwowana.

- Od momentu, kiedy go pani zobaczyła.

- Dobrze. Kiedy włączyłam holo, zadzwonił ktoś do drzwi. Poszłam otworzyć.

W progu stał wysoki mężczyzna, włosy miał prawie białe.

- Z jakim odcieniem?

- Wydawało mi się, że żółtym.

- A skóra?

- Nie rozumiem?

- Jaki był kolor jego skóry?
- Normalny. Białokremowy.
- Na pewno? Przypadkiem nie niebieski?
- Na pewno nie.
- Dobrze. Proszę dalej.
- Usta wąskie, oczy szare, niebieskoszare...:

Zresztą nie wiem, czy tego nie dopowiedziałam sobie już później. Kiedy otworzyłam, drzwi, stało się coś tak dziwnego, że właściwie nie potrafię tego nazwać słowami...

- Opanował pani wolę? Tak?
- Skąd pan wie? Czy już go złapaliście?

- Nie. Mniejsza z tym. Proszę mówić dalej. - Kazał mi iść do pokoju przed sobą i mówić przy tym, o sprawach, o których nie miałam pojęcia. Mówiłam o plażach, wycieczkach, wspólnie spędzonych dniach, o morzu, wakacjach i takich rzeczach. Nigdy nie byłam z nim nigdzie, a tym bardziej nad morzem, bo morze mnie męczy i nudzi. Nie lubię jeździć na plażę ani się opalać. Tak doszliśmy do pokoju i on wtedy wyciągnął z kieszeni jakiś przedmiot. Wtulił moją głowę w swe ramię... Strasznie się bałam. Teraz trudno mi to wytłumaczyć, ale przeczuwałam coś okropnego. Ten człowiek miał bardzo dziwny zapach, to jedyne odczucie, jakie mi pozostało. Materiał jego płaszcza był przesycony czymś, co mogło przypominać mafafę, aspanol, goierdimę, sama już nie wiem... W każdym razie zapach w sumie nieprzyjemny i przejmujący. Potem odepchnął mnie i wyszedł. Wszystko stało się tak nagle... Zobaczyłam wtedy Foya, opanował mnie zwierzęcy lęk, skądś wiedziałam, że on nie żyje i zawiadomiłam Strapor. To wszystko pamiętam jakby ze snu, z dużej odległości...

- Dziękuję - powiedział Off. - Dziękuję, pani Hater - wreszcie przypomniał sobie jej nazwisko. - Tylko tyle chciałem wiedzieć.

- Wszystko to było tak okropne, że do dzisiaj jeszcze na myśl o tamtym wieczorze dostaję gęsiej skórki i czasem czuję ten sam strach... - mówiła właściwie do siebie, a jej oczy błędziły gdzieś poza stojącym naprzeciwko Offem.

- Czy panią podwieźć? - zapytał.
- Nie - ocknęła się. - Dam sobie sama radę.

Skierował się do wyjścia. Wcale nie był przekonany, że całkowicie wyleczono tę dziewczynę. Najważniejsze, że uzyskał potwierdzenie swoich domysłów. Era Hater jeszcze inaczej widziała napastnika. Inaczej niż wszyscy współpracownicy Deliswna i inaczej niż Mózg Straporu. Były to niewątpliwie najważniejsze informacje, jakie udało mu się w trakcie tego szaleńczego „śledztwa na przełaj” zdobyć.

Strad Offa stał obwieszony przez członków Nowej Ofensywy. Grubas z potężną czarną brodą, którą sobie przydeptywał, kończył właśnie „fresk” na przedniej szybie. Kilku innych siedziało na masce z przodu i z tyłu. Nie przejęli się jego nadejściem.

- Może pozwolicie mi odjechać? - zapytał.

- Poczekaj, przyjacielu - zaczął łagodnie grubas. - Poczekaj. Już kończę dzieło.

Drugi, w spodniach majtających się nad kolanami i z pióropuszem wetkniętym za opaskę na włosach, zsunął się z maski i stanął przed nim w rozkroku.

- Złoty Inspektor? - rzekł wsłuchując się we własne słowa ze zdziwieniem. - Złoty Inspektor ze Złotego Miasta?

- Skończone - odezwał się w tym momencie grubas. Stanął obok tamtego. - Możesz mi przyjacielu... - zawahał się nad ceną - dać 5 truksów za moją robotę? - powiedział to tonem wielkiej łaski.

- Mogę - odparł Off. - Mogę, ale nie chcę.

- Trudno - rzekł grubas. - A może zechcesz mi przyrzec, że nie zmyjesz tego do jutra?

- Nie zechcę.

- Trudno. Żegnaj przyjacielu. Lubię szczerość.

- Ja także - powiedział Off zatrzaszkując drzwiczki. Do stradu podbiegł ten drugi.

- Masz ode mnie ten pióropusz - patrzył Offowi prosto w oczy. - Weź i nie wyrzucaj. To symbol naszej przyjaźni, weź i powieś na ścianie. Bardzo cię polubiłem.

- Ja was także - Off wziął od niego pióropusz i włączył przyspieszacz. - Możesz być pewny, że będzie wisiał na centralnym miejscu. Chyba się jeszcze nieraz spotkamy.

- Czyżbyś miał zamiar przyłączyć się do nas, przyjacielu?

- Niezupełnie, ale chciałbym was lepiej poznać. Do widzenia.

Automat przejął prowadzenie i z lekkim falowaniem wyprowadził strad na Linie. Tym razem nie potrzebował na przebrnięcie przez skrzyżowanie aż pięciu min. Off spojrzął na czasomierz. Jego prostokątna powierzchnia, podzielona na 90 czarnoobramowanych kwadracików, po dziesięć w rzędzie, była już prawie zupełnie niebieska, ostatnie sześć prostokątów sączyło jeszcze nikły zielony blask. Dochodziła za sześć min piętnasta. Kolejny kwadracik zmienił kolor z zielonego na niebieski. Za pięć. Przerwa obiadowa dziesięć min temu dobiegła końca i za chwilę minie wyznaczony mu czas. Zacznie się batalia w swej ostatecznej fazie. Dla niego będzie to końcowa jej faza, już w tej chwili walka nie o własne życie, lecz o życie wszystkich innych.

Nigdy by nie przypuszczał, że w tak krótkim czasie tak radykalnie zmieni się jego spojrzenie, że z tak pozornie małej sprawy zrobi się sprawa olbrzymia, która spowoduje generalne zmiany. Był tego pewien. Szykował się do zwycięskiej bitwy z OS i Tajną Radą.

Nie działał samotnie. Rolę informatora społeczeństwa wziął na siebie Nieuchwytny, wziął również na siebie drugą o wiele ważniejszą sprawę - samą generalną bitwę. Rola Offa ograniczała się teraz do oczyszczania pola, dezorganizacji poczynań przeciwnika, ochrony swobodnego działania Nieuchwytnego.

Jedno, czego pragnął, to zobaczyć go. Dowiedzieć się, kim jest, skąd przybywa, jak naprawdę wygląda. Czuł, że wygrają tę bitwę. On i całe społeczeństwo Phasangu, które teraz będzie musiało pokazać, że nie jest całkiem bezradne i trzeba się z nimi liczyć...

Strad zjeżdżał ze wzgórza osiedla Plomsów. Na czasomierzu zgasł kolejny zielony kwadra cik. Off ciągle myślał o Nieuchwytnym, chciał go zobaczyć. Czy będzie mu to dane? W tej chwili wiedział, że nie zależy to ani od jego woli, ani od możliwości. Zależy to tylko od NICH i może się zdarzyć. Przejeżdżał nad Termi. Za minę piętnasta.

Gabinet Taquanary tonął w dymie. Siwy przedstawiciel Tajnej Rady, zupełnie nie znany Offowi, obok niego dwaj ludzie z OS, Taquanara za swoim biurkiem. Off naprzeciw niego. Zaczął ten z Tajnej Rady.

- Co ma nam do powiedzenia inspektor? - zapytał tonem rozkazu i nagany.

Off uśmiechnął się pod nosem i splótł ręce.

- Raczej oczekuję pytań - powiedział tonem do złudzenia przypominającym ton tamtego.

Taquanara lekko się zmieszał. Gość z Tajnej Rady drgnął. Takie stawianie sprawy graniczyło już z niesubordynacją. Oficerowie OS jak na komendę skrzywili się z niesmakiem.

- Inspektorze - powiedział członek TR - czy nie zechciałby się pan zastosować do przyjętych zwyczajów? - widocznie obawiał się wypaść z roli.

Był to niewątpliwie jeden z tych - bardzo czułych na punkcie własnego honoru i regulaminów. Górna warga, wąska jak rysa na skórze, drgała mu lekko, a oczy starały się unicestwić Offa, który jego zaufaniu we własną ważność tak nagle ośmielił się kłaść kres.

Off nie miał nic do stracenia, a wiele do wygrania. Musiał postępować w taki sposób, aby wypadki toczyły się po jego myśli. Liczył na to, że OS wie mniej i że jego wiedza jest w tej chwili Tajnej Radzie bardzo potrzebna, nic mu więc nie zrobią, dopóki nie powie najważniejszego, a o.n przecież tego nie robi nigdy.

- Czy pan - zwrócił się do starca - nie zechciałby wbrew zwyczajom przedstawić się marnemu inspektorowi? - pytanie to wymówił z absolutnym spokojem, na jaki tylko można sobie pozwolić w takiej sytuacji. Członek TR, zapewne z wieloletnią praktyką, nie spotkał się w swej bogatej karierze z podobnym tonem i absolutnym brakiem szacunku. Zerwał się z fotela zupełnie czerwony, z wargą latającą jak skrzydło ćmy i zrobił dwa kroki w stronę Offa.

Taquanara pobladł. Dwaj z OS zwrócili na niego identyczne, chłodne i tajemnicze spojrzenia, może nie tyle zresztą tajemnicze, co jak zwykle puste.

- Panie Off - rzekł starzec ledwo panując nad głosem. - Do tej pory to było tylko nieznaczne uchybienie regulaminowe, ale moja cierpliwość ma granice, określone przepisami, a przepisy zostały przed chwilą przez pana wyraźnie przekroczone. Niech panu się nie wydaje, że to wszystko, co pan robi, ujdzie panu na sucho.

- Niech się panu nie zdaje - odparował Off, patrząc nieruchomo przed siebie - że może mnie pan byle czym przestraszyć.

Reakcja starca zaskoczyła go. Opadł na fotel. I niemalże normalnym tonem zapytał:

- Co ustaliło dochodzenie w sprawie napadu na InL, inspektorze?

Przez chwilę wisiała w powietrzu ciężka cisza. Wreszcie Off się odezwał:

- Mam. prośbę, panie...ee, panie radco - zawiesił głos.

- Słucham?

- Wolałbym najpierw wysłuchać, co mają do powiedzenia obecni tutaj oficerowie OS, w przeciwnym razie nie będę się mógł podzielić z panami wiedzą w interesującej nas wszystkich kwestii.

Starzec zniósł to bez zmruczenia oka.

- Zgoda - powiedział. - Rozumiem pana. Niech panowie mówią - zwrócił się do dwóch posepnie zamyślonych „bliźniaków” z OS.

- OS - zaczął jeden z nich - zawsze ściśle wypełniając polecenia Tajnej Rady, którą reprezentuje tutaj...

- Wiemy, kogo reprezentuje - przerwał mu na wszelki wypadek radca. - A poza tym czas nagli, proszę się streszczać.

- Tak jest - oficer wyprężył się, jakby stawał na baczność. - Ustaliliśmy, że strad został wynajęty w biurze AWERT. Zamachowiec był specjalistą. Zanotowane tam, to znaczy w AWERT, odciski jego palców nie są jednak znane OS ani - podkreślił to z naciskiem i z widoczną na pierwszy rzut oka przyjemnością - Straporowi. Prawdopodobnie pochodzi z poza Vollu. Przypuszczać należy, że jest tropsjańczykiem, bo na licznych, wykonanych przez nas później fotografiach, co prawda niewyraźnych i dalekich, robionych z ukrytych kamer TK64 oraz TK2345, widać wyraźnie niebieską skórę i białe z niebieskawym odcieniem włosy.

Potwierdzają to także i inne źródła. Udało się przy Linni Wielkich Jezior uchwycić obraz twarzy napastnika zarejestrowany przez tajną kamerę TK2347. Sporządzony na podstawie zdjęć rysopis porównano z informacjami zarejestrowanymi w centralnej kartotece, w której znajdują się dane wszystkich mieszkańców Phasangu.

Tutaj nastąpiła pewna komplikacja. Okazało się, że sfotografowany człowiek rysopisem odpowiada nadkomendnemu Biktennowi z OS. Biktenn to oczywiście człowiek poza wszelkim podejrzeniem. W momencie akcji w Belgaz Nolda kierował obserwacją i przez cały czas znajdował się w zasięgu sprzężonych z nim podobserwatorów i wizyjnych. Przecież wszyscy znamy nadkomendnego Biktenna, a nasz aparat sprawdzający współpracowników nie zgłaszał pod jego adresem żadnych zarzutów. Nie mógł to być on, jednym słowem stanęliśmy w martwym punkcie.

Istniało kilka możliwości. Albo mamy do czynienia z osobą nie objętą rejestrem, co jest zupełnie nieprawdopodobne, albo z osobą, która poddała się operacji twarzy, jednak operacja ta musiałaby być przeprowadzona nielegalnie

przez facjologa, nie notowanego w wykazach specjalistów wykonujących te zabiegi.

Przez bardzo zły strategiczny manewr Straporu podczas oblężenia Linii Wielkich Jezior, które było przez nas obserwowane, straciliśmy ślad tego człowieka. Podczas całej akcji obserwacyjnej gubiliśmy jego ślad wielokrotnie, nie należy więc się tym zbytnio przejmować. W tej chwili zapadł się gdzieś, lecz akcja toczy się bez przerwy i niedługo uchwycimy zapewne zerwaną nić. To wszystko.

- Czy nie sądzi pan, że może się on ujawnić w momencie, kiedy będzie za późno na interwencję? - zauważył starzec.

- Nie! - odpowiedział z uśmiechem oficer. - To znaczy wydaje mi się, że nie.

- Czy teraz zacznie pan już wreszcie mówić, Off?

- Tak. Do tego, co ustalili ludzie z OS, mogę dodać niewiele, zwłaszcza że nie jestem dokładnie i szczegółowo poinformowany o treści zagubionych dokumentów - kiedy padły te słowa, wydało mu się, że OS-owcy skrzywili się, jakby wyczuli jego kłamstwo.

Obojętne. Najprawdopodobniej wiedzieli o każdym jego kroku, przynajmniej od momentu, kiedy chodził za nim ten karzeł, którego widział w knajpie Czarny Motyl.

- Wiem tylko, że dotyczyły one zbliżającego się lotu do gwiazdy peryferyjnej Sol. Wiem, że gwiazda ta posiada dziewięcioplanetowy układ, w którym Trzecia jest planetą spełniającą warunki zaludnieniowe. Dokumenty te zostały przez poszukiwanego osobnika powielone.

- Co?! - wrzasnął radca, podrywając się z fotela. Zawisł nad Offem jak drapieżny ptak z rozwiniętymi skrzydłami rąk. - Co mówisz, człowieku? Gdzie? Kiedy? Jak?!

- Materiały zostały powielone na Salvirze, w Sov, w ilości około 50 000 odbitek w Drukarni i Pieczęciami Delison SA.

- Skąd ta wiadomość?

- Mniejsza o to. Grunt, że jest pewna - Off nie odmówił sobie przyjemności wprowadzania oficerów OS w stan osłupienia. - Nie wiem, co zamierza on zrobić z tymi dokumentami, ale przypuszczam, że będzie chciał je w jakiś sposób rozpowszechnić, z pewnością posłuży się metodami niekonwencjonalnymi. Nie wiemy również, czy mamy do czynienia tylko z jedną osobą, czy też z dwoma lub więcej.

- Nie rozumiem... - niemal wyszeptał radca.

Taquanara zdawał się wracać do siebie i jakby coraz ufniej spoglądał na twarze OS-owców. Oni natomiast, utraciwszy swój stoicki spokój, przeszli w stan starannie skrywanego zdenerwowania i niepewności.

- To proste - ciągnął dalej Off. - Nie przypuszczam, żeby obecni tutaj oficerowie zaniedbali przesłuchania pani Ery, to jest dziewczyny dyrektora Foya. Mimo że ich szef Gulm został unieszkodliwiony przez napastnika, to przecież nie stracili chyba głowy - Off mówił to z wyraźną ironią.

Oficerowie zapatrzili się w czubki swoich butów, od czasu do czasu rzucając spode łba przeszywające spojrzenia w stronę Offa. Chyba tylko udawali przyłapanych na zaniedbaniu. Off był pewien, że przesłuchiwali Erę i przemilczając ten fakt oraz płynące z niego wnioski chcą sprawdzić jego prawdomówność. Wnioski, jakie łatwo z tego faktu wyciągnąć, były bowiem wiązane i Off mógł nie chcieć dzielić się z nimi wiadomościami, które pozornie prowadziły do prawdziwego finału. Skoro się jednak dzielił, powinno to ich uspokoić na tyle, żeby mu choć trochę zaufali.

- Do rzeczy, do rzeczy, inspektorze - radca zdawał się nie dostrzegać niczego specjalnego w tym pojedynku słownym.

Był tak zafrapowany rozwojem wypadków i tak intensywnie nad czymś myślał, że nic poza interesującymi go wywodami nie docierało do jego świadomości.

- Tak więc z zeznania tej pani wynika, że napastnik, człowiek, który zabił Foya, nie był na pewno tropsjańczykiem. Wysoki, miał białą skórę i jasne, lecz żółtawe włosy. I dziwnie pachniał. Nie możemy z całą pewnością powiedzieć, czy to ten sam człowiek zabił Foya i Hargisa, a potem zbiegł, czy też działało ich dwóch. Nie sposób tymczasem nawet ustalić, czy to ten sam człowiek zabił Foya, który powiecił materiały na Salvirze i który napadł na InL. Może to być cała grupa dobrze zorganizowanych zamachowców. Jeden napada na InL, drugi powiecia materiały, trzeci strzela do Foya, czwarty do Hargisa, a jeszcze inny zostaje sfotografowany w czasie ucieczki, która stanowi tylko osłonę dla tamtych. Tak więc sytuacja wydaje się bardziej skomplikowana.

- Inspektorze - przemówił jeden z oficerów. - Otrzymaliśmy rysopis również z innych źródeł. Niech pan o tym pamięta.

- Oczywiście. Pamiętani bez przerwy. Co prawda byłby to mało prawdopodobny zbieg okoliczności, ale niech mi pan powie, czy w obu przypadkach widziano twarz dokładnie?

Oficer nieco sią. zmieszał.

- Nie - przyznał niechętnie. - W jednym wypadku udało się zauważyć tylko profil, i to z pewnej odległości, ale wystarczyło, aby określić kolor skóry.

- Rozumiem... Kolor skóry. Ale jedynie kolor. Czy był niebieski?

- Tak jest.

- Wobec tego wiemy, że jeden z poszukiwanych - lub, więcej napastników - to niebieski, jeden zaś biały. Należałoby się zastanowić, jaki będzie jego, czy ich następny krok. Za wszelką cenę, z nieznanymi mi bliżej powodów starają się nie dopuścić do startu statku. Może dla Tajnej Rady czy OS motywy ich postępowania są jaśniejsze. Jaki zatem będzie ich następny krok? Zdaje się, że się domyślam.

- Jakież to krok? - zapytał radca.

- Na razie powiem tylko tyle. Co do reszty, jest jeszcze za wcześnie. Nie chciałbym, aby niesprawdzone wiadomości, jakimi dysponuję, okazały się niewypałem i dlatego potrzebuję jednego dnia na upewnienie się o słuszności moich hipotez.

- Panie Off - zaczął rada. - Widzę, że nie ma pan do nas zaufania. Nie chodzi teraz o prestiż i rozgrywki. Sytuacja jest o wiele poważniejsza, niż pan przypuszcza. Jeżeli nasza dokumentacja dostanie się w niepowołane ręce, plan trzeba będzie porzucić, a porzucenie go oznacza kolejną, kto wie czy nie ostatnią, kapitulację, bo możemy już nie znaleźć czasu na przygotowanie następnej wyprawy. Porzucimy więc urazy i mówmy otwarcie.

- Dobrze - podchwycił Off. - Co Tajna Rada zamierza zrobić z moimi zwłokami po zakończeniu tej sprawy? A może już teraz? Tylko proszę otwarcie!

Milczenie, jakie w tym momencie zapadło, przypominało te chwile przed burzą, kiedy powłoki ciężkich chmur wpadają w strefę ujemnych znaków..I niewątpliwie posypałyby się pioruny, gdyby milczący do tej pory Taquanara nie rozładował atmosfery.

- Inspektor żartował oczywiście. Znamy nie od dziś jego poczucie humoru i skłonność do efektownych metafor. Chodziło panu o dzielenie się czymś, czego nie ma? Czy tak? - zwrócił się do Offa.

Choć Off nic nie odpowiedział, wszyscy wykorzystali możliwość wycofania się z niewygodnej sytuacji.

- Jedno jest pewne - stwierdził Off. - Następnym ich celem będzie kosmoport.

- I mnie też tak się wydaje - rzekł w zamyśleniu starzec.

- Na kiedy zaplanowano start?

- Na dwudziestego szóstego.

- Czyli za tydzień. Proponuję przełożenie startu na jutro wieczór.

- Ależ to niemożliwe! Zwłaszcza że przetrzymał pan bez uzasadnienia Estora, ta sprawa będzie zresztą rozpatrywana przez nas, kiedy skończy się to całe zamieszanie.

- Możemy nie czekać, aż burza ucichnie. Moim postępowaniem kierowała wyłącznie troska o bezpieczeństwo Estora, a co za tym idzie, o bezpieczeństwo przygotowań do lotu. Nikt mi nie udowodni, że było inaczej, a co do terminu ekspedycji, należy go koniecznie przyspieszyć. Przedstawię teraz panom plan działania. Jak wielu tropsjończyków może być w naszym mieście? Nie więcej niż milion. Oczywiście w takiej masie niepodobna grzebać systematycznie, ponieważ nie mamy na to czasu. Chcę jednak zorganizować wielką obławę: zatrzymać na całe 48 godzin każdego spotkanego tropsjańczyka, który tylko wyda się podejrzany. To zadanie dla służby porządkowej. Zmusimy naszym postępowaniem przeciwnika do przedwczesnego ujawnienia planów. Zapewne jest mu doskonale znana data startu. Za maksymalnym przyspieszeniem jej przemawia fakt powielenia materiałów, których rozpowszechnieniu na pewno nie uda nam się zapobiec. Nie wiadomo, czy stanie się to dziś, czy dopiero jutro. Nasza akcja porządkowa utrudni więc ewentualne rozlepienie na murach owych ulotek. Przy działaniu na chybił trafił można również zidentyfikować i aresztować któregoś z napastników. Nie zapobiegniemy z całą pewnością tylko jednemu: poinformowaniu opinii publicznej o treści dokumentów. Należy przypuszczać, że i tak wiele egzemplarzy dotrze do ludzi. Wskazany byłby więc szybki start statku przy

zastosowaniu poważnych środków ochronnych, blokady kosmoportu, skróceniu uroczystości pożegnalnych do minimum, ograniczeniu liczby odprowadzających do najbliższych krewnych, bezwzględnej i ścisłej kontroli dokumentów, a nawet rewizji osób przebywających w momencie startu w kosmoporcie. Przyspieszenie nie pozwolili naszemu przeciwnikowi na dokładne dopracowanie, zsynchronizowanie i przemyślenie do końca najdrobniejszych szczegółów planu. Na czymś musi się potknąć. Wiadomo: „Najłatwiej się potknąć na znanej drodze, której nawierzchnia została zmieniona pod naszą nieobecność” - jak powiada przysłowie. Tak wygląda w zarysie mój plan, a teraz od panów zależy, czy go przyjmiecie, czy nie.^ Ma on jednak same zalety i nie przyjmując go, byłoby lek komyślnością. Dodam jeszcze, że fakty, o których nie chciałem mówić, dotyczą miejsca pobytu poszukiwanych i są jak dotąd niesprawdzone. Sprawdzenia mam zamiar dokonać w ciągu najbliższych godzin i nie bez poważnych podstaw sędzę, że wtedy nasza akcja przebiegnie dużo łatwiej i może uda się zapobiec poinformowaniu przez napastników opinii publicznej. To wszystko, co miałem do powiedzenia.

Off wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł nią pot z czoła. Właściwie nie był pewien wrażenia, jakie zrobił na zebranych. Jego plan rzeczywiście mógł wydawać się dobrym każdemu, kto nie znał tajemnicy, jaką on poznał lub raczej której się domyślał. Zdawał sobie sprawę z tego, że mocno naciągnął już strunę i nader łatwo jednym słowem przekreślić cały plan. Teraz siedział napięty, w oczekiwaniu na to, co powie przedstawiciel Tajnej Rady i oficerowie OS.

- OS miało to samo na myśli - oznajmił jeden z oficerów, usiłując pomniejszyć zasługi Offa. - Rzeczywiście, jeżeli w ten sposób postąpimy, zwiększymy szansę na zakończenie tego pojedynku na naszą korzyść. Pod warunkiem oczywiście, że napastnicy zamierzają napaść na kosmoport.

- Tak... - radca kiwał głową. Offowi się zdawało, że usiłuje ukryć podziw dla jego planu, ale właśnie jest zdecydowany go poprzeć. - Tak - powtórzył. - Musimy jednak zastanowić się wspólnie z innymi członkami TR nad całą sprawą.

Off starał się nie pokazywać po sobie zadowolenia z podjęcia takiej decyzji, właściwie równoznacznej z akceptacją, był tego pewien.

- Kiedy otrzymam odpowiedź?

- Za pół godziny. Połączę się specjalną linią z innymi radcami. A do tej pory niech pan łaskawie nie opuszcza gmachu. Możliwe bowiem, że decyzja Rady będzie inna. To na razie wszystko. Dziękuję panom - zakończył starzec, podnosząc się z fotela. Górna Warga przestała mu już drgać. Widocznie się uspokoił.

Podnieśli się teraz wszyscy. Off skinął głową i skierował się ku wyjściu, za nim OS-owcy. Taquanara stał na środku pokoju w niezdecydowanej pozycji, która wyrażała tylko jedno - wyczerpanie.

- Pan także niech wyjdzie - usłyszał jeszcze Off słowa skierowane do swego zwierzchnika. - Muszę zostać sam z fonami.

Dager i Agis wyszli, wysłani przez swojego szefa do garażu. Na wszelki wypadek mieli przygotować strad do drogi. Off siedział w fotelu zmęczony i

bardzo napięty. Mimo wszystko, choć był prawie pewny, że zaakceptują jego plan, obawiał się zdemaskowania.

Przecież jeżeli przesłuchiwali Erę czy też Delisona, mogli zacząć coś podejrzewać. Przemilczał niektóre fakty. Może nie rozegrał tego najlepiej? Wystarczyło coś wspomnieć i odpowiednio naświetlić, lecz wolał, żeby nie wiedzieli wszystkiego do końca, jeśli nie wiedzieli do tej pory, a koniec był niedaleko. Statek szykujący się do skoku przez hiperprzestrzeń nigdy go nie wykona. Jeśli teraz mu się powiedzie, to i on będzie żył spokojnie. Dłoń trzymał w kieszeni, czuł w niej ciężar kufy. Ciężar dający złudzenie bezpieczeństwa i wszechmocy. Cóż zresztą pomoże kufa, jeśli decyzja Rady będzie inna?

Wstał. Za oknami zapadał zmierzch. Wpatrywał się w niebo. Czarnozielonkawę, gładkie, bez jednej zmarszczki. W dole, wzdłuż alei, kołysały się szpalery henofarów, a nad nimi płonęły gwiazdy. Prawie jednakowe. Nie. Niektóre były większe i jaśniejsze, inne odległe, małe, słabiutkie. Co gnało jego pobratymców w te odległe strony, w tę obcą pustkę? Czy rzeczywiście konieczność?

Offowi wydało się nagle, że umiejętność dokonywania skoku przez hiperprzestrzeń została na Phasangu opanowana zbyt wcześnie. Gdyby nie słabości techniczne można by opanować i skolonizować własny układ słoneczny. Uświadomił sobie nagle, że zdolność podróżowania w czasoprzestrzeni rozwinęła się w dużym odosobnieniu od innych dyscyplin. Problem odwiecznego nadażania jednej dyscypliny naukowej za drugą, techniki za naukę, świadomości za techniką. To wszystko na Phasangu zdawało się być jakieś nieproporcjonalne, dysharmoniczne, prawie że samobójcze w swych niebezpiecznych rozdźwiękach.

Czy coś podobnego mogło powstać w sposób naturalny? Skok w hiperprzestrzeń, a równocześnie, kopalnie i fabryki Salviry. Te dwa etapy ewolucji społeczno-cywilizacyjnej dzieli przecież otchłań. Czyż można w naturalny sposób przekroczyć taką przepaść?

Off nie pamiętał Drugiej Rewolucji. Był wtedy jeszcze dzieckiem, ale to za jego życia nastąpiła owa eksplozja wynalazków, eksplozja technologii, a przecież Pierwsza Rewolucja, o charakterze społecznym, miała miejsce zaledwie kilkadziesiąt lat temu. Poza tym nie trafiała do przekonania ludziom nawet teraz. Żyli w dobrobycie, lecz ich psychika dziwnie pozostawała w tyle. W codziennym życiu nie widać było zbyt wielu realizacji zasad tamtej, stosunkowo dawnej rewolucji. Wyrosło już czwarte pokolenie, a jednak nie przestawiło się na inny sposób myślenia. Tamte idee wyglądały na tle dnia dzisiejszego zupełnie nierealnie, jakby spadły skądś z nieba, a wraz z nimi cała obecna technika, będąca tworem dziwnym, nierównomiernym, jakby wyrwykowym. Czyżby rzeczywiście proces ten realizował się w sposób nienaturalny?

Cóż... Niewiele przemawia za jego naturalnością, niewiele wskazuje na to, że cywilizacja phasangańska idzie bez przerwy optymalną drogą rozwoju, przypisaną przecież każdej ewolucji. Czuł, że jest o krok od jakiejś wielkiej tajemnicy. Jednocześnie uświadomił sobie, że przecież nigdy do tej pory nie przychodziły mu

do głowy tak fantastyczne i przerażające zarazem myśli. Czy to aby na pewno jego myśli?...

W tym momencie raptownie otworzyły się drzwi i stanął w nich Dager.

- Strad gotowy - powiedział i zamilkł na widok Offa.

Inspektor był biały jak karta brafu.

, - Czy coś się stało? - zapytał Dager niepewnie.

- Nie - odpowiedział Off. - Nic. Pojął. Pojął właśnie coś, co przekraczało jego wyobraźnię.

To wszystko było inaczej! Phasang jest sztucznym tworem! Phasang nie sobie zawdzięcza postęp, jaki osiągnął. Teraz wymknął się spod potężnej kontroli i musi nastąpić interwencja. Musi! Zakręciło mu się w głowie. Myślał przez chwilę, że nie utrzyma równowagi. Czy zwariował? Dlaczego on? Dlaczego właśnie on to zrozumiał? Czy jest najlepszy?! Czy lepszy od innych?! W czym jest lepszy!! A może gorszy?!!

Nie, nie!!!

Dager z przerażeniem patrzył na Offa. Oczy inspektora niemal wychodziły z orbit. Wczepił się w rękaw Dagera spoconymi dłońmi.

- Panie - wycharczał. - Jasny Panieeee!!! - i osunął się na podłogę przez ręce oniemiałego Dagera.

Dager rzucił się do fonu.

- Pogotowie! - ryczał. - Pogotowie!!! Szybko! Ins Off został chyba otruty!!

Na niebie spokojnie błyskały dalej gwiazdy. Mieniły się różnobarwnymi światełkami, pulsowały w kosmicznej pustce, nieme i piękne. Wśród nich, a właściwie na ich tle, płonęła jedna, nieco mocniejsza, wydawała się jaskrawsza i większa. Nie, to nie była gwiazda. Nad aleją Boder, wzdłuż szeregu henofarów, szybowała daleka różowa kula. Teraz oddalała się coraz szybciej w kierunku północnym i w chwilę później zniknęła za horyzontem.

To chyba jakiś satelita? - myślał Agis wpatrując się w niebo.

- Jak długo to trwało?... Gdzie ja jestem?... - Off miał oddech nierówny i świszczący.

- Proszę się nie denerwować i starać się nie myśleć.

Tak... tak... Przede wszystkim nie myśleć. Zwłaszcza ta ostatnia myśl... - Kiedy im się przypomniał ten przebłysk świadomości, ogarniała go panika, ale nie mógł nie myśleć. - To jasne... Przecież hiperprzestrzeń ma się tak do ich epoki, jak strad do średniowiecza... przestać myśleć?...

- Jak długo?... - wysapał.

- Od godziny. To lekki atak. Za dwie godziny będzie pan zdrow. Jest pan podłączony do uniwermedu. Proszę odpoczywać.

A więc miał atak. Nieważne.

- Gdzie Teria?

- O kim pan mówi? - dziewczyna w zielonym fartuchu nachyliła się nad nim z troską w oczach. - Jeszcze bredzi - zwróciła się do młodego mężczyzny w takim samym kitlu. - Za piętnaście min wyjdzie z tego stanu. Proces leczniczy,

regeneracja uszkodzonego serca postępuje normalnie. Możemy go zostawić samego. Za dwie godziny i piętnaście min - powiedziała podchodząc do drzwi - odłączy go pan od uniwermedu.

- Tak jest - mężczyzna skłonił się lekko na pożegnanie.

Postał jeszcze chwilę patrząc na Offa i wyszedł także.

Teria?! - myślał Off. - Mogłem to wcześniej przewidzieć.

Siwy radca zastanawiał się głęboko. Czy rzeczywiście ten nieokrzesany i narwany człowiek ten cały Ins Off, ma rację?

- Przedstawiłem wam fakty - mówił do fonu. - Teraz, o czcigodni, musicie zdecydować o dalszym postępowaniu. Przypominam tylko, że sytuacja jest naprawdę trudna. Głosujcie.

- Zezwolić.

- Odsunąć.

- Zezwolić.

- Zezwolić.

- Odsunąć.

- A więc 3:2 i mój głos. Usunąć Offa, według mnie, nie nadeszła jeszcze pora, a więc zezwalani. 4:2. Dziękuję wam, czcigodni. Być może sytuacja wyglądałaby inaczej, gdyby byli z nami pozostali dwaj członkowie naszej Tajnej Rady, ale niestety już nigdy wśród nas nie zasiądą. Radca Hargis i radca Foy polegli pełniąc swoje obowiązki. Trudno. Nasza praca pełna jest poświęceń i niebezpieczeństw. Musimy się z nimi liczyć w każdej chwili i wiem, że możemy na sobie polegać.

Co do sprawy Ins Offa, to ustaliliśmy, że w rozmowie z nami przemilczał jeden fakt. Właściwie nie jeden, więcej. Otóż znana mu jest treść dokumentów. Został poinformowany przez Revapara w pomniku Niewidzialnych we Florey o treści skradzionych papierów i zapewne o całym programie lotu. To raz. Nie ujawnił również, że kontaktował się ze ślepcem Bajo, dzięki któremu prawdopodobnie zdobył informacje pochodzące z Salviry i ukrył tam swoją sekretarkę. To dwa. Trzecim zatajonym, przez niego faktem jest informacja, którą musiał otrzymać od Ery Hater. Dotyczyła ona pewnej niebezpiecznej umiejętności napastnika czy napastników, umiejętności kierowania wolą innych osób. Informację tę potwierdzili piloci eskadry bobonsów. W czasie ataku na Belgaz Nolda odczuwali momentami zanik własnej woli, natomiast czuli się jakby sterowani wolą cudzą. Wiemy przecież, że żaden człowiek nie posiadał takiej umiejętności ani że nie zostało zbudowane żadne urządzenie wytwarzające pola o takich właściwościach. Należy więc traktować ich odczucia raczej jako halucynacje - zbiorowe czy indywidualne, mniejsza zresztą o szczegóły. Instytut Nasłuchów i Penetracji Przestrzeni nie zanotował żadnych wahań pola. Przestrzeń wokół planety nie została naruszona, nic więc nie stoi na przeszkodzie, ażeby start odbył się, jak było planowane. Również wszystkie stacje naziemne InNaPePr nie stwierdziły zakłóceń.

Wiem, że fakt trzykrotnego naruszenia zasad regulaminu, jak i sposób, w jaki Ins Off traktuje TR, musi budzić wasze zastrzeżenia i zaniepokojenie. Jest rzeczą zupełnie oczywistą że należy go usunąć. Jego wiedza sięga zbyt daleko.

Pamiętajmy jednak o tym, że nikt tak dobrze nie pokieruje akcją jak właśnie on. Rozprawić się z nim zdążymy później. Oczywiście nasza akcja będzie postępowała niezależnie od prowadzonej przez niego. Tyle, o czcigodni, mogę powiedzieć od siebie, niejako w uzasadnieniu naszej decyzji. Czy ktoś z was chciał zabrać jeszcze głos?

- Nie.
- Nie.
- Nie.
- Nie.
- Nie.
- Dziękuję wam więc i spotkamy się wieczorem.

Starzec wyłączył fon i czas jakiś siedział nieruchomo, nie zdejmując dłoni z przycisku. Nacisnął guzik ponownie i wykręcił numer. Na ekranie ukazał się sekretariat InL-u, dobrze znany członkowi Tajnej Rady. Przy biurku siedziała dziewczyna. Na dźwięk głosu płynącego z tonu drgnęła.

- Niech mi pani da Estora - usłyszała.
- Tak jest.

Po krótkiej chwili zjawił się Estor. Twarz miał wychudłą, a ubranie nie zmieniane co najmniej o'd kilku dni. Widać nie zdążył się nawet przebrać po opuszczeniu celi. Radca nie odczuwał współczucia. Był nawet zadowolony z wyglądu swego podwładnego i podopiecznego zarazem, którego zaniedbany ubiór świadczył poniekąd o dużym zaangażowaniu Estora w sprawę. Ten młody miał szansę wkrótce osiągnąć stanowisko, na które radca Etol Saf czekał długie sześćdziesiąt lat: stanowisko radcy Tajnej Rady Phasangu. Saf pomagał młodemu Estoro-wi, jak tylko umiał, i teraz oto otwiera się przed jego wychowankiem długo oczekiwana perspektywa, a wraz z wprowadzeniem rzutkiego i oddanego mu człowieka do Tajnej Rady, pozycja radcy Saf a uległaby, rzecz jasna, wzmocnieniu.

- Słucham, o czcigodny - odezwał się Estor.
- Mój drogi - powiedział radca. - Musisz za wszelką cenę przygotować start statku na jutro wieczór...

- To niemożliwe!

- Nie przerywaj!! - rzucił radca ostro. - Stawaj na głowie, ale doprowadź do startu jutro wieczór. W przeciwnym razie może już do niego nie dojść nigdy. Dni Tajnej Rady są policzone. Wiemy o tym i dlatego podejmujemy niezbędne kroki na przyszłość. Pamiętaj, że od twojej sprawności, od tego, czym się wykazesz teraz, zależy „twoje jutro.

- Rozumiem, radco.

- A zatem...?

- Przy pełnej mobilizacji uda się zorganizować start najwcześniej na pojutrze rano.

- 'Zgoda. To wszystko - rzeki radca i wyłączył fon ponownie.

Off po trzech godzinach był już na nogach, we własnym gabinecie. Nie czuł żadnych fizycznych dolegliwości, a nawet jakby przybyło mu sił. Rozpoczął swą

wielką akcją. Przeszkadzały mu jedynie nawracające uporczywie wspomnienia. Nie mógł się ich w żaden sposób pozbyć. Stłumione, kołatały się gdzieś na dnie świadomości. Nie dawała mu spokoju zwłaszcza myśl o Terii. Teraz uświadamiał sobie doskonale wszystko, co między nimi zaszło. To od spotkania z nią zaczęły go nawiedzać dziwne, niepokojące refleksje i mieszane odczucia w stosunku do własnego świata. Wciąż powracała myśl o Linii Wielkich Jezior. Dlaczego nikt nie potrafił zrozumieć tamtych ludzi? Czy zastosowano wobec nich taki sam zabieg, jaki wykonano na nim? W tym momencie nie było jednak czasu na zajmowanie się takimi sprawami. Przed nim wielka akcja! Czuł raczej, niż rozumiał, że robi dobrze pomagając Nieuchwytnemu.

- Do wszystkich brygad! - rzucił w fon. - Mówi kierujący akcją Ins Off. Począwszy od tej chwili należy aresztować bez względu na wszystko każdego człowieka, który odpowiadałby podanemu rysopisowi, niezależnie od koloru skóry! Zakończenie akcji nastąpi na mój rozkaz! Dziękuję!

Miasto stopniowo ogarniało szaleństwo. Uliczne gazety sunące między ścianami domów, rozpostarte swymi kolorowymi stronicami nad pędzącym potokiem stradów, widoczne w lekkiej mgiełce, podawały bez jednej przerwy rysopisy poszukiwanych. Ruch jeszcze funkcjonował normalnie, ale i to miało się niedługo skończyć. Porządkowi zatrzymywali już pierwszych podejrzanych. Jednak nie wszystkie patrole zostały wprowadzone do akcji. Część patrolowców znajdowała się w garażu, gdzie dokonywano ostatniego przeglądu technicznego, ładowano dodatkowe pojemniki z paliwem, włączono w obieg specjalne systemy zasilania. W czasie trwania akcji przestawał obowiązywać zakaz używania komór powietrznego spalania. Przedmuchiwano dysze, próbowano sprawności zastawionych od dawnego nieużywania mechanizmów.

Ludzie stali w grupkach, żywo gestykulując, najwyraźniej podnieceni akcją, która dla nich ciągle się jeszcze nie rozpoczęła. Palili tutki mafafy i zastanawiali się nad tym, co właściwie ma nastąpić. Jedni cieszyli się z akcji, gdyż była okazją do wykazania się, inni klęli ją. w duchu i nie tylko w duchu, gdyż stawiała pod znakiem zapytania ich wszelkie plany, nie tylko na dzisiejszy wieczór czy noc, lecz także na jutro i pojutrze, a może cały tydzień. Starsi pamiętali takie akcje, które ciągnęły się tygodniami bez przerwy, niekończące się zasadzki i obławy, w których niejeden znajomy czy kolega rozstał się z nimi na zawsze.

Do wielkiego magazynu Trantona, gmachu o dwudziestu piętrach, wpadła grupa operacyjna i na rozkaz dowódcy, w odciętych przy pomocy szczypiec i zamków tolerowych budynku, przeprowadziła przegląd. Podejrzanych, zbitych w ciasną grupę, zapędzono do magazynu. W sali spożywczej wszczęła się panika. Porządkowy chciał aresztować kogoś, kto widać mógł sobie pozwolić na zlekceważenie byle porządkowego. Podejrzany uderzył funkcjonariusza twardej główką sałaty babonga trzymaną w ręce. Na widok zaatakowanego kolegi inny człowiek brygady Straporu rzucił się na podejrzanego, zahaczając przy tym pojemnikiem z gazem obez-władniającego o półkę z jarzynami. Ulatniający się gaz sparaliżował najbliższych stojących ludzi. Upadł również porządkowy i napastnik.

Ktoś ogarnięty szaleństwem demolował półki i wrywał ze ścian pojemniki. Automaty ostrzegawcze wyły i kręciły na wszystkie strony czerwonymi czułkami, wzywając pomoc techniczną, Automaty naprawcze zderzyły się w przejściu z napierającą falą ludzi.

Brygada Straporu szalała. W całym gmachu rozlegały się krzyki i tupot nóg, przerywany wyciem syren automatów, wyciem straporskich gwizdków, hukami salw obezwładniających.

Na jedenastym piętrze grupa tropsjańczyków zabarykadowała się w oddziale sprzętu sportowego. Porządkowi obawiali się podejść blisko, gdyż przy każdej takiej próbie sypał się na nich grad pocisków, w które zamieniono kule hopitrowe, wyrzucając je z dużą siłą z automatycznych szybkostrzelni łuczniczych. Próbowano gazu, lecz ustawiona przed barykadą bateria wentylatorów skutecznie chroniła atakowanych. Wreszcie ktoś wpadł na pomysł zaopatrzenia się w pokrywy od wielkich kotłów warzelniczych. Rozgrabione stoisko automatyczne podniosło wrzask, dołączając się do ogólnego harmidru. Dzięki osłonie z pokryw udało się jednak wdrzeć do pomieszczenia i obezwładnić walczących, z których aż pięciu okazało się odpowiadać rysopisowi.

Chyba największym nieszczęściem była ogólnikowość tego rysopisu. Tłum w magazynie stopniowo rósł, wezwano więc bobons, aby zabrał wszystkich do aresztu.

W tym czasie stłoczeni w ciemnym pokoiku ludzie rozpoczęli szturm. Używając drągów do markiz wyważyli drzwi i rozpędzili strażników, po czym ruszyli w dół, prowadząc narastającą wciąż falę.

Brygada została też zmuszona do rozpaczliwej obrony i po kolei opuszczała piętra, pnąc się do góry. Radiostacje bliskiego zasięgu odbierały z Trantona wezwania o posiłki.

Pod gmach zajęchały cztery następne strady wypełnione ludźmi. Indywidualne zamki zamontowane w drzwiach nie chciały ich wpuścić do wewnątrz. Rozbito więc wielkie szyby wysokości dziesięciu metrów i szerokości dwudziestupięciu. Tworzywo posypało się na chodniki i jezdnie. Przechodnie zatrzymywali się, nie dowierzając własnym oczom. Strady z piskiem hamowały przed wałem ostrych odłamków. Tymczasem brygada Straporu, której dowódcy nie chcieli doprowadzić do zastosowania ostatecznych środków, wycofywała się na segmenty schodów prowadzących do ostatniego stoiska, umieszczonego w przeszklonym, jednospadowym dachu budynku. Wyjście na powierzchnię tak stromego szklanego dachu nie wchodziło w rachubę. Tłum napierał. Na szczęście kręcące się schody nieco się w tym miejscu zwężyły. Za nimi znajdował się już tylko rząd półek i ściana. Dowódca zatrzymał się zdenerwowany.

- Staaaac!! - wrzeszczał. - Staaaac!!! Odpowiedział mu gniewny pomruk. Nie było na co czekać. Pomoc wdzierała się na czternaste piętro. Namiarowy prowadził nerwową wymianę zdań z namiarowym zaatakowanej brygady.

- Po cholere unieruchamialiście windy? - ryczał w fon.

Na ulicę przez wybite szyby wysypywał się, uwięziony do tej pory tłum, kupujących. Rozbiegali się na wszystkie strony nie zwracając uwagi na światła i pędzących strumień pojazdów. W zasypanym masą plastyczną zwięzieniu jezdni powstał straszliwy chaos. Strady hamowały z piskiem, ludzie uskakiwali sprzed rozpędzonych pojazdów sunących tuż nad ziemią. Niektóre strady wzlatywały coraz wyżej.

Nadleciał bobons, który miał zabrać uwięzionych. Skierowano go ku oszklonej ścianie dachu. Dowódca wyszarpnął kufę. Błysnęła złowieszczym, blaskiem.. - Staać!!! Bo strzelam!”.

Na sapment tłum się zatrzymał. Pierwszy szereg uległ panice. Łamał się i cofał. Ludzie z tyłu popychali go jednak znów naprzód. Teraz czoło całą siłą starało się powstrzymać ten napór.

Trzeba było działać natychmiast. Bobons z impetem włamał się w dach. Trzask miażdżonej konstrukcji, widok rozpędzonej maszyny, która wjeżdżała w budynek, odebrał atakującym wolę walki. Posypały się na nich odłamki. Uciekali na niższy poziom, gdzie zostali wzięci jakby w dwa ognie: z drugiej strony zaatakowały ich oddziały przysłane na pomoc Straporowi. Batalia była rozstrzygnięta. Na posadzkach i chodnikach przed Trantonem leżało kilku rannych. Pomocy udzielało im Pogotowie Medyczne. Otwarte transstrady podjeżdżały pod drzwi. Wyprowadzano podejrzanych, których ładowano do pojazdów.

Wkrótce gmach Trantona opustoszał. Po pustych i cichych halach, wśród zdemolowanych stoisk, krążyły z cichym szelestem jedynie automaty naprawcze. Z niektórych sal docierały pojedyncze, czerwone błyski domagających się naprawy pojemników. Ze zdemolowanej kopuły dachu sypały się odłamki.

O zmierzchu normalnie, jak zawsze rozjarzył się naprawiony sufit. Popłynęła z głośników muzyka. Tylko górne piętra zostały wyłączone ze sprzedaży. Jednak zabrakło kupujących.

W mieście niepodzielnie panował już rozpętany przez Offa szal. Areszt był przepełniony.

Zbulwersowana wieczorna prasa podawała niewiarygodne wiadomości: „Miasto we władaniu Straporu”, „Zbiry na ulicach”, „Skandaliczne metody” - to tylko niektóre z kilkadziesiątu nagłówków.

Wieczorne spotkanie Tajnej Rady rozpoczęło się dopiero o pierwszej w nocy, w dodatku nie przybył jeden z członków Rady. Przed gracyar-niami i jadalniami zatrzymywano wychodzących.

Porządkowi posuwali się w swych poczynaniach coraz dalej. Wieczne artykuły spowodowały, że rozpoczęto kontrolę redakcji i wydawnictw. Zdziesiątkowały one obsady drukarni. Przerywano seanse w onikach i laerach. Zapalały się światła i rozpoczynano przeczesywanie rządów, z których bez skrupułów wyciągano każdego, kto się nie spodobał. Areszt był już przeciążony ponad miarę.

Ale najgorsze dopiero nadchodziło. Zamknięto miasto i odcięto je od świata. Centrale fenowe obsadził Strapor i wyłączył je z obiegu. OS w obawie przed

Straporem, wyraźnie opanowującym coraz to nowe kluczowe punkty, zajęło rozgłoszenie radia, a w stacji HOLO doszło niemal do otwartej bójki. To wkroczyła do akcji specjalnie dobrana przez Offa brygada pod dowództwem Dagera. Po godzinnych zmaganiach podzielono holostacje między walczących. OS miało teraz w swych rękach nadajniki i korektory, Strapor studia i transmitters wewnętrzne. Tak więc działalność stacji została wstrzymana.

Druga brygada pod dowództwem Agisa opanowała lądowisko i port sterowcowy. OS zajęło wcześniej wytwórnię filmów i wytwórnię laeranów. W alei Lim porządkowy usiłował zatrzymać strad, chcąc sprawdzić, kto nim jedzie. Mimo rozkazu strad nie zatrzymał się. Szaleńcza pogoń, w jaką rzucił się patrolowiec, skończyła się w nurtach Termi i znów PM musiało odwołać się do pomocy swoich uniwermedów.

Zablokowano Linie Zero Plus. Zapora patrolowców przepuszczała po jednym pojeździe, starannie uprzednio skontrolowanym. Tworzył się olbrzymi korek, który sięgnął wkrótce do samego Coloi. Tutaj z kolei unieruchomił strady pędzące z Linii Ognia, Linii Wielkich Jezior, Linii Surminga i bulwaru Santala.

Miasto wkrótce zostało sparaliżowane. Doskonale funkcjonujący wydolny w normalnych warunkach organizm zaczynał się dławić. Płynęły wezwania o zdjęcie blokady. Po krótkim oporze brygadiera zdecydowano się w końcu na to.

Po godzinie znów ruszył normalny potok stradów w stronę Są Villey, Nordici i Delanu. Po dalszej godzinie zmałał nieco korek w Coloi.

Wtedy ktoś wpadł na pomysł unieruchomienia swobodnie kursujących dotąd bobonsów. Wyłączono wszystkie postoje w zdobytej szturmem centrali przedsiębiorstwa Miejskiej Komunikacji.

W chwilę potem na pętli w Dorgo Erefesa zatrzymano tekar. Strapor nie puścił go, blokując patrolowcem tor, automat nie mógł otworzyć drzwi, ponieważ już ruszył i unieruchomiła go przeszkoda, która według jego programu powinna się usunąć. Nikt wewnątrz nie chciał uruchomić mechanizmu niezależnie otwierającego. Początkowo trwały tam dyskusje, potem, w miarę jak Strapor coraz bardziej podniecony oporem szturmował z pasją, wystraszeni ludzie zdobyli się na gest solidarności. Nie pozwolono nikomu otworzyć drzwi od wewnątrz w obawie przed rozjuszonymi porządkowymi, czającymi się do skoku, gdy tylko pojawi się w jasnej pokrywie najmniejsza szparka.

Tymczasem do pętli nadjeżdżały kolejne te kary. Strapor rewidował je systematycznie. Podejrzanych, wyciągniętych z pozostałych pojazdów, ładowano do transstradów. Ponieważ areszt pękał już w szwach, transstrady pełne ludzi kierowano do portu Cardia, gdzie oddział pod dowództwem Offa toczył walkę na nabrzeżach. Wjeżdżały one do olbrzymich, przygotowanych naprędce hal przeładunkowych, brudnych od gittinu i spevry. Tu wysadzano ludzi, pojazdy kierowano znów do centrum, zatraskiwano potężne bramy. W tym czasie Linia Dorgo Erefesa-Centrum została zupełnie zablokowana. Tekar nie poddawał się. Wreszcie któryś z bardziej rozgarniętych posterunkowych wpadł na pomysł

odblokowania toru i złapania tekara na najbliższym przystanku, kiedy drzwi samoczynnie się otworzą.

Tekar ruszył. Za nim wyjął i błyskając zielonymi, ostrzegawczymi światłami pomknął patrolowiec. Na przystanku rozpętała się regularna bitwa. Ze względu na dzieci znajdujące się wewnątrz pojazdu, nie można było używać gazów obezwładniających. Szturm na wąskie drzwi sprawiał więc wiele trudności.

Po ciężkiej walce opanowano jednak tekara. Dwóch porządkowych odniosło rany, pasażerowie uniknęli poważniejszych obrażeń, ponieważ w decydującym momencie zastosowali bierny opór. Wyniesiono ich z wnętrza prosto do transportowców, które znów ruszyły w stronę Car-dii.

Mimo wszystko to był dopiero początek. Miasto nie zostało jeszcze w pełni zablokowane. OS, chcąc nie chcąc, włączyło się do walki o gmachy publiczne, jednak trochę za późno. Grupa Agisa rozdzieliła się na trzy mniejsze. Bobonsy wysadziły ich na dworcach próżniowców. Wyłączono rozrząd stacji Huxla. Wszystkie pojazdy, kursujące na tej trasie w wielorurze, stanęły w miejscu. Przewody próżniowca wypełniały się powietrzem. Rozchyliły się nieprzyssane śluzy. Można było przejść rurami do najbliższej stacji, jednak nikt nie odważył się tego zrobić. Sygnalizację wyłączono. Siedzący w pociskach ludzie nie wiedzieli, kiedy zaczną znów funkcjonować komunikacja. Gdyby ktokolwiek został w rurze na zewnątrz pojazdu w momencie uruchomienia, po prostu rozprysłby się jak bańka mydlana, zostałby rozessany przez próżnię.

Na pierwszym peronie jakaś kobieta trzymająca na rękach tupanga rozpaczliwie broniła się przed porządkowym. Wokół zebrał się zaraz tłumek, porządkowego zaczęto szarpać i popychać na wszystkie strony. Zdenerwowany, wywijał nahajką na lewo i prawo, w odpowiedzi poleciały w jego kierunku różne ciężkie przedmioty. Wszystko to działo się na wprost szyby olbrzymiego akwarium, które w końcu uderzone zbyt mocno, przysło wyrzucając fontannę szlamowej wody i szlamowych ryb. Peron w jednej chwili pokrył się szarym nalotem; w którym taplali się podróżni i porządkowi, Unosił się nad tym kłębowiskiem piekielny odór. Woń, jakiej się nie zapomina.

Na trzecim i piątym peronie wybuchły bójki. Na czwartym tłum rzucił się ku wyjściu, lecz okazało się ono zablokowane. Wybuchła panika. Ktoś podpalił pojemniki na bilety. Pochłaniacze odpadków, uruchomione jakimś przedziwnym sposobem w przeciwnym kierunku wyrzucały teraz zgromadzone śmieci, zasypując nimi perony, poczekalnie, kasy, zakłady usługowe, kawiarnie i laery dworcowe, wnętrza rur podróżnych, wnętrza unieruchomionych w nich pocisków. Cały sprzężony system zaczął nagle doskonale funkcjonować, tyle że w odwrotnym kierunku. Najdziwniejsze było to, że przecież wyłączono rozrząd. Widocznie jakieś tłące się prądy wyładowały się w tym procesie. Po dziesięciu minach bombardowanie odpadkami ustało. Stacja Huxla i dwie inne zostały zdobyte przez Strapor.

Jak na razie Offowi szło nieźle. W jego rękach znajdowały się kluczowe punkty miasta. OS obsadziło jednak Coloi i Główny Dworzec Próżniowca, z którego Strapor opanował wyloty w trzech kierunkach.

Reporterzy i dziennikarze z uporem płatali się po ulicach, obwieszani kasetonami, z oczkami kamer wpiętymi w klapy, nałożonymi na dłonie, opasanymi na głowach i rejestrowali każdy najdrobniejszy incydent, każde starcie, każde aresztowanie.

Nie wiadomo przez kogo poinformowani o zagrożeniu tropsjańczycy schronili się w przedstawicielstwach gospodarczych swego kontynentu. Czarny Kwadrat Valaco rozprysnął się po całym mieście. W pierwszej chwili skrył się w melinach i kryjówkach, potem coraz swobodniej wychodząc z nor, włączał się do akcji, siejąc w miarę upływu czasu ogromne spustoszenie.

Goście zagraniczni z przerażeniem spoglądali na ulice z hotelowych okien i barykadowali się w pokojach w nadziei, że ich to wszystko nie dotyczy. Niestety. W kilka min po opanowaniu stacji Huxla Strapor zainteresował się mieszkańcami hoteli. Przetrzęsano je piętro po piętrze, wyciągając opornych z pomieszczeń, wyważając zabarykadowane drzwi, bez względu na różnojęzyczne czy interjęzyczne protesty.

Potem miała przyjść kolej na budynki mieszkalne wielkich dzielnic. Gdyby ktoś znał plan działania Straporu, łatwo by się wymknął z takiej łapanki, ale był to plan dziwny. To rzucanie się na oślep, to znów systematyczne działanie, drobiazgowość pomieszana z rażącą niedokładnością i niesumiennością. Raz aresztowano wszystkich z jakiejś gracyarni, cały hotel, co do jednego mieszkańca spędzano do hal w Cardii, by z kolei potem brać tylko odpowiadających rysopisowi poszukiwanych, mimo że ogół zaatakowanych bronił się czynnie, nawet raniąc porządkowych.

Na razie wszystko sprawiało wrażenie, że OS i Strapor działają wspólnie. Funkcjonariusze obu instytucji starli się wprawdzie w kilku punktach, ale incydenty miały raczej przypadkowy charakter. Szefowie akcji OS i TR nie mogli się porozumieć z Offem, pozostawał dla nich nieuchwytny.

Off wahał się. Czy wypowiedzieć OS otwartą wojnę, tak jak sobie zaplanował? Jego siły były co najmniej dwanaście do piętnastu razy mniejsze niż siły OS. To, że posiadał w tej chwili przewagę, zawdzięczał zaskoczeniu. Miał pokierować akcją przeszukiwania i kierował. Jak dotąd nie mogli mu nic wielkiego zarzucić. Nic. Chyba nie podobna podejmować walki z przeciwnikiem dysponującym potężnymi środkami, choć na razie jest zabezpieczony i stworzył sobie lepszą pozycję do przetargów. Nie wolno tego stracić.

Tymczasem w kilku punktach „miasta zaczęły się w tej samej chwili dziać dziwne rzeczy. Wieści, jakie dotarły do Offa, trochę go zaniepokoiły. Nie planował z pewnością takiego przebiegu wydarzeń. Czyżby OS zaczynało samo wojnę? Nie! To nie wyglądało także i na nich. W alei Gwał przewracano strady, ktoś wybił szyby we wszystkich sklepach przy ulicy Dur-man, ktoś wtargnął do muzeum II Rewolucji i zdemolował je, ktoś inny rozmontował głowice postojowe na

wszystkich postojach ixarów w całej Sout, ktoś otworzył wybiegi i wypuścił na ulice miasta dzikie zwierzęta z D-Erefesa, ktoś rozłączył i uszkodził pomnik dźwięku, który tak głośno ryczał i zawodził na przemian, że mogły popękać bębniaki w uszach. To tylko część faktów z ogromnej ilości informacji, jakie napływały z różnych punktów miasta niemal w tej samej sekundzie. Dobiegały one dziesiątkami przewodów do wielkiego Mózgu Straporu i osobnymi czujnikami do OS. W OS również zapanowała konsternacja, ale już po chwili i oni, i Strapor mieli dokładne rozeznanie sytuacji.

Off domyślił się nieco wcześniej od innych, że na ulice wyszli stronnicy Nowej Ofensywy, niosąc za sobą falę zniszczenia. Zdezorientowana Ofensywa włączyła się na ślepo w nurt wypadków nie wiedząc, co się święci, lecz nie chcąc stracić ewentualnej szansy zwycięstwa. Off czuł, czuł przez skórę, że to na tej grupie Nieuchwytny opiera swe plany, że to w nią wierzy. Off także w nich uwierzył. Poczuł, że nie jest samotny. W ferworze działania odsuwał od siebie poprzednie myśli, które jeżyły mu włosy na głowie. Teraz wróciły one na moment i znów odeszły, zepchnięte na dalszy plan. Nie zastanawiał się, na jakiej zasadzie Nieuchwytny przekonał Nową Ofensywę, może zresztą działała sama z siebie, mniejsza z tym, ważne, że działała.

Tymczasem oddział Offa ruszył w stronę Nordici. Mieli przeszukiwać dom po domu w kwadracie trzy milimetrów na trzy. Off zrezygnował z tego. Postanowił wybierać budynki na chybił trafił. Najpierw co piąty, potem co dziesiąty. Domy przeszukiwano dokładnie od piwnic aż po strychy, penetrując każdy zakamarek, przetrząsając każde mieszkanie. Omal nie posunięto się do zrywania podłóg i rozpruwania łóżek.

Off stał na progu pokoju w jednym z budynków przy Alsies, kiedy przyszła mu do głowy pewna myśl. Nie był pewien, co wyniknie z jego wykalkulowanych na poczekaniu planów. OS może go uznać za prowokatora. Czy to lepiej, czy gorzej? Wahał się jeszcze parę sekund, lecz wiedział, że sprawa jest już przesądzona. Znajdowali się w Nordica, przetrząsali dom po domu. Dlaczego więc tego jednego domu mieliby nie przeszukać?

- Kończcie - odezwał się do swoich ludzi. - Jedziemy do Eldeiso Plomsesa.

- Panie inspektorze - gospodarz lokalu niemal rzucił się na niego. - A kto mój dom doprowadzi do porządku?

W jego głosie zabrzmiało coś, co wzbudziło litość. Mimo strachu przed Straporem i obawy przed rozdrażnieniem w obecnej napiętej sytuacji jego przedstawicieli, co mogło skończyć się dla niego groźnie, człowiek ten zdecydował się na protest. Widok zdemolowanego mieszkania doprowadził go do ostateczności. Offowi zrobiło się naprawdę żal tego człowieka.

- Niech się pan nie przejmuj - powiedział. - Proszę wezwać roboty porządkowe, o ile jeszcze istnieją i funkcjonują w tym potwornym bałaganie, i zlecić im przywrócenie wszystkiego do ładu na rachunek Straporu.

Człowiek najwyraźniej uspokoił się.

- Wychodzimy! - rozkazał Off.

Spod budynku ruszyła kawalkada patrolowców, wyzwalając zapewne liczne westchnienia ulgi okolicznych mieszkańców. Off, choć nie patrzył na okna budynku, w którym przed chwilą przebywali, ani na okna sąsiednich domów, wiedział, że dyskretnie ukryci za firankami, tak żeby przypadkiem nie zwrócić za bardzo niczyjej uwagi, stali ludzie wpatrując się z napięciem w rozpalone, spocone twarze porządkowych, w ich białe mundury i kolorowe pióropusze. Teraz z całą pewnością odetchnęli. Strapor odjeżdżał. Oznaczało to spokój.

Znów inspektor zastanawiał się nad tym, ilu niewinnych ludzi ponosi w dzisiejszym dniu, w ciągu popołudnia i nocy konsekwencje podjętych przez niego kroków. Przez niego? Jego kroki stanowiły przecież jedynie kontynuację działań innych ludzi, całego splotu wypadków. Był to biegnący gdzieś z niewiadomego punktu w przeszłości logiczny ciąg tylko pozornie przypominający splot przypadkowych zdarzeń. Nikt nie potrafi określić, z jakiego powodu, z jakiej faktycznie przyczyny setki ludzi w tym mieście przeżywa chwile strachu, rozpacz i wściekłości. Wszelkie uczucia, wszelkie nadzieje i plany, wszystkie obecne wypadki miały swoje korzenie w tym właśnie nieokreślonym punkcie, zagubionym w czasie. To, co robił Off, co robiła Tajna Rada czy OS, wynikało z tego samego źródła, z tej samej przyczyny.

Tymczasem strady Straporu z wyciem spalaczy powietrza gnały przez wyludnione aleje Nordici, wzbijając kurz i rozbudzając zastygłe w bezruchu korony drzew. Była noc, a właściwie chyba już poranek. Wczesny świt, zupełnie zimny, nierealny.

Off poznał stromą uliczkę, w którą teraz skręcali. Tuż przed nimi i nad nimi rozciągało się osiedle Plomsów. Nie pamiętał dokładnie adresu Biktena, więc łączył się szybko z komendą. Wielki Mózg podał mu dane niemal natychmiast. Zatrzymali się przed największym plomsowcem. Numer mieszkania, 2346, sugerował wysokie jego położenie, gdzieś na szczycie budowli.

- Pojedziemy windą - zwrócił się Ins do swych ludzi.

Kulista klatka windy w ciągu kilku sekund wyniosła ich na żądany poziom. Wysiedli. Długi korytarz oświetlony był nie wiadomo skąd płynącym, seledynowym światłem.

Off patrzy na zegarek. Jeszcze tylko szesnaście seledynowych kwadracików, reszta tarczy jarzy się cytrynowe. Światło także zaczyna się mieszać z jasną żółcią. Mieszkania tutaj muszą być drogie. Spogląda na najbliższe drzwi: 2349. A więc trzeba się cofnąć. Stąpają cicho. To zawodowe, można rzec, przyzwyczajenie. Na korytarzu zupełna pustka. Za drzwiami mijanych pomieszczeń ani jednego szmeru, choć wszyscy zapewne wiedzą o ich przyjeździe.

Słusznie - myśli Off. - Po co się wychylać, a nuż przymkną? Czy Bikten także wie?

Wreszcie przed nimi właściwy numer. Off naciska dzwonek. Wysoki bas gongu dociera ze środka. Jeszcze raz. Nikt nie otwiera.

- Wylamujemy! - rzuca Off.

Na drzwi napierają mocne barki. Plastik trzeszczy. Jeden cios toporem i drzwi rozlatują się na setki ostrych prostokątów, zaśmiecających korytarz. Pierwszy wbiega porządkowy, za nim Off. Przekraczający próg Off zauważa, że lekko uchylają się drzwi po drugiej stronie korytarza.

- Watir! - krzyczy do idącego za nim chłopaka. - Tamte drzwi'!

Watir jednym susem dopada ich, mocnym szarpnięciem wgniata do środka niedomkniętą płaszczyznę. Za drzwiami, w dziwnej pozie spowodowanej utratą równowagi, znajdują przestraszoną kobietę. Nikogo więcej. Wchodzą więc do mieszkania. Nic specjalnego, pierwszy pokój pusty. Błyskawicznie rzucają się do szaf, przeszukują wnętrza, jakby obawiali się zaskoczenia przez ukrytego gdzieś tutaj przeciwnika. Zresztą czy on tu w ogóle jest? - zastanawia się Off, przechodząc do drugiego pokoju. Jest!!!

Off zatrzymuje się w progu niczym rażony gromem. W fotelu pod oknem, zwrócony twarzą do drzwi, w których stoi teraz Off, siedzi Biktenn.

Zaraz, zaraz?!! - Off chwyta teraz szczegóły. - Siedzi czy spoczywa? - inspektor podbiega bliżej. - Tak, oczywiście.

Za nim wpada Watir, za Watirem pozostali. Nieruchomieją w progu.

- Nie żyje - stwierdza Watir.

Na stole na wprost nieboszczyka stoi promiennik. Drugi identyczny promiennik. Wycelowany prosto w głowę Biktenna.

- Samobójstwo - mówi Watir.

Czyżby? - myśli Off. - Przecież to nie on i zresztą jaki to miałyby sens. Nie, niemożliwe. - Obchodzi dookoła fotel. Stara się zajrzeć w rozwarte, martwe źrenice. - Trzeba się skupić - Off myśli coraz bardziej gorączkowo - tu coś przecież nie gra.

Jego zmarszczone czoło rozjaśnia się nagle.

- Nie - oznajmia. - To morderstwo. Czy możecie sobie wyobrazić, że nieboszczyk sam wyłączył promiennik?

- Rzeczywiście - przyznaje Watir, strapiony pochopnością swego sądu i brakiem własnej przenikliwości.

Ale Off nie zwraca już uwagi na to, co się wokół niego dzieje.

- Prowadźcie normalne postępowanie - mówi do swych ludzi

Właściwie dobrze się stało. Co tknęło Offa, żeby się tu wybrać? Teraz ma dostateczny powód, by porozmawiać po raz drugi z OS. Musi zażądać przydzielenia mu pomocniczej ekipy dla ochrony kosmoportu. W sytuacji, do jakiej doprowadził w mieście, było to raczej realne. Dzięki swoim poczynaniom uzyskał teraz mocną i pewną pozycję przetargową. Tajna Rada zapewne już pluje sobie w brodę. Teraz niewątpliwie przestanie istnieć. Jeżeli nie będą chcieli się zgodzić na jego warunki, zagrozi wypowiedzeniem otwartej wojny, sprowadzeniem Revapara i opublikowaniem, w opanowanych przez Strapor drukarniach, informacji o ich tajnych zamiarach. Równocześnie Off zdaje sobie sprawę z tego, że jego przeciwnicy nie zawahają się i zlikwidują go, korzystając z pierwszej nadarzającej się okazji. Trzeba się mieć na baczności.

- Wracam do domu - mówi do Watira. - Zawiadom OS i niech się ze mną połączą. Chcę z nimi rozmawiać.

Opuszczał mieszkanie Biktena czując potworne zmęczenie. Właściwie po co chciał się dostać do kosmoportu? Jego faktyczna rola skończyła się. Nie był nawet pewien, czy całe to zamieszanie, które sobie nieraz uzasadniał i tłumaczył, miało jakiś sens. Właściwie czemu miało służyć? Wyglądało to dosyć bezsensownie. Przecież rozpętując taki galimatias, narażał Nieuchwytnego na ryzyko przypadkowego spotkania. Nie chodziło o to, że mogliby go złapać i uniemożliwić mu wykonanie zadania. Off wiedział, a raczej czuł bardzo wyraźnie, że nic takiego nie grozi Nieuchwytnemu, jednak działanie w takim zamieszaniu, w ogóle choćby swobodne poruszanie się, jest utrudnione.

Chyba że - skonstatował - zrobiłem to wyłącznie dla siebie. Po to tylko, żeby udowodnić swoją siłę TR i OS, by im pokazać, że do ostatniej chwili powinni się ze mną liczyć. Żeby im pokazać, że nie potrafią mnie wykończyć, choćby nawet mieli taki zamiar.

Poza tym czuł, że musi dostać się do kosmoportu. Nie chodziło o jakąś jego akcję, po prostu chciał przy tym być. Wiedział, że tam rozegra się decydująca bitwa, wiedział doskonale, że tylko tam może spotkać Nieuchwytnego. Zobaczyć go. Mieć jakąś pewność.

Pewność czego? Śmieszne. A jednak?

Na początku całej akcji był pewien jej słuszności.

A może to nie jemu o coś chodziło? Czuł, jak włosy znów stają mu dęba. Nie. Nie! Odpędził tę myśl. Starał się odpędzić ją za wszelką cenę. Chociaż było to oczywiste, narzucające się rozwiązanie, nie chciał dopuścić go w pełni do swej świadomości. Mimo wszystko bał się. Bał się panicznie, a przecież już nie powinien. Dziwne. Wolał, aby w momentach gdy jego myśl nie jest zaprzątnięta czym innym, ta momentalnie nadchodząca, druga, przerażająca tkwiła na granicy świadomości. Oczywiście najlepiej byłoby, gdyby w ogóle się nie pojawiała, ale ona wracała z uporem i Off wiedział, że się jej nie pozbędzie. Może tylko zmniejszyć jej intensywność, ból, strach.

Strach przed czym? Przed zagrożeniem? Nie, przecież to jakoś nie mieściło się w schemacie, który sobie ułożył. Strach przed niewiadomą przyszłością? Już prędzej, ale jeszcze nie całkiem.

Strach przed nieznanym. Tak! Zwyczajny strach przed nieznanym, przed postępowaniem, przed czyjąś nieokreśloną potęgą, przewagą. Bezbronność. Dość! Stop! Dalej lepiej już nie myśleć. Przerwać to. Zapomnieć chociaż na kilka chwil.

Zmrużył powieki. Wstęga stratostrady alei Lim rozmazywała mu się przed oczami. Skupił się na sunących z lewej strony czerwonych liniach kierunkowych pasów, na białym malowanych krawężnikach.

Za chwilę będzie Termi. Granatowa toń. Spokojna, łagodnie sfalowana, nic nie wiedząca. Na dnie bezgłośnie kołysane prądami kroczoany kryją w swych pienistych zakamarkach kolorowe jak tęcze ryby. Kroczoany. Wolały być kroczoanem. Roześmiał się mimo woli.

Strad mknął teraz przez most. Ciekawe, dokąd to wszystko może go zaprowadzić? Dokąd może, a dokąd zechce? Off nacisnął przyspieszacz. Czuł, że zaraz się rozleci, jeżeli nie odpocznie. Prędeej. Prędeej do domu. Już widać charakterystyczne strzeliste wieżyczki Delanu, spiczaste dachy, smukłe prostokąty starych kamienic. Jeszcze kilka zakrętów, kilka wąskich uliczek. Już.

Strad zatrzymał się cicho. Off zatrzasnął drzwiczki i z przyzwyczajenia zerknął na szczyt kamienicy. Robił to zawsze. Machinalnie. Jakby za którymś razem mógł go tam. nie znaleźć. Skierował swój wzrok gdzie indziej, kiedy uświadomił sobie, że w jego oknach pali się światło.

- Do diabła! - wycedził.

Odbezpieczył kufę. Pomyślał, że marzenia o chwili spokoju na razie nie uda się zrealizować. Musi się skupić. Kto wie, czy nie po raz ostatni. Być może to decydujący raz. Ręka nie powinna zdrzeć, a świadomość i refleks zawieść. Powoli zaczął wchodzić na schody. Tym razem przepiękna sień, która zawsze robiła na nim wrażenie, jakby widział ją po raz pierwszy, w ogóle nie przykuła jego uwagi. Stąpał po schodach bezszelestnie, z miękkością tupanga. Zawodowy krok - przemknęło mu przez myśl.

Kiedy znalazł się na ostatnim piętrze, zauważył, że drzwi jego mieszkania są niedomknięte. Sączyła się przez nie smuga jaśniejszego światła z przedpokoju.

Stanąwszy z boku, plecami przy ścianie, pchnął drzwi nogą. Rozwarły się bez szmeru, na całą szerokość. Teraz światło wylewało się na klatkę szerokim potokiem. Wewnątrz cisza. Ani jednego dźwięku. Przykucnął. Z tej pozycji, ostrożnie wychyliwszy głowę za framugę, zlustrował widoczne fragmenty pomieszczenia.

Wstał. Schował kufę do kieszeni. Wszedł do mieszkania pewnym krokiem, choć widok, jaki się przed nim roztoczył, przyprawił go o drżenie kolan.

Nie zastał tu nikogo, to pewne, bo zrobiono już, co miano zrobić. Mieszkanie było doszczętnie zdemolowane. Łóżko rozprute. Strzępy materaca wały się po podłodze. Pocięte zasłony zwisały spod sufitu. Pod nogami chrzęściło szkło z porozbijanych szyb i półek. Sterty książek o porozdzieranych jakby w furii grzbietach, z powyrywaniem, zgniecionymi w kulki kartkami wały się po kątach. Przewrócony na środku pokoju fotel nie miał nóg. W powietrzu unosiło się pierze z pościeli, przekrzywiony żyrandol sączył równomierne i ciepłe jak zawsze światło.

Rozgniatając butami szkło, wszedł do kuchni. Szafki pozrywane ze ścian tarasowały wejście. Wszystkie produkty, dokładnie ze sobą zmieszane, zaścielały równomierną warstwą podłogę, malowidło na ścianie było podziurawione czymś ostrym. Może nożem?

Łazienka, zalana wodą po kostki, tonęła w pianie supaloru. Pęcherze supaloru fruwały pod sufitem. Przybory toaletowe i płyny tworzyły w wannie kolorową miazgę, która malowniczym zaciekiem sączyła się do kanału.

Zamknął drzwi łazienki i wrócił do pokoju. Usiadł na rozprutym łóżku. Narastała w nim wściekłość. Niczym nie skrępowana, wypełniająca każdy nerw, tępa i ^bezmyślna. Wściekłość, która rozwierała mu przed oczami czerwoną

otchłań. Skronie pulsowały. A jednak czuł się uspokojony! To, co zastał, było mu przynajmniej znane. To nie Nieuchwytny zdemolował jego dom. A więc Off mógł się całkowicie przestać go obawiać. Czuł to od dawna, niemal od początku tej ponurej historii. Czuł, że człowiek, którego początkowo ścigał, nie może być naprawdę jego wrogiem. Mogli to zrobić tylko ludzie z OS i z pewnością zrobili to na zlecenie TR. Off był o tym przekonany.

Położył się. Wyciągnął ręce nad głową i zamknął oczy. Nadchodziło odprężenie. Rzucił okiem na biurko stojące przed oknem i zamarł.

Wstał raptownie, aż zatrzeszczały mu stawy. Podbiegł do biurka i chwycił łapczywie leżący na nim przedmiot. Przez chwilę wpatrywał się w niego uważnie, zastanawiając się, co też może w tym miejscu oznaczać.

- Proporzec z „Bandery”... - wyszeptał. Tylko jeden człowiek mógł go tutaj zostawić. Chyba że powierzył go komuś innemu. Nie. Nie postąpiłby w ten sposób. Ów proporzec to dla niego niewątpliwie najważniejsza zdobycz, największe trofeum w całej karierze. Gulm nie oddałby go nikomu, nawet na łożu śmierci.

Więc skąd się tu wziął? Gulm leży przecież w uniwermedzie i pozostanie tam jeszcze przez jakiś czas. Obrażenia, jakich doznał, okazały się poważne. Oczywiście wyjdzie z tego, ale nie tak prędko. A nawet jeżeli to on we własnej osobie, czy też jakiś jego pełnomocnik, czy ktokolwiek inny, to po co wetknął proporzec w stertę papierów na biurku? Co to, do diabła, oznacza? Kolejna łamigłówka.

Off nie miał już zupełnie siły. Bez przerwy tkwił w łamigłówkach. Za każdym razem, kiedy udawało się coś wyjaśnić, automatycznie - jakby jedno wypływało z drugiego - pociągało to za sobą kolejne ogniwo zagadki, ukazując kręte labirynty nowych, niekończących się pytań bez odpowiedzi, rodzących się wątpliwości, które wiodły go w ciemność bez dna.

Wprost fizycznie poczuł, że się dusi. Rozluźnił kołnierzyk i zaciskając proporzec w ręce, osunął się na poduszki, wzniecając nową zamieć pierza. Leżał bez ruchu, czując żelazną obręcz ściskającą mu gardło. Nie mógł złapać tchu. W głowie szum niespokojnych, skłębionych myśli.

I raptem cisza. Już wiedział! Nie odważył się zastanawiać, skąd i jak przyszła ta świadomość, ale wiedział, że Gulm nie żyje. Czuł także bardzo wyraźnie i jednoznacznie grożące mu ze strony Tajnej Rady niebezpieczeństwo. Na czym ono polega dowie się we właściwym czasie.

Tym razem jakoś lżej przeszedł ów kontakt. Bo to był kontakt! Czy to Oni zniszczyli ten dom? Chyba tak. Po co? Jasne, musieli go wprowadzić w odpowiedni stan. Poprzednim razem także został wprowadzony w odpowiedni stan. Teraz na szczęście nie skończyło się w uniwermedzie.

Nieoczekiwanie dla samego siebie przypomniał sobie, jak w makabrycznym śnie, scenę z „Bandery”.

Ucieka długim korytarzem. Biegnie, ile sił w nogach, a ma ich w nogach niewiele. Kolana miękkie. Grzbiet piecze po torturach. Ręka zwisa bezwładnie, w zaciśniętej pięści ściska tak jak w tej chwili - proporzec. Mija sztolnie, biegnie

zawiłym labiryntem bocznych korytarzy, gdzieś niedaleko jest barykada. Przed barykadą, nie wiadomo w którym miejscu, skryte czujki. Coraz bardziej zbliża się miarowy łomot przodka. W przodkach bez przerwy trwa praca. Upał się wzmagają.

Off nie przerywa biegu. Łomot rośnie. Między barykadą a czujkami jest komora. Off musi się do niej dostać. W dłoni zwilgotniały poręcz. Sytuacja - wygląda tak, że najpierw trzeba pokonać przodek, tam kuje się barierę, choć od czasu do czasu dochodzi do jakiegoś starcia, bądź co bądź to jest sam front, potem dopiero barykady broniące segmentu w razie gdyby tamci doszli aż tak daleko. Tutaj musieliby się zatrzymać. Barykada dysponowała niezłą siłą ognia i mogła się bronić miesiącami. Potem komora. Następny etap. Nie, inny etap. Zupełnie inne miejsce niż wszystkie na „Banderze”. Każdy segment miał swoją komorę. Wstęp do niej mieli tylko zwiadowcy i to na pisemny rozkaz z trzema pieczęciami. Teraz, kiedy w trzech Systemach toczyły się walki, wszelkie wejścia do komór zostały zaniechane.

Off nie był nawet zwiadowcą i choć miał przepustkę, nikomu nie przyszłoby do głowy wpuścić go do komory.

Wreszcie czujniki. Cały teren: Przodek, Barykada, Komora i Czujki, był wydzielony z cywilnych pomieszczeń Segmentu i nie wszyscy Czarni Bracia mieli tutaj prawo wstępu. Wchodzić mogli tylko ci, którzy otrzymali poręcz.

Off miał poręcz, ale nie otrzymał go od Dowódcy. Off ukradł go podstrażnikowi Gulmowi, który pilnował go, znęcając się nad jeńcem w wyszukany sposób.

Off biegł teraz, za wszelką cenę usiłując uciec prześladowcom, uciec i doprowadzić do końca swoją misję, uciec i uratować życie. Wybiegł zza zakrętu w nowy prosty korytarz. Nie znał tego Segmentu, został tu przywieziony po zdemaskowaniu go jako szpiega. Do tej pory był kandydatem na podzwiadowcę I Kategorii, jak to się tu nazywało w VII Systemie. Nie uzmysławiał sobie zupełnie, w którym miejscu mogą być czujki. W swoim Segmencie nauczył się je już rozpoznawać po jakichś bliżej nieokreślonych symptomach, ale tutaj zupełnie obcy pej-zaż całkowicie uniemożliwił rozpoznanie. Zatrzymali go w połowie korytarza.

- Stój Czarny Bracie!!! - huknęło ze wszechstron.

Zauważył wejście do Komory, ale jeżeli się natychmiast nie wytłumaczy, nie zdąży zrobić już żadnego ruchu ręką.

I wówczas machnął poręczem.

- Mam rozkaz donieść polecenie dla Czołowego Wichcha.

Nagły dzwonek przerwał Offowi jego rozmyślenia, obraz z przeszłości ulotnił się i nie zostało z niego nic prócz wspomnienia gwałtownych skurczy serca w nagłych przyływach strachu.

Dzwonek powtórzył się. To fon. Pewnie OS chciało się z nim rozmówić, a może nawet Tajna Rada?

Podszedł do fonu i już miał go przełączyć, gdy przypomniał sobie o wyglądzie pokoju. Prędko nakrył obiektyw strzępem firanki i dopiero wówczas przełączył. Na

ekranie również była pustka, widocznie jego rozmówcy także pozastłaniali swoje kamery.

- Tu mówi OS i Tajna Rada. Czy Ins Off?

- Tak.

- Chcemy zaprosić cię do wzięcia udziału w naradzie, ale musimy mieć pewność, że to ty i że nie ma przy tobie nikogo. Odsłoń obiektyw!

- A jeżeli nie zrobię tego?

- To nie mamy o czym mówić!! Off zawahał się. Właściwie mógł im przecież pokazać w każdej chwili to, o czym dobrze wie dzieli, bo nie ulegało wątpliwości, że to oni zdemolowali tak jego mieszkanie, choć nie oni wetknęli porzecz. Nieuchwytny musiał być tutaj po nich.

- Zgoda - powiedział Off. - Czy inni członkowie tej narady zrobią tak samo?

- Nie. Nie możesz poznać ich twarzy! Jeżeli chcesz wziąć w niej udział, musisz podporządkować się tym warunkom!

Ins zdawał sobie sprawę, że takie stawianie sprawy ma na celu poniżenie go, lecz godził się na to, aby uderzyć tym dotkliwiej. Chęć poniżenia go świadczyła zresztą dobitnie o strachu przed nim.

- Zgoda - oznajmił zdejmując z obiektywu szmatę.

- Teraz dobrze! - odezwał się głos z fonu. - Musisz wykonać jeszcze kilka poleceń, nim rozpoczniemy naradę.

- Jakich?

- Najpierw przyrzeknij...

- ...Nie jestem idiotą - przerwał tamtemu. - Nie mam zamiaru niczego nikomu przyrzekać!!!

- Dobrze. Przełącz więc wizję na poszczególne pomieszczenia. - Głos nie zdradzał żadnego zdenerwowania, raczej pobłażliwość.

Off przełączał fon po kolei, najpierw na kuchnię, potem na łazienkę i wreszcie przedpokój, po czym ustawił pokrętko w pierwotnym położeniu.

- Doskonale - powiedział głos bez żadnej wyraźnej intonacji. - Musieliśmy mieć pewność, że jesteś sam, Ins.

- Skoro ją już macie, to co dalej? - Off zaczynał się niecierpliwić tym przeciągającym się ceremoniałem.

- Teraz wyłóż przed oko kamery wszystkie urządzenia rejestrujące, jakie posiadasz przy sobie i w mieszkaniu.

- Przy sobie nie mam nic!

- Wyjmij więc wszystko z kieszeni i wyrzuc je na wierzch.

Off układał różne przedmioty na pulpicie przed okiem kamery. Na samym szczycie piramidki spoczęła kufa. Stał ze wzrokiem wlepionym w ekran, na środku pokoju, z wybebeszonymi kieszeniami. Czuł, że robi z siebie pajaca. Musiał wyglądać w tej chwili idiotycznie.

- Teraz domowe rejestratory - powiedział głos i Off usłyszał w nim całkiem wyraźny tłumiony uśmiezek.

- Wszystkie rejestratory w domu są zniszczone! - wyrzucił z pasją. - I dobrze o tym wiecie, a jeśli nie, to przełączyłem was na kolejne pomieszczenia, mogliście sobie je obejrzeć! - Miał już dosyć.

- Zgadza się - rzekł niewidoczny rozmówca. - Musieliśmy przygotować twój dom do tej ważnej rozmowy.

- Skąd wiedzieliście, że będę chciał ją odbyć?!

- To najmniej istotne w tej chwili.

- A skąd pewność, że będę chciał rozmawiać z wami z tego miejsca, mogłem to zrobić gdziekolwiek indziej?!

- Nie do ciebie, Ins Off, należał wybór miejsca - poinformował go spokojnie głos. - A teraz skończmy już pogawędkę. Włączają się członkowie Tajnej Rady i dowództwa OS.

Dźwięk gongu będzie sygnałem rozpoczęcia narady.

Zaległa cisza. Po chwili rozległ się wysoki gong i starczy, trzęsący się tenorek otworzył posiedzenie od powitania. Tradycyjnie.

- O czcigodni.

Offowi omal nie przewracały się flaki.

- Tematem dzisiejszego posiedzenia jest sprawa Ins Offa - kontynuował.

Nazwisko Offa wymawiał niczym syk, przedłużając głoskę „f” i wyładowując na niej całą nienawiść. Zresztą może się tak tylko Offowi zdawało, był napięty i podekscytowany. Przygotowany w pełni do podjęcia walki w bitwie sprowokowanej przez siebie samego.

- Ins Off - mówił ktoś inny basem - dopuścił się wielu wykroczeń, za które musi zostać ukarany z całą surowością.

- To fakt - powiedział tenorek. - Od długiego już czasu Tajna Rada z niepokojeni obserwuje poczynania tego człowieka, które nie tylko godzą w nią, ale i we wszystkich obywateli i współmieszkańców naszego kontynentu, a nawet planety.

- Nie zajmujmy się zbyt długo tą bzdurą - odezwał się jakiś nowy, nieznany inspektorowi głos. - Wiemy, czego się dopuścił, lista jego przestępstw składa się z kilkunastu punktów, treść oskarżenia doskonale znamy, więc tylko przegłosujmy. I koniec.

- Na Miłość Pana - zaintonował ktoś nosowo. - Nie mamy przecież czasu na bzdury. Spieszmy się. Pozostały zaledwie cztery godziny.

A więc to tak - pomyślał Off. - Start za cztery godziny. Tak znacznie go przyspieszyli. Wydawało się, że nie zdążą wcześniej niż na jutro rano. Ci kretyjni chcą mnie osądzić i po prostu skreślić z listy. Załatwić sprawę od ręki. Nie tak łatwo. Nie tak łatwo, dziadkowie, pozbyć się Offa.

Głosy z ekranu, splątane w dyspucie, nie docierały do niego, a raczej docierały jako szum, brzęczenie niewidzialnej, ciężkiej jak surming muchy. - Co im powiedzieć? Jak się zabezpieczyć?

- Ins Off - ciągnął tenorek - na szczęście został przez pana Taquanarę odsunięty od kierowania akcją, oddziały Straporu sprowadzono do swoich komend. W mieście panuje względny spokój. Tak więc podejmijmy decyzję.

- Sugestie OS są podobne. Myślę, że możemy przystąpić do głosowania.

Offowi zdawało się przez chwilę, że cały świat runął mu na głowę. Czy to możliwe? Taquanara go zdradził? Zrobił to świństwo! Ins ukrył twarz w dłoniach. A więc to tak... Jego sytuacja zmieniła się teraz. Zmieniła się bardzo.

Czy ktoś pozostał przy nim? Na pewno trzy skompletowane przez niego doborowe brygady. Jeszcze nie wszystko stracone.

- Może przed podjęciem decyzji wysłuchamy oskarżonego? - zaproponował z ekranu bas, - Niech powie ostatnie słowo.

- Ins Off - głos był skierowany do niego. - Co masz nam do zakomunikowania?

Zebrał w sobie resztki tłącej się energii i zaczął powoli, ściszym tonem, lecz w miarę mówienia rozpalał się coraz bardziej: - Czcigodni. Mimo że sami siebie zwiecie w ten sposób i nakazujecie innym tak siebie nazywać, za każdym razem, kiedy wymawiam w stosunku do was tę formułę, przechodzi mnie dreszcz obrzydzenia.

Odezwały się protesty i żądania odebrania mu głosu, ale Off nie krępował się zupełnie niczym.

- Nie przerywać!!! - ryknął z taką pasją, że zaległa cisza. - Wy bezmyślne truchła - wycedził. - Wy, którzy sami macie splamione krwią ręce chcecie mnie sądzić i skazywać? Wy! Zawodowi mordercy mienicie się być sędziami?! To śmieszne. Wydawało się wam, że jesteście chytry i przebiegli, że zwyciężyliście. Zgubiła was pewność siebie. Zdradzę wam tę tajemnicę - godziny waszej władzy są już policzone. Powinniście jasno zdać sobie z tego sprawę. Ale zapewne w to nie uwierzycie. Mniejsza z tym! Ja, Ins Off, dotrę do kosmoportu i tak. Ja i moje brygady. A wtedy żaden statek hiperprzestrzenny nie wystartuje już nigdy. I nie traktujcie tego jako żart. Brygady Watira, Dagera, Agisa i cała Nowa Ofensywa pójdą za mną, a tekst waszych dokumentów wypuszczony z zajętych przez nas drukarni obiegnie świat! Wszystkie kontynenty i wszystkie prowincje dowiedzą się, jak się sprawowała Tajna Rada, a wtedy porozmawiamy już inaczej!

Zapadła długa, kłopotliwa chwila ciszy. Wreszcie zabrał głos tenorek.

- Pomyliłeś się, synu - rzekł. - Pomyliłeś się nie po raz pierwszy. To nie nasze godziny są policzone, lecz twoje miny. W czasie swojej przemowy zostałeś jednogłośnie skazany. Nie może być litości dla ciebie, Ins Off. Twoje myśli są jedną wielką herezją. To tyle.

Ekran zgasł. Wszystko wydawało się jasne. Nie przeraził Rady, nie bali się. Czyżby byli aż tak silni? Wykonawcy wyroku są już na pewno w drodze. Myśl biegła teraz gorączkowo. Spojrzał przez okno. Światło. Niebo czyste. Tylko jedna chmura gnana wiatrem pędziła w kierunku jego domu przykuwając uwagę. Patrzył na nią jak urzeczony. Chmura zniżyła się i powiększyła. Jej brzegi przestały być strzępiaste, wyokrągliły się, barwa nabrała wyrazistości. Chmura coraz bardziej przekształcała się w... tak, w kulę. Zieloną kulę.

Off stracił przytomność. Osunął się na podłogę, zrywając pociętą zasłonę. Pod powiekami pozostał mu obraz całkowicie przekształconej, opalizującej zielonkawo kuli. Potem zapadła zupełna noc.

Kosmoport przypominał beczkę prochu. Przyspieszenie startu spowodowało niebywałe zamieszanie i wprowadziło napięcie trudne do opanowania. Każde drobne nieporozumienie przeradzało się zaraz w incydent. Ludzie potracali się, przeklinali i patrzyli na siebie krzywo. Technicy, zajęci ostatnimi przeglądami, zwijali się jak w ukropie. Kosmonauci przebywali w budynku głównym, żegnając się tylko z najbliższymi, których wpuszczano po starannej kontroli. Czas pożegnań został skrócony do jednej godziny. Teren całego kosmoportu otoczony był przez Brygady Bezpieczeństwa nie tylko walcańskie, ale i ściągnięte z innych miast Boydu, Copeau i Orratyai. Ładowacze towarzyszyli ciągniętym przez automaty wózkom, załadowanym ostatnimi niezbędnymi pakunkami ze sprzętem. Pożegnania także miały charakter nerwowy, nienaturalne w takiej sytuacji słowa, sztywne gesty. Jak można się swobodnie czuć pod czujnymi spojrzeniami śledzącymi każdy gest, każdy ruch. Off nie dziwił się temu. Obserwował wszystko bardzo dokładnie. Na razie nie działo się nic specjalnego.

Oficjalna kronika kręciła oficjalny laeran i nagle Off zobaczył siebie. Stał w kącie, niedaleko wejścia, w którym sprawdzano personalia. Czy to możliwe? Obserwował siebie, jak nerwowo obgryza zapalki, rzucając jedną po drugiej na błyszczącą posadzkę. Jakoś nikt nie zwracał na niego uwagi, nikt go nie rozpoznawał. Może to zresztą nie on, a tylko ktoś podobny, ale przecież i na podobnego zwróciliby natychmiast uwagę.

Nagle pojął. Pojął w momencie, gdy jego sobowtór oderwał się od ściany. Oni nie widzieli tego, co widział Off. Nie widzieli jego, lecz kogoś zupełnie innego. Sobowtór szedł w stronę drzwi i Off nie bardzo mógł się zorientować, o co mu może chodzić i po co idzie w tę stronę.

Wszystko wyjaśniło się w sekundę... Sobowtór zamienił kilka słów z OS-owcem sprawdzającym przybyłych, który kontrolował właśnie młodą dziewczynę. OS-owiec mrugnął do niego i już dziewczyna zawisła Offowi na szyi. Przyszła się pożegnać. Tulili się długo, aż ktoś odepchnął ich z przejścia, wygłaszając jakąś nerwową uwagę. Sobowtór z dziewczyną wrócili do narożnika. Niedaleko były wejścia do toalet.

Nagle zobaczył pola kosmodromu. Płynął nad gładkim placem zbudowanym ze złotawych płyt. Zbliżał się w stronę statku. Z jego wyżyny ludzie sunący w automatycznych transportowcach wyglądali jak szereg skrzętnych szarych mrowiców, ciągnących co popadnie do swego gniazda. Statek kształtem przypominał ziemniak. Ziemniak? Co to jest ziemniak? Ach... Już rozumiał, bulwa gerua. Statek miał kształt gorua. Nieregularny, pękaty, z licznymi wyrostkami sterczącymi w różnych punktach niczym kiełki korzeni ledwo co wyklutych.

Obraz zbliżył się teraz i dokładnie widać było jeden z transporterów, w nim siedział ładowacz. Off skierował swój wzrok w stronę sztolni, w którą wjechała kolumna pojazdów.

Wewnątrz panował półmrok. Na mostku, gdzieś pod sufitem stał skryba. Notował każdy przedmiot. Na dole poganiacze ponaglali tych, którzy pozostawili już towar, aby opuścili statek. Ładownia była olbrzymia i zgromadzone w niej zapasy i przedmioty nie zajmowały chropowatej płaszczyzny podłogi. Nie wiadomo skąd Off rozumiał wszystko, co się tu działo.

Ujrzał teraz korytarz, po którym kręcili się technicy. Kieszenie ich kombinezonów wypełniały najróżniejsze przedmioty, krany, kraniki, klucze, rurki, wałki, światłowody. Kręcili się nieustannie we wszystkich możliwych kierunkach, w ponurej ciszy, co najwyżej miotając od czasu do czasu przekleństwo.

Dotarły do niego z najbliższej kabiny fragmenty rozmowy oficerów.

- Na jeden obrót przed układem.
- Tak. Dojdziemy tam przez Hiper.
- Potem normalnie.
- Tak, potem normalnie.

Obraz przeniósł Offa do ładowni. Skryba zamykał notatnik. Zatrząskiwiał śluzy za ostatnimi ładowaczami opuszczającymi pokład. Z głuchym łomotem opadła śluza. Echo tego łomotu przetoczyło się przez puste, rude płaszczyzny, rozpostarte daleko jak okiem sięgnąć na zewnątrz statku. Tylko po jednej stronie widać było niski biały budynek i gęste zarośla.

Widok oddalił się znowu. Tym razem ogarniał wszystko z jeszcze większej wysokości niż na początku. Ogarniał wzrokiem całą wyspę, na której leżał kosmoport.

Należała ona kiedyś do Boydu, potem do Orratyai i jeszcze kilka razy na zmianę do kogo innego, aż wreszcie, na krótko przed Pierwszą Rewolucją dostała się w wyniku układów Orratyai i tak już zostało.

Wtem Off ujrzał na pełnym morzu tratwę. Niewielką, seledynową, dmuchaną tratwę, a w niej kilku ludzi. Na razie nie potrafił określić ilu ich było. Chyba czterech. Nagle zobaczył ich jak przez lornetkę, z bardzo bliska, nie na tyle, by rozpoznać rysy, ale wystarczająco blisko, by policzyć, że jest ich pięciu i że wszyscy są mężczyznami. Za nimi, do połowy zanurzona w wodzie, chwiała się na falach gigantyczna niczym zachodzące słońce, zielona kula.

Off rozejrzał się dookoła. Wyspę otaczały inne, rozkołysane na dużych przyływowowych falach, kule!! Było ich sześć. Sześć zielonych kul, które, wiedział to doskonale, mogły tu przybyć niepostrzeżenie tylko dzięki wywołanemu przez niego zamieszaniu w Valaco. Mogły przybyć, by otoczyć wyspę pierścieniem swych pól, nałożyć na jej powierzchnię i niebo siatkę swych fal o nieznanym i niesamowitych właściwościach.

W tej chwili kule traciły coraz wyraźniej swą charakterystyczną barwę. Zatracał się niepokojący i przerażający, jak go Off określał, odcień zieleni, zupełnie nieznaną na Phasangu. Powoli odbarwiały się coraz bardziej i miejscami przenikał już przez nie krajobraz, odległy horyzont, niebo i morze. Wkrótce znikły zupełnie i Off nie mógł dalej obserwować ich zgrabnych, lekkich sylwetek.

Za to tratwa dobiła do brzegu. Do brzegu południowego. Tę część wyspy pokrywało trochę brudnozielonej roślinności, wśród której stał, skryty jednym rogiem, biały budynek kosmoportu. Off popatrzył na południe. Dalej, gdzie majaczyła niewyraźnie szarawa smuga, niemal identyczna ze smugą morza i nieba, łączącymi się na horyzoncie, widniał brzeg Boydu. Morze niesło dochodzące stamtąd pomruki.

Off zrozumiał. To nad Valaco i Altalem unosiły się smugi dymów, toczyły się ciężkie walki. Nowa Ofensywa tym razem poważnie zorganizowała swoje wystąpienia. Tam gdzieś, nie wiadomo po czyjej stronie, walczyli Dager i Agis. Miał nadzieję, że po właściwej stronie. Sentymentalizm. Sentymentalizm u niego? Nie znał tego uczucia i nie znał tego pojęcia.

Zadawał sobie nadal jedno dręczące pyta nie. Dlaczego właśnie on? Wiedział, że nie uzyska na nie odpowiedzi. Nigdy. To tak, jakby pytać, dlaczego drzewo, które nazywamy sur, ma czerwone liście, choć mogłoby mieć niebieskie, dlaczego tropsjańczycy są niebieskoskórzy, a piunelijczycy mają ciała zabarwione czerwono, nie zaś na odwrót. Albo dlaczego vollańczyków nazywa się vollańczykami, a nie na przykład trakidami. Pytania bez odpowiedzi. Niewytłumaczalne, nierozwiązane.

Tymczasem ludzie wyszli na polanę świecąca jak mała łysina w kępie lasu. Zatrzymali się. Dyskutowali nad czymś.

Off wyteżył wzrok i przyjrzał im się dokładnie. Bardzo dokładnie. Obraz przybliżył mu obserwowanych. Jeszcze nie potrafił wprawnie kierować za pomocą woli zmniejszaniem i zwiększaniem pola widzenia, przybliżeniami. Przez chwilę zastanawiał się, jak się to dzieje, lecz natychmiast dał sobie spokój. Jak oni pomniejszają i powiększają obraz? Jakżeż on, przeciętny phasangańczyk może to zrozumieć?

Teraz przyglądał się więc pięciu mężczyznom z całkiem bliska. To, co zobaczył, rozśmieszyło go niemal. Ależ to pięciu Offów!!

Pięciu plus jeden w budynku to sześcioro - pomyślał. - Trzeba zobaczyć, co dzieje się tam, w środku.

Przestał obserwować mężczyzn w momencie, gdy przywarowali w trawie, tuż za graniczną kępą drzew. Patrole, kręcące się naokoło i niemal ocierające się o nich, jakoś ich nie zauważały.

Kawalkada transporterów dotarła już do białego budynku. Właśnie zniknęły w brzuchu przycumowanego do kotwicznego słupka olbrzymiego sterowca. Zanim obraz przeniósł Offa do pomieszczenia pożegnane, sterowiec wzniósł się i zatoczywszy łuk, pożeglował w stronę brzegu orratyaiskiego, turkocząc kolorową flagą.

Wewnątrz budynku panował nieopisany gwar. Pożegnania dobiegały końca. Off nie zauważył dziewczyny, która przyszła odprowadzić jego sobowtóra, nie mógł także odszukać jej towarzysza. Tymczasem na zewnątrz powstał nagle jakiś ruch. Rozmowy umilkły, ludzie tłocząc się i cisnąc, przez oszklone drzwi wylegli przed budynek. Po złocistej płaszczyźnie, szeroką tyralierą mknęło w stronę statku, co sił w nogach, pięciu Offów. OS-owcy, ustawieni w rzędzie, mierzyli do nich z

długich kuf i po sekundzie seria rozrywających się pocisków rozpruła płyty i wznieciła kurz, który zasłonił uciekających. Oficer pieklił się i wzywał na pokład statku.

- Halo! Statek?! Halo statek?! Zamknąć włazy! Pięciu nieznanych osobników zamierza dostać się do środka! Wystawcie strzelców!

Kufownicy nie potrafili jednak zatrzymać biegnących.

- Dawać patrolowiec!! - wrzeszczał oficer. Zachowywał się jak na linii frontu, choć nigdy nie widział w swym życiu prawdziwego frontu, co najwyżej w laerze czy oniku. Patrolowiec zajechał z impetem. Ledwo zdążył wyhamować przed oficerem, a już ruszył w momencie kiedy tamten wchodził do środka. Oficer porwany nagłym pędem stracił równowagę, ale złapał się listwy i utrzymał wewnątrz pojazdu.

Sobowtóry miały do statku jakieś 1000 metronów. Patrolowiec gnał za nimi z dzikim wyciem syreny. Pod lukami statku ustawiała się linia kufowników. Biegnących wzięto teraz w potrójny ogień. Od strony budynku, od luków statku i z wnętrza patrolowca sypał się na nich grad pocisków. Jakoś nie udawało się ich trafić.

Nagle od stojącej przed budynkiem grupy ludzi oderwało się trzech mężczyzn i ruszyło w ślad za sobowtórąmi. Przemierzali płaszczyznę wielkimi skokami, niemalże muskając tylko jej powierzchnię. Wśród nich było dwóch kosmonautów i jeden z kufowników. Przerwano ogień. Zapanowała konsternacja. Jakiś oficer nawoływał ludzi i wydawał gorączkowe rozkazy. Nie można było teraz atakować.

Tymczasem sobowtóry dobiegały już do statku. Byli na wprost luków i stojących niżej strzelców. Tuż za ich plecami pędził patrolowiec. Patrolowiec zrównał się z uciekającymi. Miał ich teraz po prawej stronie i wyrzucił gęstą sieć. Sieć zatoczyła wysoki łuk i opadła na pędzące sylwetki płataniną sznurów.

Pojazd zahamował gwałtownie, strzelcy otwarli szeroko oczy, oficer w osłupieniu otworzył nawet usta. Wszyscy z niedowierzaniem wpatrywali się w spoczywającą na złotej płaszczyźnie pustą sieć. Sobowtóry znikły! Rozpłynęły się po prostu.

Za następną trójką podążał już kolejny patrolowiec, turkocząc w powietrzu przygotowaną zawczasu siecią. Dogonił biegnących, nim prze-mierzyli 200 metronów i wystrzelona sieć z traskiem spoczęła na nich, zapętleła się, ścisnęła, powodując kłębówisko. Biegacze ciskali się w niej jakiś czas, aż wreszcie dali spokój. Patrolowiec wracał, ciągnąc ich za sobą. Za nim sunął drugi pojazd z głównym oficerem.

Wydawało się, że zapanował spokój. Od strony statku podjechały dwa duże ixary wiozące ekipy techników. Zbliżała się chwila startu. Pod ścianą rozplątywano sieć i wydobywano z niej biegaczy, którzy po przebytych szoku z wolna wracali do siebie. Była przy nich grupka oficerów. Odpędzono rodziny dwóch kosmonautów. Główny oficer wprowadził kosmonautów do niewielkiej dyżurki przylepionej jak narośl do boku budynku, żeby przeprowadzić przesłuchanie. Nie siadając nawet za

okrągłym stolikiem, tuż po zamknięciu drzwi oficer rzucił się niemal na bliżej stojącego kosmonautę.

- Nazwisko!! - wycharczał.

Zdawało się, że słowa wyrzucane przez wąskie usta, zadławiały go. Poczzerwieniał i jeszcze raz zaintonował, a głos zjechał mu falsetem do tenoru.

- Mów nazwisko, kreaturo!!!

Oszołomieni biegacze, którzy nie umieli wytłumaczyć sobie, co właściwie zaszło, milczeli. Oficer zmiękł nagle. Odwrócił się na pięcie i stał chwilę, wpatrzony w okno. Nowy wybuch jego pasji był, jeżeli to w ogóle możliwe, jeszcze gwałtowniejszy.

- Nie chcesz się odzywać, ścierwo! - krzyczał.

- Roy Pololan - powiedział cicho stojący bliżej oficera człowiek.

- Roy Pololan! Powiedz mi natychmiast Pololan, po co biegłeś w kierunku statku?! No, odpowiadać!

- Nie wiem.

- Nie sądzisz chyba, że ci uwierzę?! Przecież nie robiłeś tego dla zdrowia! O co ci chodziło?!

- No, nie - odpowiedział strapiiony człowiek. - Nie był to bieg po zdrowie.

- Więc co?!...

- Nie mam pojęcia. Nagle poczułem... że muszę biec. Po prostu muszę! Nic więcej nie wiem - kosmonauta nerwowo kręcił się na boki, przekładając to na przód, to do tyłu wielkie dłonie.

- A ty?! - tym samym, tonem oficer zwrócił się do drugiego.

- Mogę jedynie powiedzieć - odparł tamten - że poczułem to samo co Roy. Nieprzepatą chęć biegu. Tylko tyle. To dziwne. Coś takiego nigdy dotąd mnie nie spotkało - zdawał się być autentycznie zdziwiony całym tym wydarzeniem.

Oficer zastanowił się. Nie był głupim pracownikiem, choć może trochę impulsywnym i nieopanowanym. W głosach badanych kosmonautów nie wyczuł fałszu. Zdarzenie to, w połączeniu z raptownym zniknięciem pięciu ludzi, wyglądających identycznie jak Ins Off ze Straporu, który tymczasem gdzieś przepadł, wymykając się z sideł OS, należało uznać za wysoce alarmujące. Tamci biegacze, podobni do Offa, byli zatem tylko złudzeniem. Należało teraz poszukać sprawcy rzekomego cudu, który musiał tutaj gdzieś być i musiał zostać przez kogoś nasłany. Znaczyło to poza tym, że kordon był nieszczelny, a skoro tak, to i ktoś inny mógł się tutaj dostać.

Oficer podrapał się po głowie.

Jak to możliwe, żeby nasz kordon nie był szczelny? - myślał. - Nie, to przecież zupełnie wykluczone. A jednak? Musiano czegoś nie do-pilnować. Dobra. Stop. Tym trzeba się zająć, ale to jedna, a raczej dwie sprawy. A ta trzecia? W jakim celu ci ludzie - spojrzął na przesłuchiwanym - biegli w kierunku statku, skoro za kilka min mogli się znaleźć w jego wnętrzu w najzwyczajniejszy sposób, tak jak to było zaplanowane? Wyglądało to na jakieś otumanienie, zaśmienie umysłu albo coś

podobnego. Chyba że?... Tak! On gdzieś tu jest! Gdzieś tutaj kryje się nieuchwytny napastnik!

- Wystarczy - rzekł oficer głosem już opanowanym. - Zostaniecie zatrzymani. Oczywiście, że nigdzie nie polecicie.

- Szeregowy!! - zwrócił się do stojącego przy drzwiach OS-owca. - Będziecie ich pilnować! Ale przedtem dajcie mi tu liniowych.

- Tak jest - szeregowy zasalutował i sprężystym krokiem wyszedł z pomieszczenia.

Po kilku sekundach wpadli do dyżurki dwaj liniowi, zdyszani i spoceni. Wyprężyli się przed oficerem, ich czerwone buty na wysokich cieniotkich koturnach trzasnęły o siebie przepisowo.

- Panowie - powiedział oficer. - Macie dwa zadania. Należy szukać projektora i tego, kto go uruchomił. To raz. Nie wiem, gdzie może być ani jak może wyglądać. To dwa. Co słychać na statku? Ile do startu?

- Kosmonauci są już wewnątrz. Za chwilę próbny rozruch. Do startu 20 min.

- Więc brać się do roboty!

- Tak jest - zasalutowali i wybiegli na zewnątrz.

Wszystkich ludzi prócz członków ochrony i kordonu spędzono do pomieszczenia pożegnalnego. Zaczęto ich na nowo sprawdzać. Część kordonu rozproszyła się po całym terenie, przeszukiwała zakamarki wyspy. Wzbiły się w powietrze bojowe bobonsy i lustrowały teren.

Tymczasem Człowiek skupił się. Skupił się bardzo. Musiał się doprowadzić do maksymalnej koncentracji. Czuł, jak fale jeszcze niezborne, gaszące się nawzajem, przepływają przez szarą masę jego mózgu. Skupiał je. Był gotów. Wstrzymał ich pęd, tworząc zaporę. Jeszcze chwila. Czuł, jak napierają, chcąc rozsądzić mu czaszkę. To sprawiło największą trudność. Nie mógł być bliżej. Nie mógł być bliżej, a na tę odległość fala potrzebowała dużej mocy i olbrzymiej intensywności.

Długo to obliczali i zastanawiali się. Przekaznik-fatamorg można było umieścić jedynie w budynku kosmoportu. Stąd do statku pozostawało jeszcze 2000 metronów. Koncentraty pola umieszczono w odległości 600-800 metronów od brzegu wyspy. Od najbliższej kuli-koncentraty było do fatamorga 3000 metronów. W sumie 5000 metronów plus dzieląca Człowieka od miejsca akcji przestrzeń kosmiczna. Ulokowali się na orbicie sąsiedniej planety.

Ale stop. Fatamorg dał znak, że jest gotów i wszystkie manewry odciążające są w pełnym toku.

Człowiek odliczał w tej chwili w myślach. Fala sączyła się cienką strugą, cała jej moc drzemała jeszcze za napiętą barierą. Mózg przeciążony w 9/10. Fala docierała do fatamorga słabiotka i rozmyta, mimo wzmocnienia przez koncentraty. Energia napływała do mózgu Człowieka i wzbierała niczym powodziowa fala. Burzyła się za sztuczną tamą, której kruchość była jednak tylko pozorna. Prędzej rozerwałoby mu czaszkę, niżby ta krucha zapora puściła fale. I czuł, że za chwilę to się stanie. Czuł, że jeszcze moment, a czaszka popęka mu w tysiącu miejscach, mózg wystrzeli jak petarda i rozmaże się na miękkim oparciu fotela. Myślał już

tylko o jednym. Powtarzał jedno słowo. Magiczne. Koncentrujące, jednoczące wszystkie prądy w spójny, półżywy, półrozumny twór.

- Już!!! Jęknął. Zapora otwarła się. W jednym ułamku sekundy przed oczami Człowieka przewinął się cały rozkaz ze wszystkimi szczegółami, cała akcja, która za chwilę się rozegra, przemknęła jak na przyspieszonym filmie. Wypuszczona nagle fala przecięła przestrzeń niczym lanca i lekko rozproszona przez starcie z atmosferą planety dotarła do koncentratów. Koncentraty przechwyciły ją. Oczyszczyły rozproszenia, przez wielkie mechanizmy przebiegał dreszcz. Fala została spowolniona. Odbita przez falowe zwierciadła sączyła się teraz z mocą równą mocy wypromieniowania z mózgu Człowieka do mózgu fatamorga. Fatamorg nadał sygnał i zaczął działać.

Technik pokładowy, którego wybrano ze względu na nieco słabsze parametry nerwowe i prądowe, co przy tej odległości miało duże znaczenie, siedział w swoim fotelu. Spoglądał na ekran i pilnie śledził wskaźnik miarowo poruszający się po płaskiej tarczy. Zaczynał się próbny rozruch, w którym jego rola ograniczała się do jednego słowa. Słowo to trzeba było powiedzieć w odpowiednim momencie. Czekał właśnie na ten moment i miał już wszystkiego powyżej uszu, choć nic się jeszcze nie zaczęło.

Nagle poczuł coś dziwnego. Serce załomotało mu gwałtownie. Przestraszył się. Cały aż skurczył się w fotelu ze strachu. I raptem dziwne uczucie minęło. Technik rozprężył się.

Co się stało? - nie mógł się skupić. - Skąd tamten strach i nagłe łomotanie serca?

- Rozruch analizatora - usłyszał z głośnika.

- Jest! - wyrzucił z siebie i nacisnął biały guzik po lewej stronie pulpitu.

- Dobra - popłynęło z głośnika.

Odetchnął.

I wtedy nadeszła druga fala! Ta była o wiele potężniejsza. Technikowi wydawało się, że oszaleje ze strachu, że przy każdym uderzeniu serca wyskakuje mu ono aż do krtani. Skronie pulsowały.

Fatamorg stał w rogu jednej z toalet zupełnie zeszywniały. Przez jego kwantomózg płynęły kierowane fale rozkazy. Był teraz bezpośrednio połączony z naturalnym mózgiem Człowieka w statku.

Technik wstał. Działał jak we śnie. Wyszedł przez na wpół uchylone drzwi na korytarz. Zszedł do ładowni. Nie zastał tam nikogo. Starając się przypomnieć sobie, gdzie może być młot, lustrował pomieszczenie. Jego zmysły, wyostrzone do granic możliwości, nastawione były na jedno. Wreszcie przypomniał sobie. Odgrzebał młot spod warstwy pojemników. Wziął go w rękę i ruszył w stronę komory generatora hiperprzestrzeni. Tam powinien zastać tylko jednego człowieka. Wszedł do generatora w chwili, gdy tamten odwrócony był plecami. Młot schował za siebie. Tamten zerknął przez ramię.

- A, to ty - rzucił. - Poczekaj chwilę, mam tu przewód do złączenia. Rozlutował się, zawsze jest z nim kłopot.

Technik nic nie odpowiedział. Zrobił krok do przodu i, wydając dziki charkot, zamachnął się młotem, który rozłupał czaszkę kucającego nad przewodami człowieka.

Teraz nie było już żadnych przeszkód. Podszedł do bocznego pulpitu i kilkoma ciosami skruszył oporną powłokę. Odrzucił młot. Jego ręce sprawnie szukały nieznanymi drucików. Fatamorg skoncentrował się. Technik znalazł. Właśnie te dwa. Złączył je ze sobą. Na moment przygasło światło i zaraz potem rozległ się ostrzegawczy gwizd.

Silny wybuch targnął siódmym pokładem. Generator wraz z całym pomieszczeniem przestał istnieć. Obraz zachwiał się na moment w oczach Offa i przekształcił w widok toalet kosmoportu.

Oficer wpadał do poszczególnych kabin, przeszukując je kolejno. Czemu dopiero teraz przyszło mu to na myśl?! Nie wiedział, że nie mogło być inaczej.

Dotarł wreszcie do ostatniej. Off widział wszystko dokładnie. Oficer szarpnął drzwi. Zamknięte. Napał na nie barkiem i ustąpiły.

Zamarł. Wewnątrz stał wyprężony jak struna sobowtór Offa. Oficer uniósł kufę. Padł strzał. Fatamorg zbladł, zafalował i nagle Off zauważył, że zaczyna się przekształcać - najpierw w jakiegoś mężczyznę, potem skóra jego zrobiła się niebieska, rysy upodobniły się do rysów Biktenna, skóra zbieleła. Nagle Biktennowi zaczęły wyrastać z czaszki rude włosy. Ich długość powiększała się w przerażającym tempie, aż przestały rosnąć, zakręciwszy się na wysokości piersi. Jednocześnie z twarzą i z całą resztą ciała zaczęło się dziać coś dziwnego. Przez korpus przebiegały regularne drgania. Oficer wpatrywał się w to zjawisko zupełnie osłupiały. Wreszcie zmiany przestały zachodzić. Przed Offem stała w całej swej okazałości Teria.

A więc to tak - pomyślał Ins i nie zdążył jeszcze tej myśli dokończyć, gdy wpatrzona w przestrzeń, uśmiechnięta twarz dziewczyny rozplynęła się, rozmazała. Cała sylwetka stawała się przezroczysta i po chwili zniknęła już zupełnie.

A więc to tak jest z tobą Teria? - pomyślał Off. - Podejrzewał to. I miał rację.

Człowiek na odległym okręcie hiperprzestrzennym opadł na poduszki fotela zupełnie wyczerpany. Nigdy dotąd nie wydawał poleceń fatamorgowi, umieszczonemu w takiej odległości od centrum akcji. Przeważnie fatamorg poruszał się w samym jej środku.

Nadchodził lekarz.

- Do uniwermedu! - rzucił tylko, spojrzawszy na człowieka w fotelu. - Wyczerpała go zupełnie ta projekcja. Pozwoliłem na coś takiego pierwszy i ostatni raz!

Lekarz był zły, ale Człowiek wiedział, że jest - podobnie jak i on - zadowolony. Akcja udała się. Kilkanaście osób na planecie będzie sobie coś mgliście wyobrazać, reszta pozostanie w przekonaniu, że to oni sami uniemożliwili inwazję na ich planetę. Gazety napiszą: „Próba inwazji nie udała się dzięki nam wszystkim”. Tak. „Dzięki nam wszystkim”.

Off ocknął się na podłodze swego pokoju. Potoczył jeszcze niezbyt przytomnym spojrzeniem po zdemolowanym wnętrzu.

Czyżby to wszystko mu się śniło? Nie. Przypominał sobie każdy, szczegół dokładnie. I coś jeszcze. W dziesięć min później wiele czołowych osobistości i ludność wielkich i małych miast wszystkich kontynentów wiedziało już o nieudanej Próbie Inwazji. Zielone Kule - koncentraty pola - zniknęły z powierzchni Phasangu. Teraz jego mieszkańcy mogli już posługiwać się hiperprzestrzenią. Teraz już do niej dorosli.

Off siedział nad brzegiem morza. Piasek był wilgotny. Fale odpływały ukazując kamieniste dno. Odpływ dopiero się zaczynał. Off czuł się przytłoczony tym, co zaszło. Teraz odpoczywał. Pozostało w nim jednak sporo niepokoju.

Zdawał sobie sprawę, że jest prócz niego jeszcze kilkunastu, którzy przeczuwają prawdę. Nie miał pewności, czy orientują się również, skąd pochodzą Nieuchwytni. On wiedział, że sondę phasangańską nasączono jak gąbkę fałszywymi obrazami sprzed setek lat cywilizacji Sol. Była to prowokacja. Test.

A może zastrzyk postępu? Zastrzyk dla świadomości, bo technika Phasangu otrzymała już niejednego zastrzyk od solańczyków.

Wydawało mu się, że Nieuchwytni pozostawili na swój temat w umyśle każdego „wybranego” równie mgliste wyobrażenie o sobie. Musi koniecznie przekazać to, co sam wie, innym. Musi odnaleźć tych, którzy wiedzą.

Nie będzie to trudne. Przypuszczalnie i oni już go szukają.

Jakaś zabłąkana mocniejsza fala spieniała się na kamieniach i liznęła but Offa białą grzywą.

Zapadł zmrok. Walki m ulicach miast wygasły już kilka godzin temu. Sprawa była przesądzona. Tajna Rada i OS, a także Strapor nie mogli się długo utrzymać. Kapitulowały w ciągu godzin po wiadomościach, jakie nadeszły z kosmoportu. Kapitulowały bezpowrotnie, a wraz z nimi kapitulował dawny system, myślenie. Phasang wdzierał się na następny szczebel w kosmicznej drabinie narodów.

Brzegiem nadchodziła Teria. Na szczęście dla Offa za wzór fatamorga, który kierował jego myślami posłużyła Nieuchwytnym phasanganka. Odszukanie jej było pierwszym zajęciem Insa po powrocie do świadomości. Trochę sobie wyrzucał, że zamiast zająć się najpierw działaniem na korzyść ogółu, zaczął załatwiać swoje prywatne sprawy, ale przyrzekł sobie, że to już ostatni ukłon w stronę starego sposobu bycia i myślenia.

- Dokąd idziemy? - zapytał.

- Popatrzeć na gwiazdy?

- Nie! Nie! Tylko nie to. Na razie mam zupełnie dość gwiazd. Lepiej chodźmy do Inbuk Delan posłuchać i popatrzeć na muzykę.

Za ich plecami na ulicach rozbłyskały światła. Valaco wracało do normalnego życia.